PYZA I WIKŁO UJAWNIAJĄ NOWE WĄTKI W SPRAWIE BARTŁOMIEJA M.

WILDSTEIN PRZESTRZEGA USA: POLSKA NIE BĘDZIE KOLONIĄ

KOŁODZIEJSKI: PRZENIEŚMY CENTRALNE URZĘDY DO INNYCH MIAST POLSKI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 5 (323) 2019
4–10 lutego
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KULISY MANIPULACJI

KŁAMSTWEM W KACZYŃSKIEGO

SENSACJA, KTÓRA MIAŁA ZNISZCZYĆ WIZERUNEK LIDERA PiS, STAŁA SIĘ KOLEJNYM DOWODEM JEGO UCZCIWOŚCI. ALE GRUPA HAKOWA UDERZY PONOWNIE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269908 05

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet 6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl c5acb31c1f

Opozycja gra wyłącznie na emocjach

Nominacja wiceministra Adama Andruszkiewicza, obarczanie odpowiedzialnością TVP za dokonany przez kryminalistę mord na prezydencie Gdańska Pawle Adamowiczu, kłamliwie interpretowane „taśmy Kaczyńskiego" – każdy pretekst wydaje się dobry, by ogłosić „ostatecznie ostateczny koniec rządów Prawa i Sprawiedliwości" oraz rozpętać wielodniową awanturę. To przykłady z zaledwie ostatnich tygodni. I choć zwykle, jak po ostatnim taśmowym uderzeniu, na końcu słychać dźwięk kapiszona, a nie wybuchu bomby, nie można tych ataków lekceważyć. W tej metodzie ciągle ponawianych operacji hakowo-nagonkowych nie chodzi bowiem tylko o bieżące zyski polityczne.

Po pierwsze, opozycja i jej media wyraźnie szlifują mechanizmy uzyskiwania radykalnych skoków społecznego napięcia, wzbudzania emocji. Wyraźnie widać powielanie pewnych metod, jak to, że materiałów nie dostają bezpośrednio dziennikarze, ale obrabiają je kancelarie prawnicze i ludzie z dawnych służb specjalnych. Można dostrzec także korygowanie kursu. Gdy w sprawie „taśm Kaczyńskiego" powszechnie wyśmiano tezy „Gazety Wyborczej", do gry wszedł TVN, który wyraźnie przemodelował narrację w kierunku „wielkiego biznesu prezesa".

Po drugie, sztaby III RP wiedzą, że kluczowymi dla Polaków wartościami są dzisiaj: spokój, stabilność, przewidywalność. To wynika z wszystkich pogłębionych badań socjologicznych. Kolejne akcje prowokacje podnoszące temperaturę sporu mają po prostu ludzi zmęczyć, spowodować, że przy urnach wyborczych obóz Jarosława Kaczyńskiego przegra. Nie dlatego, że ludzie nie będą wiedzieli, iż jest atakowany niesłusznie, nieuczciwie, ale dlatego, że nawet zdając sobie z tego sprawę, wybiorą kapitulację wobec przemocy medialnej obecnej opozycji. Byle tylko „to już się skończyło".

Po trzecie, ataki wyraźnie koncentrują się ostatnio na tych cechach, które w oczach ludzi są największą wartością obecnie rządzących. Są to: pilnowanie standardów życia publicznego, w tym bezwzględność dla „swoich", którzy złamią prawo lub zgrzeszą zachłannością, nakazana skromność, osobista uczciwość prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Można się spodziewać, że dalej będzie tylko ostrzej. Weszliśmy w rok wyborczy, a opozycja ma świadomość swojej siły medialnej oraz tego, że nic innego nie jest w stanie zaproponować. Warto zwrócić uwagę, że nawet nie próbuje już pokazywać pozytywnego programu, tylko poluje na taśmy, sensacje. Wyłącznie szuka sposobu na radykalne, skokowe, emocjonalne złamanie poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości.

Jak na to odpowiedzieć w sytuacji, gdy szans na zmianę krajobrazu medialnego nie ma już chyba żadnych? Jedyną receptą są nerwy na wodzy i własna agenda. Za długo już obóz naprawy państwa pozwala narzucać sobie tematy, daje grać sobie na nosie. Czas przejść do ofensywy, odnaleźć ten dobry ton pewności siebie, ale i pokory, z roku 2015. Tym bardziej że patrząc na realne osiągnięcia ostatnich trzech lat, pewności siebie powinno być dużo więcej niż wtedy.

Michał Karnowski

SIECI spis treści

31 *Dołek Bartłomieja M.*
Marek Pyza, Marcin Wikło

41 Nie tylko Warszawa
Konrad Kołodziejski

66 Trump bierze Wenezuelę
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

5 **POWOŁANIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

12 **KRACH SOCJALIZMU À LA MADURO**
Jan Pietrzak

13 **CZY BĘDZIEMY KOLONIĄ?**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **KOMISJA POJEDNANIA**
Krzysztof Feusette

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawia Michał Karnowski

26 **KOMU CO SIĘ NALEŻY?**
Bronisław Wildstein

28 **GRUPA HAKOWA**
Stanisław Janecki

KRAJ

31 **DOŁEK BARTŁOMIEJA M.**
Marek Pyza, Marcin Wikło

36 **WOLTA KAI GODEK**
Marzena Nykiel

38 **BĘDZIE, JAK BYŁO**
Piotr Skwieciński

41 **PSYCHIATRZY I TYKAJĄCE BOMBY**
Maja Narbutt

44 **NIE TYLKO WARSZAWA**
Konrad Kołodziejski

48 **Z WITOLDEM GADOWSKIM**
rozmawia Ryszard Makowski

SIECI KULTURY

51 **FAWORYTA DO OSCARA**
Jolanta Gajda-Zadworna

54 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

55 **OKLASKIWANA I WYCZEKIWANA**
Adam Ciesielski

56 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

58 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

IMPRESJE

60 **OSTATNIE BABIE LATO W KAZIMIERZU**
Krzysztof Logan Tomaszewski

OPINIE

62 **DEMIURG „NOWEGO WSPANIAŁEGO ŚWIATA"**
Grzegorz Górny

65 **PRZECIEŻ JEJ NIE BYŁO**
Piotr Skwieciński

ŚWIAT

66 **TRUMP BIERZE WENEZUELĘ?**
Jan Rokita

70 **Z KS. INF. DR. IRENEUSZEM SKUBISIEM**
rozmawia Artur Ceyrowski

GOSPODARKA

72 **UNIKATOWE OSIEDLE Z MIESZKANIEM+**
rozmowa Macieja Wośko

76 **PŁACE W POLSCE MUSZĄ ROSNĄĆ**
Janusz Szewczak

84 **KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ**
rozmowa z Bolesławem Piaseckim

SPORT

86 **WSZYSTKIE KAMERY NA KUBICĘ**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: ALDONA JANKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **TRZY MACZUGI, CZYLI REFORMA UNII EUROPEJSKIEJ**
Maciej Pawlicki

91 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

92 **POWRÓT ZEMSTY**
Wojciech Reszczyński

93 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

94 **ZMĘCZENIE**
Aleksander Nalaskowski

95 **JA, TURBO-SŁOWIANKA**
Wiktor Świetlik

96 **RUSZA RZECZNIK**
Ryszard Makowski

97 **KILKA STROFEK, CO NIENOWE…**
Leszek Długosz

98 **PROFESOR UAM ROZPOZNAJE WROGA**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl c5acb31c1f

Powołanie

W Warszawie na Starym Mieście znajduje się kościół pod wezwaniem św. Benona. Górujący nad znanym z barwnie podświetlanych fontann skwerem I Dywizji WP niewielki budynek świątyni ma historię sięgającą połowy XVII w. To w tym miejscu powołano pierwszą zagraniczną wspólnotę redemptorystów, a jej założyciel, św. Klemens, prowadził w niej sierociniec dla polskich, niemieckich i rosyjskich chłopców, później także dla dziewcząt różnych narodowości, by następnie otworzyć w klasztornych murach pierwsze w tej części Europy szkoły zawodowe.

Marta Kaczyńska-Zielińska

Bywałam w tym kościele na kilku świątecznych mszach. Służył do nich zawsze ten sam człowiek. Emanował spokojem i skromnością

W kameralnym, ascetycznie urządzonym wnętrzu kościoła mieszczącym zaledwie kilkanaście ławek, w nabożeństwach uczestniczyć może co najwyżej kilkudziesięcioosobowa grupa wiernych. W ciągu ostatnich lat bywałam w tym kościele na kilku świątecznych mszach. Służył do nich zawsze ten sam człowiek. Szpakowaty, nieco przygarbiony, szczupły starszy pan. Cichym, stonowanym, radiowym głosem czytał Pismo Święte, zbierał ofiarę. Emanował spokojem i skromnością. Sprawiał wrażenie człowieka mocno doświadczonego przez życie, o wielkiej kulturze i wyczuciu.

O tym, kogo widywałam i słuchałam w kościele św. Benona, dowiedziałam się przypadkiem, po jego śmierci. Tą niepozorną osobą posługującą do mszy, która tak mocno zapadła mi w pamięci, okazał się prof. Ryszard Peryt. Był współzałożycielem Puławskiego Studia Teatralnego, aktorem Teatru Współczesnego w Warszawie, reżyserem w Teatrze Narodowym, głównym reżyserem Teatru Wielkiego w Poznaniu, a także Teatru Wielkiego w Łodzi. W połowie lat 90. został powołany na stanowisko dyrektora artystycznego Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie. Przez prawie 20 lat pracował w Warszawskiej Operze Kameralnej. Reżyserował w różnych częściach świata, m.in. w Austrii, Niemczech, Hiszpanii, Holandii, Szwajcarii, we Włoszech, Francji, w krajach skandynawskich, Egipcie, Turcji, Libanie, Japonii, Emiratach Arabskich, Korei Południowej. Współpracował w szczególności z sir Yehudim Menuhinem. W repertuarze profesora znalazły się „Vespers" Monteverdiego, „Stabat Mater" Szymanowskiego, „Requiem Polskie" Pendereckiego, „Symfonia Tysiąca" Mahlera. Ryszard Peryt był jedynym artystą na świecie, który wyreżyserował wszystkie dzieła sceniczne Mozarta i Monteverdiego. W 2017 r. został dyrektorem nowo utworzonej Polskiej Opery Królewskiej, której przedmiotem działalności jest popularyzowanie dzieł operowych, muzyki oratoryjnej, symfonicznej i kameralnej, ze szczególnym uwzględnieniem muzyki kompozytorów polskich, zwłaszcza repertuaru dawnych mistrzów, a także przywracanie do życia muzycznego zapomnianych dzieł muzyki polskiej.

Ryszard Peryt za swoją działalność artystyczną był wielokrotnie nagradzany. 11 lat temu prezydent Lech Kaczyński odznaczył profesora Orderem Polonia Restituta za działalność opozycyjną. Prezydent Andrzej Duda odznaczył pośmiertnie prof. Peryta Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Od 2011 r. profesor był oblatem zakonu redemptorystów.

Portal wPolityce.pl w ścisłej czołówce mediów opiniotwórczych – tuż za bogatymi potęgami

Portal wPolityce.pl znalazł się na trzecim miejscu w rankingu najczęściej cytowanych portali w Polsce w 2018 roku! Inne media na nasz portal powoływały się ponad 7,8 tys. razy.

Na pierwszym miejscu w rankingu znalazły się portale bogatych, potężnych koncernów: Wirtualna Polska (23,3 tys. cytowań) i należący do niemiecko-szwajcarskiego koncernu Onet (21,3 tys.). Warto jednak podkreślić, że zajmujący miejsce czwarte portal Gazeta.pl (Agora) był cytowany nieco ponad 4,4 tys. razy.

Doskonały wynik portal wPolityce.pl osiągnął także w rankingu wszystkich mediów. W czołówce najbardziej opiniotwórczych mediów znalazły się: pięć tytułów prasowych, cztery stacje telewizyjne, trzy radiowe oraz trzy serwisy internetowe.

gim

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe

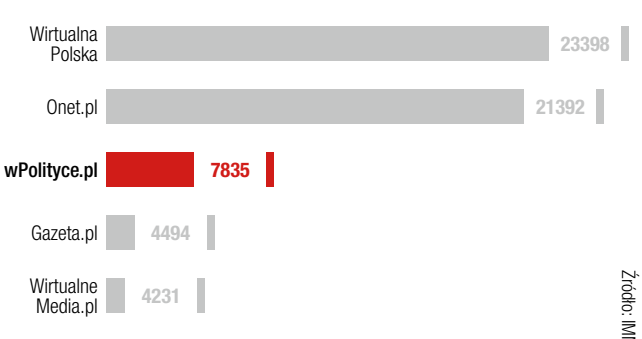

eprasa.pl c5acb31c1f

Sygnalista nadaje

Jak nie idzie, to nie idzie. Publikacja „taśm ***Kaczyńskiego***” miała być „najważniejszym dniem w historii PiS”, a okazała się przede wszystkim pokazem polityczno-intelektualnej słabości opozycji, zwłaszcza tej z ulicy Czerskiej. Najpierw maksymalnie nadęli balon sensacji, zapowiedzieli bombę atomową, a następnie pokazali stenogram, z którego wynika, że prezes PiS, po pierwsze, doskonale rozumie rzeczywistość biznesową, po drugie – pilnuje, by wszystko było zgodne z prawem, a po trzecie – co słychać obficie – nawet w trakcie nudnych spotkań z prawnikami świetnie się bawi, popijając wodę sodową.

W słynnym już dialogu z tłumaczką pytał: „Powiedz mi, czemu ty chodzisz w spodniach, które wyglądają jak obdarte z piżamy”. Tłumaczka odpowiadała, że „to jest nowa moda”, co prezes PiS spuentował już kultowym: „Ja cię nie mogę”. Wyjaśniamy, o co chodzi: owe spodnie wyglądające jak piżama to tzw. boyfriendy, czyli spodnie damskie, ale stylizowane na męskie (stąd ich nazwa). Wyróżniają się szerokim krokiem oraz luźnymi nogawkami, są też nieco krótsze niż klasyczne. Obowiązuje też zasada, że im boyfriendy są bardziej sprane i zniszczone, tym lepiej; to dlatego większość modeli posiada wytarcia, a często także dziury.

Poseł PO ***Sławomir Nitras*** stwierdził na antenie Tok FM, że ujawnione przez „Gazetę Wyborczą” „taśmy Kaczyńskiego” pokazały, iż malowany przez lata portret prezesa PiS to „kłamstwo”. „Kreowany wizerunek starszego pana w jednych butach, z nierównymi sznurowadłami, jest nieprawdziwy” – ocenił Nitras. I naprawdę nie sposób tym razem się z nim nie zgodzić.

Ambasada USA zorganizowała w hotelu Bristol uroczystą galę dla uczczenia setnej rocznicy nawiązania stosunków dyplomatycznych między USA a Polską. Co ciekawe, faktycznym współorganizatorem imprezy była TVN, galę prowadził Piotr Kraśko, a TVP nie pozwolono nawet przeprowadzić transmisji. Rzekomo ze względów bezpieczeństwa („Nie wolno ciągnąć kabli”). Nie zaproszono także nawet symbolicznej pozarządowej reprezentacji prawicy. Wiele można powiedzieć o PiS, ale jednak swoich rzeźników (zazwyczaj) nie okadza. A dyplomaci Trumpa, i owszem, wyraźnie się w tym lubują.

Budowlane plany spółki Srebrna od dawna nie są żadną tajemnicą; pisała o nich sama „GW”, sprawę podnosił w czasie kampanii Jan Śpiewak. I rzeczywiście nie mają szans na realizację, dopóki Warszawą rządzi wiadoma sitwa. I ta właśnie konstatacja jest – patrząc chłodno – najmocniejszym przekazem płynącym z taśm. Najciekawsze pytanie całej sprawy brzmi jednak: dlaczego Gerald Birgfellner (Gery), czyli Austriak wyznaczony do przygotowania ewentualnej inwestycji, zdecydował się nagrywać, a później pobiegł do Giertycha? Czy od początku była to zaplanowana operacja polityczna? Wykluczyć nie można, bo przecież Kaczyński oferował mu wiarygodne wyjście sądowe, deklarując potwierdzenie roszczeń podczas rozprawy.

Chyba że Gery się zorientował, iż sąd nie przyzna mu tyle, na ile miał ochotę. To o tyle prawdopodobne, że facet nie ma najlepszej opinii. Od ludzi biznesu można usłyszeć, że „to raczej geszefciarz udający pozycję niż poważny gość”. Możliwe jest też wyjście pośrednie: Gery chciał jedynie postraszyć publikacją, a politycy w togach mecenasów od razu wyłożyli wszystko na stół w nadziei, że złamią poparcie dla PiS. Tak czy owak, to nie Agora, nie Giertych i nie Kaczyński, ale Austriak jest głównym przegranym całej sprawy. Chyba że za nagrania coś mu obiecano albo teraz, albo po wyborach.

Mimo upływających dekad wciąż wielkie wrażenie robi warsztat dziennikarski „Wyborczej”. Na przykład w czwartek kolejny odcinek zatytułowali: „Taśmy Kaczyńskiego. Nowe nagrania prezesa PiS: będą mówić, że jestem niezwykle zamożnym człowiekiem”. Z tytułu

epraca.pl c5acb31c1f

można sądzić, że Kaczyński chce ukryć swojego rzekome bogactwo. Tymczasem on wyraża jedynie obawę, że zostanie w taki sposób fałszywie opisany. Z oryginalnego cytatu („Jest kampania o charakterze czysto politycznym pod tytułem: partia buduje wieżowiec, azjatyckie stosunki czy nawet zgoła twierdzenie, że to ja buduję, a w związku z tym jestem niezwykle zamożnym człowiekiem") nie sposób uczciwie wyciągnąć innego wniosku. Czerska jednak wyciągnęła.

To w ogóle dziwni ludzie. Najpierw ogłosili, że w Polsce dokonano „mordu politycznego", a teraz sami przykrywają tę straszną rzekomo zbrodnię obozu rządzącego zawiłymi, mało czytelnymi, ale normalnymi dla każdego, kto czymkolwiek zarządzał, dialogami. A skoro przykrywają, to znaczy, że sami już nie wierzą, iż był to „mord polityczny". Pokusa okazała się silna. Bo tam wciąż krąży marzenie, by powtórzyć drogę PiS, tak jak oni ją widzą, i dzięki taśmom wrócić do władzy. Zapominają, że PiS w opozycji przede wszystkim pracowało w terenie, no i jednak miało coś ważnego Polakom do powiedzenia.

Kopiują także konkretne powiedzenia, np. „Presja ma sens", ukute przed laty w redakcji portalu wPolityce.pl. Teraz przywołała je ***Ewa Kopacz*** w opowieści, która z pewnością trafi do kronik głupoty. „Przypomnę trochę strasznie dawne czasy. To jest wtedy, kiedy jeszcze dinozaury były, a ludzie nie mieli żadnych strzelb, nie mieli nowoczesnej broni, która pozwoliłaby ich zabić. Wie pani, co robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura. Wiadomo, że od jednego rzucenia kamieniem ten dinozaur na pewno nie padł. Ale jeśli przez miesiąc, dwa miesiące rzucali tymi kamieniami, to na tyle go osłabili, że mogli go pokonać" – stwierdziła była premier.

Teza, że ludzie żyli na ziemi w czasach dinozaurów, może się okazać cennym polskim wkładem w światową naukę, oczywiście o ile „doktor Ewa" przedstawi wiarygodne dowody. Bo dziś wygląda to raczej na skrzywioną wersję metafory Michała Kamińskiego sprzed paru tygodni, która brzmiała tak: „Wobec PiS trzeba stosować taktykę polowania na mamuty przez ludzi pierwotnych. Oni sobie szli i walili w tego mamuta kamieniami. Jeden kamień go nie powali, ale suma". Kopacz przerobiła mamuta na dinozaura i kolejny raz utwierdziła internautów w przekonaniu, że dobrze, iż już nie leczy ludzi.

Choć ludzie Platformy na zdrowie chyba nie narzekają. Gdy CBA zatrzymało trzech biznesmenów podejrzewanych o korupcję, szybko

się okazało, że w tle są Stefan Niesiołowski i atrakcyjne medialnie skandale obyczajowe. „W okresie od 2008 do 2017 r. polityk miał skorzystać z usług kilkudziesięciu prostytutek, za których usługi nie musiał płacić. Wszystko sponsorowali przedsiębiorcy" – poinformowało portal wPolityce.pl źródło zbliżone do śledztwa. Takie zeznania złożyło osiem kobiet świadczących usługi seksualne i kobieta nadzorująca interes.

Co więcej, zamiłowanie Niesiołowskiego do podobnych rozrywek musiało zapaść w pamięci trzech biznesmenów, ponieważ zdecydowali się nawet na wynajęcie posłowi pomieszczenia, w którym mógł się oddawać wspomnianej wyżej aktywności. Parlamentarzysta podczas wizyt w owej garsonierze miał życzyć sobie również... fasolki po bretońsku. Wszystko w zamian za podejmowanie działań korzystnych dla przedsiębiorców w kilku instytucjach.

Sam Niesiołowski zaprzecza, by opisany proceder miał miejsce. „Przykrywka, klasyczna przykrywka. Wszystko po to, by przykryć taśmy Kaczyńskiego. Prosta sprawa, banalna, wymyślili". Na pytanie, czy wymyślona jest cała historia „od A do Z", odpowiedział wymijająco: „Żadnych łapówek nie dawałem ani nie brałem". Za chwilę się okaże, że to wszystko było z miłości do Platformy.

Ojciec Ludwik Wiśniewski wyjaśnił, że kazanie, które wygłosił podczas pogrzebu Pawła Adamowicza, nie było atakiem na obecnie rządzących. „To nieprawda. Jeszcze raz chcę to podkreślić: były one [słowa] skierowane do wszystkich stron sceny politycznej!" – przekonuje na łamach „Tygodnika Powszechnego". I podkreśla: „W polskim sporze słowa nienawiści padały ze wszystkich stron. Nie ma wagi, która precyzyjnie odważyłaby winę". Może kazanie byłoby skuteczniejsze, gdyby to doprecyzowanie padło w bazylice Mariackiej? Bo tak powstało wrażenie, którego już nie zatrą żadne eseje.

Ojciec Tadeusz Rydzyk poręczył za Bartłomieja M., byłego rzecznika MON. „Z tego, co znam Pana Bartłomieja Misiewicza, to zawsze zachowywał się odpowiedzialnie, a przez ostatnie lata, jako student WSKSiM w Toruniu, nie tylko bez zastrzeżeń, ale bardzo przykładnie" – napisał dyrektor Radia Maryja. Piękny gest, ale w tym wypadku rację miał sąd, który poręczenia nie uwzględnił i zastosował trzymiesięczny areszt. Formalnie zarzut brzmi: „Powoływanie się na wpływy w instytucji państwowej i podjęcie się pośrednictwa w załatwieniu określonych spraw celem uzyskania korzyści majątkowej w kwocie ponad 90 tys. zł".

Fot. Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, 360b/shutterstock.com

eprasa.pl c5acb31c1f

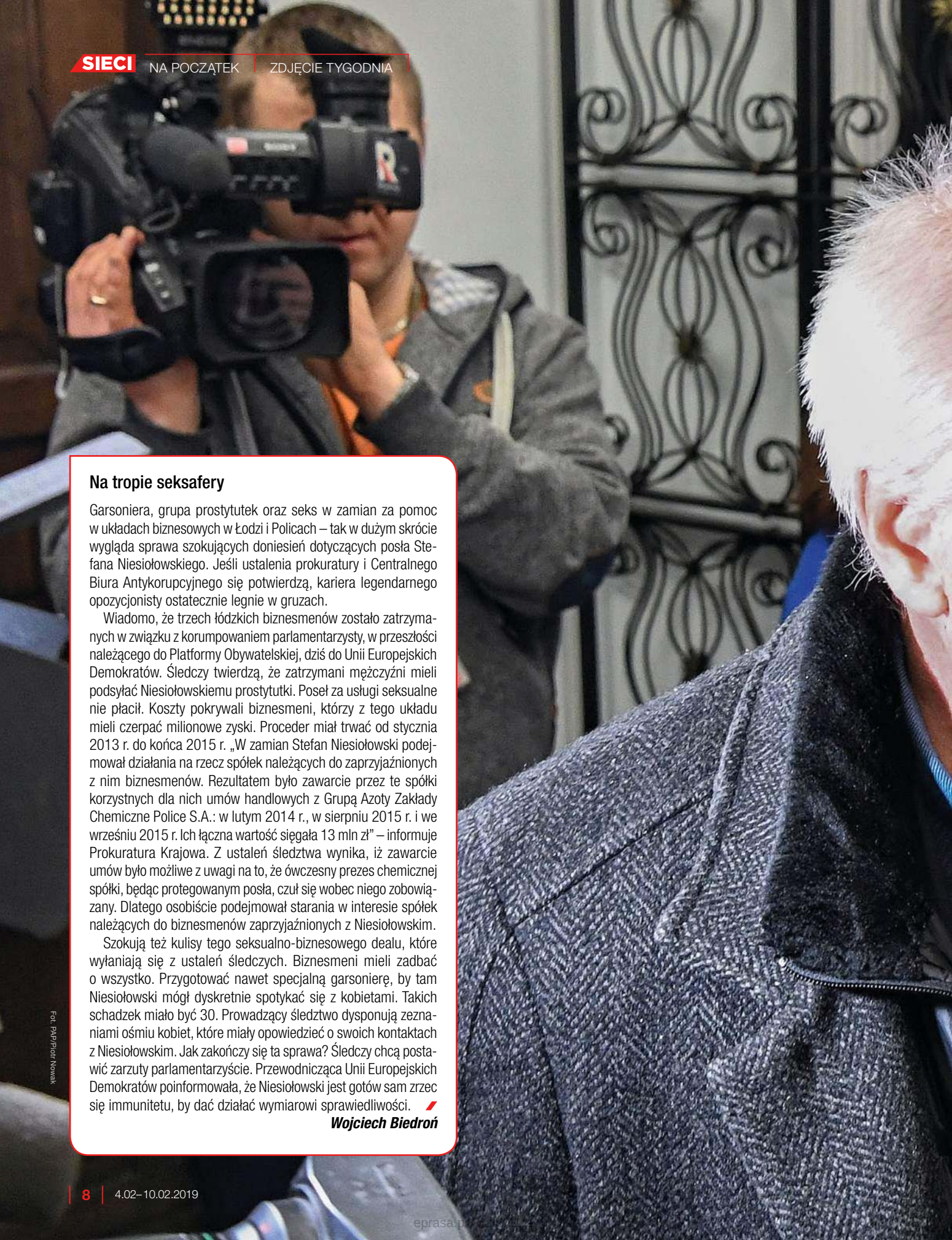

Na tropie seksafery

Garsoniera, grupa prostytutek oraz seks w zamian za pomoc w układach biznesowych w Łodzi i Policach – tak w dużym skrócie wygląda sprawa szokujących doniesień dotyczących posła Stefana Niesiołowskiego. Jeśli ustalenia prokuratury i Centralnego Biura Antykorupcyjnego się potwierdzą, kariera legendarnego opozycjonisty ostatecznie legnie w gruzach.

Wiadomo, że trzech łódzkich biznesmenów zostało zatrzymanych w związku z korumpowaniem parlamentarzysty, w przeszłości należącego do Platformy Obywatelskiej, dziś do Unii Europejskich Demokratów. Śledczy twierdzą, że zatrzymani mężczyźni mieli podsyłać Niesiołowskiemu prostytutki. Poseł za usługi seksualne nie płacił. Koszty pokrywali biznesmeni, którzy z tego układu mieli czerpać milionowe zyski. Proceder miał trwać od stycznia 2013 r. do końca 2015 r. „W zamian Stefan Niesiołowski podejmował działania na rzecz spółek należących do zaprzyjaźnionych z nim biznesmenów. Rezultatem było zawarcie przez te spółki korzystnych dla nich umów handlowych z Grupą Azoty Zakłady Chemiczne Police S.A.: w lutym 2014 r., w sierpniu 2015 r. i we wrześniu 2015 r. Ich łączna wartość sięgała 13 mln zł" – informuje Prokuratura Krajowa. Z ustaleń śledztwa wynika, iż zawarcie umów było możliwe z uwagi na to, że ówczesny prezes chemicznej spółki, będąc protegowanym posła, czuł się wobec niego zobowiązany. Dlatego osobiście podejmował starania w interesie spółek należących do biznesmenów zaprzyjaźnionych z Niesiołowskim.

Szokują też kulisy tego seksualno-biznesowego dealu, które wyłaniają się z ustaleń śledczych. Biznesmeni mieli zadbać o wszystko. Przygotować nawet specjalną garsonierę, by tam Niesiołowski mógł dyskretnie spotykać się z kobietami. Takich schadzek miało być 30. Prowadzący śledztwo dysponują zeznaniami ośmiu kobiet, które miały opowiedzieć o swoich kontaktach z Niesiołowskim. Jak zakończy się ta sprawa? Śledczy chcą postawić zarzuty parlamentarzyście. Przewodnicząca Unii Europejskich Demokratów poinformowała, że Niesiołowski jest gotów sam zrzec się immunitetu, by dać działać wymiarowi sprawiedliwości.

Wojciech Biedroń

Fot. PAP/Piotr Nowak

eprasa.pl

pap

Węgry

Fot. photocosmos1/Shutterstock.com

Neutralny jak Orbán

Budapeszt nie chce wesprzeć działań USA zmierzających do ograniczenia wpływów Rosji i Chin na Starym Kontynencie – twierdzi „The Wall Street Journal", powołując się na amerykańskich i węgierskich dyplomatów. Według gazety premier Węgier Viktor Orbán miał zadeklarować miesiąc temu na spotkaniu z ambasadorem USA Davidem Cornsteinem w Budapeszcie, że jego kraj – członek NATO – chce pozostać neutralny jak Austria (która do Sojuszu nie należy).

Jak pisze „WSJ", w ostatnich tygodniach Waszyngton próbuje nakłonić innych członków NATO do podjęcia bardziej stanowczych kroków w walce z chińskim szpiegostwem cybernetycznym oraz do zwiększenia poparcia dla Ukrainy w obliczu konfrontacji z Rosją. Orbán jest temu przeciwny. Węgierski premier – podobnie zresztą jak inni europejscy liderzy – zaprosił chińskich inwestorów na węgierski rynek infrastruktury internetowej oraz zablokował udział Ukrainy w rozmowach z NATO na szczeblu ministerialnym, ze względu na spór z Kijowem ws. węgierskiej mniejszości na Ukrainie. Ponadto uważa on, że takie obszary jak telekomunikacja, energia czy bankowość należą do kompetencji władz krajowych. „Burzymy się, gdy zaczynają nas pouczać o tym, co jest właściwym zachowaniem wobec Chin, a co nie. Tak, chcemy robić interesy z Rosją" – cytuje „WSJ" doradców węgierskiego premiera.

Według administracji Trumpa w Europie Środkowej i Wschodniej rzeczywiście istnieją „elementy polityczne", które opowiadają się za bardziej „neutralnym stanowiskiem" wobec Moskwy i Pekinu. Jednym z tych elementów, obok Węgier, mają być Czechy, których prezydent Miloš Zeman utrzymuje umiarkowany prorosyjski kurs. Zdaniem Waszyngtonu Chiny, m.in. poprzez projekty z branży infrastrukturalnej, próbują zyskać mocną pozycję w tych krajach.

Relacje między Węgrami a USA już od jakiegoś czasu są napięte, m.in. w związku z ekstradycją dwóch rosyjskich handlarzy bronią, którzy zostali odesłani przez Budapeszt nie do Ameryki, ale do Rosji. W przyszłym miesiącu wizytę na Węgrzech ma złożyć sekretarz stanu USA Mike Pompeo, by zawrzeć z Węgrami porozumienie w sferze obronności, które zakłada podległość amerykańskich żołnierzy stacjonujących w tym kraju amerykańskim, a nie miejscowym, sądom oraz złagodzenie przepisów celnych związanych z wwożonym do kraju sprzętem wojskowym. Porozumienie jest negocjowane od dawna, ale Budapeszt ociąga się z jego podpisaniem bez podawania racjonalnych powodów. Ponadto w grudniu Węgry ogłosiły, że zakupią helikoptery od Francji, czołgi od Niemiec, a wyposażenie sił powietrznych ze Szwecji – zamiast od amerykańskich dostawców.

Wszystko wskazuje więc na to, że Węgry Orbána pozostaną dla USA, mimo bliskości ideologicznej z obozem Trumpa, dość niepewnym sojusznikiem.

Aleksandra Rybińska

Łotwa

„Kordon sanitarny" wokół Zgody

Po niemal czterech miesiącach, które upłynęły od wyborów parlamentarnych, Łotwa doczekała się powołania nowego rządu. Nie znalazła się w nim partia, która wygrała wybory, natomiast premierem został polityk, którego ugrupowanie ledwo przekroczyło próg wyborczy. Dlaczego?

Zwycięzcą październikowej elekcji okazała się partia rosyjskiej mniejszości Zgoda, uzyskując ok. 20 proc. głosów. Jest ona znana ze swych prokremlowskich sympatii, np. podpisała umowę o współpracy z putinowskim ugrupowaniem Jedna Rosja. Opowiada się m.in. za zniesieniem sankcji wobec Rosji i zmniejszeniem wydatków na obronność. Na jej czele stoi 43-letni Nił Uszakow, od 2009 r. mer Rygi. Sam fakt, że stolicą Łotwy rządzą Rosjanie, wiele mówi o ich wpływie na tamtejsze życie polityczne. W końcu stanowią 27 proc. ludności kraju i 40 proc. mieszkańców Rygi.

Łotyszy jest jednak więcej i chociaż są mocno podzieleni, to w jednym pozostają w zasadzie zgodni: największe niebezpieczeństwo dla ich państwa stanowi Moskwa. Dlatego pozostałe partie w Sejmie postanowiły się porozumieć, otoczyć Zgodę „kordonem sanitarnym" i stworzyć własny rząd.

Negocjacje trwały 16 tygodni, ponieważ trudno było opracować wspólny program ugrupowaniom o różnych obliczach ideowych. Zwłaszcza że o fotel premiera starało się kilku kandydatów, których formacje uzyskały zbliżone do siebie wyniki: Do Kogo Należy Państwo – 14 proc., Nowa Partia Konserwatywna – 13 proc., Na Rzecz Rozwoju/Za! – 12 proc. i Zjednoczenie Narodowe – 11 proc. W ramach kompromisu uzgodniono jednak, że na czele rządu stanie kandydat najmniejszego ugrupowania parlamentarnego: Nowej Jedności (6,69 proc.) – 55-letni Arturs Krišjānis Kariņš, urodzony w Ameryce, obywatel USA i Łotwy, były minister gospodarki i dwukrotnie europoseł. Jego wybór to gwarancja kontynuowania atlantyckiego kursu państwa oraz odsunięcia od władzy Zgody. Opcja prorosyjska nadal jest jednak silna i wpływowa.

Grzegorz Górny

eprasa.pl c5acb31c1f

USA

Wraca pomysł Reagana?

„Będziemy chronić Amerykanów przed wszelkimi rodzajami ataków rakietowych" – oświadczył w Pentagonie prezydent Trump. „W przeszłości brakowało nam całościowej strategii obrony przeciwrakietowej. Zgodnie z naszym planem to się zmieni". Nowa koncepcja przewiduje uszczelnienie tarczy antyrakietowej i umieszczenie jej elementów również w przestrzeni kosmicznej.

Do tej pory tarcza – oficjalnie chroniąca Amerykę przed niespodziewaną napaścią ze strony „państw zbójeckich", takich jak Iran czy Korea Północna – pomyślana była jako zespół radarów i pocisków wystrzeliwanych – w zależności od fazy lotu wrogiej rakiety – z ziemi, morza lub powietrza. Jedna z lądowych wyrzutni powstaje dziś w Redzikowie koło Słupska. Problem w tym, że taka tarcza okazuje się mało skuteczna w zwalczaniu pocisków hipersonicznych, które pędzą do celu z prędkością wielokrotnie przewyższającą prędkość dźwięku, a przy tym mogą wykonywać manewry obronne – gwałtownie zmieniać kurs i pułap lotu. Technologię pocisków hipersonicznych rozwijają ostatnio Rosja i Chiny, nic więc dziwnego, że zmodyfikowana tarcza Trumpa musi być odczytana jako amerykańska odpowiedź na rosnące zagrożenie ze strony Moskwy oraz Pekinu.

Plany zakładają m.in. budowę i rozmieszczenie w pobliżu wrogich wyrzutni baz dronów bojowych wyposażonych w broń laserową, która byłaby w stanie unieszkodliwić rakiety jeszcze w fazie ich startu. Taka taktyka może być jednak skuteczna wyłącznie w przypadku niewielkich terytorialnie państw, jak Korea Północna (drony mogłyby operować z Korei Południowej), ale nie zda egzaminu wobec rozległej Rosji czy Chin. Dlatego rozważane jest również rozmieszczenie w przestrzeni kosmicznej sieci satelitów – zarówno rozpoznawczych, śledzących pędzące z ogromną prędkością pociski, jak i bojowych, zdolnych do ich przechwytywania oraz niszczenia. Mają one mieć możliwość strącania wrogich pocisków w początkowej fazie lotu, gdy te będą się znajdować jeszcze nad terytorium przeciwnika.

Jednocześnie Amerykanie ruszają z własnym programem broni hipersonicznej. W ubiegłym roku Pentagon podpisał dwie umowy na zaprojektowanie takich pocisków. Zdaniem ekspertów Ameryka ciągle zachowuje przewagę technologiczną nad rywalami i nowa broń – jeśli powstanie – zostawi zapewne daleko w tyle konkurencyjne projekty chińskie i rosyjskie.

Trudno przesądzać, czy nowy program gwiezdnych wojen okaże się, podobnie jak za czasów Ronalda Reagana, zręcznym blefem, ale zawieszona przez Amerykanów poprzeczka może być nie do przeskoczenia dla Chin i Rosji.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

epresa.pl c5acb31c1f

Rosja

Jeśli jutro wojna...

Zastępca ministra spraw wewnętrznych Rosji Igor Zubow oświadczył, że służby specjalne państw zachodnich tworzą scenariusze wywoływania konfliktów, w tym zbrojnych, w poszczególnych regionach Federacji Rosyjskiej. Służby te według Zubowa mają również stosować presję na przebywających za granicą Rosjan, aby „zebrać materiały kompromitujące na członków kierownictwa państwa rosyjskiego i na Rosję jako całość".

Zubow odwołał się w ten sposób do tej cechy społeczeństwa rosyjskiego, która chyba w największym stopniu odróżnia je od zachodnich. Idzie o przekonanie, że jest realną możliwością, iż jakieś inne państwo zbrojnie napadnie na Rosję. Przy czym chodzi tak naprawdę o kraje zachodnie, z USA na czele; Chin Rosjanie się nie boją, a zagrożenia islamistycznego nie uznają (i słusznie) za takie, które mogłoby przyjąć formę agresji dokonanej przez jakieś muzułmańskie państwo.

My wiemy, że wizja napaści Zachodu na Rosję jest ze wszystkich możliwych powodów totalnie irracjonalna, ale według ostatniego badania niezależnego centrum socjologicznego Lewada aż 56 proc. ankietowanych uważa, iż Rosji zagraża zbrojna napaść jakiegoś innego państwa. Przy czym to i tak spadek, bo w styczniu 2015 r., w szczycie zbrojnej fazy konfliktu donbaskiego, czyjąś wojskową agresję na Rosję uważało za realne 68 proc. badanych. Czyli nieco więcej niż dwóch na trzech Rosjan...

Po co Zachód miałby napadać na Rosję? Odpowiedzi na to pytanie można spotkać różne. Najczęściej więc mówi się o rosyjskich bogactwach naturalnych („Mamy całą tablicę Mendelejewa!"). Często – o nieokiełznanych ambicjach Ameryki, która chciałaby rządzić całym światem i tylko Rosja stoi na przeszkodzie realizacji tego celu. Czasem w ruch idzie bełkotliwa metafizyka (spisek światowych sił Zła przeciw odgrywającej rolę nieokreślonego a kluczowego czakramu Dobra Rosji).

Można więc się śmiać, ale wielu Rosjan naprawdę wierzy w takie rzeczy. I architekci polityki zachodniej, radzi nieradzi, muszą uwzględniać tę wiarę w swoich kalkulacjach.

Piotr Skwieciński

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Krach socjalizmu à la Maduro

Jan Pietrzak

Ile to już razy oglądaliśmy krach kolejnych mutacji socjalizmu? Wynędzniała Kuba braci Castro, Chile prezydenta Allende, Etiopia płk. Mengistu, Zimbabwe tow. Mugabe, Jugosławia marszałka Tity, Albania gen. Enwera Hodży, Korea Północna w rękach dynastii Kimów ze skoszarowaną ludnością, jałtański dorobek Rosji sowieckiej, czyli KDL zwane realnym socjalizmem. Miliony ludzi umęczonych, poniżanych w imię szczęśliwej przyszłości proletariuszy wszystkich krajów. Należałoby do tego grona doliczyć Niemcy pod panowaniem narodowego socjalizmu, choć u nich czynnik rasowy odgrywał dużo większą rolę niż klasowy, ale zidiocenie było podobne, prowadzące do zguby.

Ostatnimi laty szczególnie spektakularny jest przypadek wenezuelski. Bo to obiektywnie bogaty kraj. Kiedy Hugo Chávez w 1999 r. obejmował władzę, ze względu na ogromne zasoby drogiej wówczas ropy naftowej mógł liczyć, że na tej ropie uda się utrzymać socjalizm. Początkowo szło nieźle. Dopóki działały mechanizmy gospodarcze, finansowe... Było co rozdawać. Ale socjalizm ma to do siebie, że racjonalne zasady anuluje. Dziura budżetowa szybko się powiększała. Inflacja sprawiła, że za bochenek chleba trzeba płacić workiem banknotów... i zaczęła się spirala upadku.

W niektórych krajach trwa to dłużej, w innych krócej, ale krach jest nieuchronny, ponieważ socjalizm deklarowany przez ideologów i wodzów jest niemożliwy do urzeczywistnienia. Socjalizm jest pomysłem ideowo utopijnym, w praktyce – oszustwem. Zdumiewające jest to, że co rusz jakiś naród daje się nabrać. Niestety wyrwanie się z kleszczy socjalizmu nie jest łatwe. Polska „Solidarność" pokazała światu, że to możliwe, ale powrót do normalnego świata wymaga wiele wysiłku, woli walki, ofiar...

Przed napaścią niemieckiego socjalizmu narodowego i rosyjskiego internacjonalnego w 1939 r. było nas 36 mln. Po 1945 r. – 24 mln. Obecnie jest 38 mln. Istotne jest to, że nam socjalizm narzucono siłą. Nawet Stalin wiedział, że ten ustrój Polakom nie odpowiada. Powiedział, że komunizm pasuje Polsce jak siodło krowie...

Ciekawe, jak długo Wenezuela będzie odrabiać socjalistyczny eksperyment, podnosić zniszczoną gospodarkę oraz zapaść umysłową społeczeństwa, które raz ogłupione z trudem wraca do cywilizacji. Daj im, Boże, jak najlepiej.

Lekcja z końca świata

Z aktorem Adrianem Zarembą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Pana bohater, Albert, wyruszył z „Ekspedycją" Teatru TV. Gdzie dotarł i w jakim celu?

Adrian Zaremba: Trafił na koniec świata, by mieszkający tam Lud Końca Świata obdarować zdobyczami cywilizacji i kultury.

Kto wymyślił tę historię i za czyją sprawą trafi ona do widzów?

Autorem tekstu jest Wiktor Szenderowicz, rosyjski dziennikarz i satyryk, opozycjonista, co nie jest bez znaczenia dla przekazu materiału. Pomysł realizacji wyszedł od Wojciecha Adamczyka, znakomitego reżysera (także tego spektaklu), specjalisty od komedii. Całość należałoby w zasadzie nazwać przypowiastką filozoficzną, bo w warstwie fabularnej jest to zabawna historia wysłannika ONZ, który trafia do ludożerców, ale w sferze metaforycznej dostajemy opowieść o odwiecznych mechanizmach polityki, o patologii władzy, propagandy, a także o zwyczajnych ludzkich wadach, które sprawiają, że rzeczywistość wygląda tak, a nie inaczej. To również historia starcia idealisty z realnym światem.

Nie po raz pierwszy grany przez pana bohater, skądinąd pełen uroku, wydaje się trochę nie przystawać do rzeczywistości, która go otacza. Przypomnijmy: Tomek z serialu „Dziewczyny ze Lwowa", Szymon Hasefer z „Dróg wolności" czy Gabriel Horodyszcz, lotnik z kinowego „Hurricane" (polski tytuł: „303. Bitwa o Anglię").

Podejrzewam, że reżyserzy i producenci widzą we mnie takie, a nie inne warunki sceniczne oraz filmowe. Niezwykle cenię dotychczasowe propozycje, ale oczywiście chciałbym się też zmierzyć z czarnym charakterem.

Fot. Niemiec/AKPA

eprasa.pl c5acb31c1f

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy będziemy kolonią?

Muzeum Holokaustu w Nowym Jorku zażądało wprowadzenia aneksu do umowy z IPN. „Zażądało" jest tu słowem właściwym, gdyż przedstawiciele tej placówki jednoznacznie dali do zrozumienia, że nie oczekują żadnej dyskusji ani negocjacji. Stawiają warunki, a jeśli IPN się z nich nie wywiąże... Naturalnie ultimatum nie zostało doprecyzowane, ale groźba zaangażowania w sprawę innych instancji – jak najbardziej. Polakom powinno zależeć na dobrych stosunkach z USA, podkreślają przedstawiciele muzeum. Służby ambasady amerykańskiej także zdążyły się już odezwać.

Szefowa muzeum dość obraźliwie demonstruje swoje désintéressement wobec IPN. W ostatnim czasie pojawiała się w Polsce, spotykała się z rozmaitymi środowiskami, ale nie z tą państwową instytucją. Również w Nowym Jorku nie była zainteresowana rozmową z jej przedstawicielami, którzy przybyli tam, aby dookreślić nasze jakoby partnerskie relacje. Ale „partnerskość" tę Muzeum Holokaustu postrzega bardzo specyficznie, jako dyktowanie Polakom, co mają wykonywać.

Dotychczasowe stosunki między instytucjami również nie układały się zbyt harmonijnie. Istnieje wprawdzie porozumienie, które opiewa na ekwiwalentną wymianę między instytucjami, ale Muzeum Holokaustu zalega IPN 50 tys. stron, które winne mu na zasadzie równowagi przekazać. Dość często zresztą materiały z NY opatrzone są klauzulą, że nie wolno ich nikomu udostępniać, a więc nie mają żadnego znaczenia i przysłanie ich zakrawa na kpinę. Amerykańskie muzeum wbrew pozorom nie posiada atrakcyjnych archiwów, a jego żądania naruszają polskie prawo. Władze IPN nie zgodziły się na nie i zaproponowały dalsze rozmowy. Nie wygląda na to, aby druga strona była nimi zainteresowana.

Sprawa wykracza poza interes i prestiż IPN, chociaż instytucja ta reprezentuje państwo, a jego niepoważne traktowanie narusza nasze dobre imię. Ale nie tylko.

Jestem zwolennikiem jak najlepszych stosunków z USA, to nasz żywotny interes. Nie zastąpią ich relacje z Niemcami, którzy oczekują od nas wasalnej postawy (choć nie zachowują się w tak ostentacyjny sposób, jak potrafi to robić ambasador Mosbacher), co akceptowała poprzednia władza. Nie znaczy to jednak, że mamy zgodzić się na kolonialny układ z Waszyngtonem.

Nasze stosunki z USA nie zależą od osobistych sympatii poszczególnych Amerykanów, ale od interesów ich państwa. Jego przedstawiciele będą jednak zadowoleni, jeśli damy sobie narzucić uległość. O ileż ułatwi to im działanie. I to nasza rzecz, aby tego w żadnym razie nie zaakceptować. Każda potęga ma skłonności do paternalizmu i nonszalancji. Ale nawet Waszyngton nie wszystko może. Jeśli zależy mu na dobrych układach z Polską, a w innym wypadku nie podejmowałby w tym kierunku działań, to naszą sprawą jest wywalczyć z nim sobie partnerskie relacje. Można odnieść wrażenie, że władze PiS atakowane przez europejski establishment nie do końca zdają sobie z tego sprawę.

Inna rzecz, że opozycja, która nie zważa na polski interes, a jedynym jej celem jest powrócić do władzy, bardzo komplikuje działanie państwa. Epitety niemieckiego polityka pod adresem przedstawicieli rządu włoskiego spotkały się z ostrą odpowiedzią opozycji w tym kraju, która na co dzień bezpardonowo go zwalcza. Podobnie było w Czechach. Totalna opozycja w Polsce jest zachwycona tego typu zachowaniem ze strony zagranicznych ośrodków.

Dodatkowym problemem jest szczególna tragedia, którą zajmuje się amerykańskie muzeum. Tylko że najbardziej szczytny cel nie usprawiedliwia każdych metod, a Amerykanie nie mają monopolu na zajmowanie się Holokaustem. Najbardziej nieprzyjemne w tej sprawie jest wyciąganie maczugi antysemityzmu przeciwko uzasadnionym działaniom polskiego państwa. Inna sprawa, że ośrodki opiniotwórcze III RP, z „GW" na czele, przyzwyczaiły nas do tego. Każdy, kto je krytykował, miał być antysemitą. Teraz metodę tę przejęła totalna opozycja. Jej przedstawiciele suflują to zachodnim ośrodkom i donoszą na państwo polskie. Nie interesuje ich jego pozycja, ale władza. Można być pewnym, że z tego typu działaniami będziemy mieć do czynienia również przy okazji tej sprawy. Tak jak z pojawieniem się takich, którzy potraktują ją jako przejaw żydowskiej chęci podporządkowania sobie Polski. Wprawdzie część z nich to rosyjscy trolle, ale niestety nie większość.

Przedstawiciele amerykańskiego muzeum nie przejmują się tym, że ich zachowanie wywołuje postawy antysemickie w Polsce. Gorzej, że istnieją środowiska w naszym kraju, które traktują je instrumentalnie i którym są one na rękę.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c5acb31c1f

OGNIEM NA WPROST

Żałoba też w Palermo

Insa Eschebach, dyrektor Muzeum KL Ravensbrück, udzieliła wywiadu „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Stwierdziła w nim m.in., że Polacy zachowują się na terenie obozu w sposób niewłaściwy. Co jest zdaniem Frau Eschenbach „niewłaściwym zachowaniem" naszych rodaków? W czasach NRD, wspomina z łezką w oku obecna szefowa obozu, wizyty przebiegały harmonijnie. Tymczasem w ubiegłym roku w rocznicę wyzwolenia KL Ravensbrück kilku Polaków niosło transparenty z napisem „German Death Camps. Not Polish. Remember". Ale to pół biedy. Najgorsze jest to, że kilku mężczyzn miało opaski z symbolem Narodowych Sił Zbrojnych. Zdaniem Eschenbach NSZ to „antysemicka prawicowa organizacja podziemna w Polsce, która w czasie II wojny światowej częściowo walczyła po stronie Niemców". Ponoć jakaś część uczestniczących w obchodach kobiet była zbulwersowana i skarżyła się, że „po terenie obozu biegają faszyści". „W Polsce, na fali neonacjonalistycznych procesów, to zjawisko bardzo przybiera na sile" – oceniła na koniec Eschebach. To niewiarygodne, żeby dyrektorka muzeum na terenie obozu, przez który w czasie II wojny światowej przewinęło się 132 tys. Polek (najliczniejsza grupa więźniów), plotła takie politpoprawne bzdury. Zamiast taktownie milczeć, Eschenbach zachowuje się jak jakaś aufzejerka (żeńskie siły pomocnicze nadzorujące więźniów) i dobrze jeszcze, że podczas wypowiadania tych swoich mądrości nie macha pejczem przed nosem gości z Polski. Widać praca w takim miejscu wchodzi w krew.

„Niedostatki wyposażenia, niesprawne zarządzanie i rekordowo niska liczba nowego personelu" – oto podstawowe wnioski płynące z ostatniego, dorocznego raportu pełnomocnika Bundestagu ds. sił zbrojnych Hansa-Petera Bartelsa. „We wszystkich dziedzinach wciąż utrzymuje się system gospodarki niedoborów" – alarmuje autor. I tak w drugiej połowie 2018 r. niemiecka Kriegsmarine nie dysponowała żadnym własnym tankowcem, gdyż obie jej jednostki były unieruchomione wskutek awarii systemu napędowego. „Nadal żaden z sześciu niemieckich okrętów podwodnych nie jest w pełni zdolny do służby, czego przyczynami są poważne defekty techniczne, braki części zamiennych i przedłużające się remonty stoczniowe" – wskazuje przedstawiony dokument. Sprawna jest tylko połowa czołgów i samolotów bojowych. Jednak tym, co najbardziej zżera od środka armię niemiecką, jest rak biurokracji. W związku z tym żołnierze wymyślili już nową nazwę na Bundeswehrę – „biurokratyczny potwór". Cokolwiek by mówić, ze strony Zachodu militarnie raczej nic nam przez najbliższe lata nie grozi. Ale też na ewentualną pomoc nie ma co za bardzo liczyć.

Na tegoroczny konkurs Eurowizji Francja przygotowała wręcz idealnego kandydata. Gość nazywa się Bilal Hassani i swoją piosenką „Roi" wygrał eliminacje. Jego idolem jest Conchita Wurst, czyli Thomas Neuwirth. W czym jest lepszy Hassani od Neuwirtha? Otóż oprócz tego, że jest homoseksualistą i facetem, który lubi biegać po scenie w damskich ciuszkach (dziś to warunek sine qua non sukcesu w europejskim konkursie piosenkarskiego kiczu), to pochodzi z Maroka. A więc dewiant z krajów arabskich. Gratulujemy Francji kandydata i trzymamy kciuki. Nawet jeśli nie umie śpiewać, ma duże szanse na zwycięstwo. Homoseksualny imigrant to bardzo mocna kandydatura. Szkoda, że nie czarny.

W Urzędzie Miasta Gdańska dziś praktycznie nie można nic załatwić. „Jak to? To pan nie wie?" – dziwią się urzędniczki. „Gdańsk przeżywa żałobę po śmierci swego prezydenta". W końcu wyrazy wsparcia i solidarności płyną z całego świata. To nie czas na załatwianie przyziemnych spraw. Portal Giornale Di Sicilia informuje o decyzji burmistrza Palermo Leoluca Orlando, na podstawie której zarówno w poniedziałek, jak i we wtorek flagi na budynkach publicznych w tym sycylijskim mieście będą opuszczone do połowy masztu. To znak żałoby po śmierci Pawła Adamowicza. Choć największa organizacja pożytku publicznego na terenie Sycylii, jaką jest, jak wiadomo, cosa nostra nie wydała oficjalnego komunikatu, to jednak w uliczkach Palermo mówi się o poparciu idei żałoby przez cosa nostrę. Swoje stanowisko mają również wyrazić inne organizacje charytatywne z sąsiednich regionów, jak n'drangetta w Reggio Calabria i camorra w Neapolu.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c5acb31c1f

Komisja pojednania

KRZYSZTOF FEUSETTE

Komisarz Biedroń: Dzień dobry, witam koleżanki i kolegów serdeczniutko i cieplutko na pierwszym posiedzeniu komisji prawdy i poje... Przepraszam, bo nie mogę rozczytać... chania. Prawdy i pojechania. Albo poje... Nie, to chyba niemożliwe. A jednak stoi jak byk: po-jed-na-nia. A zatem witam na pierwszym posiedzonku naszej komisyjki prawdy i pojednania, którą zaproponowałem skutecznie w styczniu 2019 r. A skoro „prawdy" i skoro „pojednania", i skoro, jak zapowiedziałem, ma to być komisja „na wzór tej, która powstała w RPA po zniesieniu apartheidu", to znaczy, że mimo iż kolega Lewandowski z Brukseli twierdził, że sytuacja w Warszawie jest gorsza niż w Aleppo, to jednak dzisiaj najbliżej nam, to znaczy – im, właśnie do RPA. Przypomnę: 20 tys. ofiar, z czego 19,5 tys. w czasie walk plemiennych, gdy jedni prześladowani mordowali drugich. I przed tym chciałem przestrzec. Nie rżnijmy gałęzi, na której siedzimy, bo się w końcu w pień wytniemy. Nadmienię, że komisje prawdy i pojednania pracowały także w Peru – kolega Tusk był, to wie – gdzie w czasie wojny domowej doszło do 24 tys. przypadków śmierci lub zaginięć. A także w Chile, gdzie bez wieści zaginęło 3 tys. ludzi. Czy ktoś chce coś dodać?

Komisarz Rabiej: Tak, ja. Mam na imię Paweł i jestem...

Biedroń: To już wiemy. Do rzeczy, kolego.

Rabiej: Chciałbym, ale trochę się wstydzę. Bo mnie się wydaje, że oni, tzn. Kaczyński, Duda i Morawiecki, zabili Adamowicza. Ten Stefan W. to jest ich dziecko.

Biedroń: Jak to?

Rabiej: Tak to. Ja się ostatnio interesuję dziećmi, bo my z partnerem mamy już wszystko oprócz dzieci. No i okazuje się, że ten mężczyzna, który pierwszy na świecie zaszedł w ciążę, to wcześniej była kobieta. I on urodził trójkę, ale potem musiał się rozwieść, bo żona go biła. Widać na tym przykładzie, że droga do pojednania musi prowadzić przez prawdę...

Biedroń: Może ta żona była wcześniej mężczyzną? Teraz nie dojdziemy. Za to dojdą do nas za chwilę artyści. Już teraz zapraszam na spotkanie z naszymi gwiazdami, które w kameralnej atmosferze wprowadzą naszych członków w atmosferę zgody narodowej. Kolega Pieczyński opowie o zgubnym wpływie Kościoła na wszystko, koleżanka Janda – o nerwicy, a kolega Saramonowicz – o mowie nienawiści i o tym, że „może to brat zabił brata". Wcześniej jednak, jako że są już z nami kamery zaprzyjaźnionych stacji, muszę zadać państwu pytanie poniekąd erotyczne. To znaczy retoryczne, ha, ha, chłodnemu pled na myśli, że tak powiem. A pytanie brzmi: jakie mogliby państwo komisarze wymienić na poczekaniu przykłady pisowskiego apartheidu w sensie dyskryminacji? Proszę bardzo, widzę, że kolega Brejza się zgłasza...

Komisarz Brejza: Kibel mi spalili.

Komisarz Szczerba: A mnie zatrzasnęli. Z zemsty, że musiałem bez kolejki.

Komisarz Budka: I była jeszcze taka akcja, że lekarz nie chciał przyjmować.

Biedroń: Ale to chyba pisowców? Czy, jak mawia przewodniczący Rady Europejskiej, pisiorów?

Komisarz Schetyna: Co za różnica? Pisowskie państwo. Jest przyzwolenie na faszyzm i są efekty. Dzisiaj kibel, jutro salon. Trzeba szarańczę wytępić dokładnie tak samo jak język nienawiści. Kolega Lis to posprząta.

Komisarz Lis: Potwierdzam. Ja już sobie nawet mopa kupiłem.

Komisarz Kopacz: Mop nie wystarczy, trzeba będzie przewietrzyć po tej naftalinie.

Komisarz Wałęsa: A jak siem już otworzy te okna, to wtedy bendem mógł zrobić to, co żem zapowiadał...

Komisarz Tusk: Prowadź, Lechu, na bolszewików!

Komisarz Trzaskowski: Do spektaklu się przyczepili, że jest zbiórka na zabójstwo Kaczyńskiego, hejterzy!

Komisarz Owsiak: A te „Plastusie" to już czysty faszyzm! Za to „Ucho Prezesa" było super. Duda jako marionetka, he, he, myślałem normalnie, że w puszkę z baśki przywalę.

Komisarz Saramonowicz: E tam, ocieplanie wizerunku. Kaczyński to ch...

Komisarz Hołdys: Potwierdzam. Napisałem to samo.

Komisarz Durczok: A ja chciałem zapytać: dlaczego ich tutaj nie ma?! Czemu my musimy się zadowalać wyłącznie tarczami z podobiznami, które co chwilę się przewracają? Koleżanka Lubnauer w ogóle nie uczestniczy w posiedzeniu, bo bez przerwy musi je poprawiać...

Komisarz Lubnauer: Nie szkodzi, przynajmniej się do czegoś przydam. Zresztą nasze stanowisko wyłożył już kolega Rabiej. To jest ich dziecko.

Rabiej: Ale my nie mamy dziecka.

Lubnauer: Mnie chodzi o tego zabójcę.

Komisarz Petru: Przecież zabójcą jest telewizja publiczna. Tak mieliśmy mówić.

Komisarz Kosiniak-Kamysz: Panie Ryśku, tu są dziennikarze!

Komisarz Czuchnowski: Są dziennikarze i jestem ja. Olać TVP, dziki i korniki. Teraz ciśniemy z wieżowcami. Mamy podejrzenia, że Kaczyński chciał w nich opozycję zamknąć. I to bez windy!

Biedroń: Zatem prawdę już znamy. A co z pojednaniem?

Schetyna: Spokojnie, chłopcze. Najpierw depisyzacja, potem zabawa.

eprasa.pl c5acb31c1f

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Aborcja bez reklamy

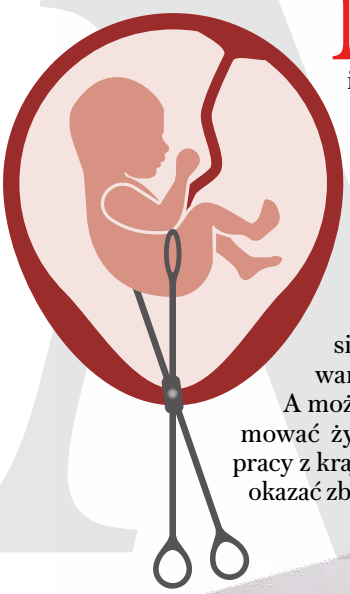

Niemiecki rząd chce złagodzić przepisy związane z aborcją. „Według projektu ustawy, do którego dotarła agencja DPA, lekarze będą mogli informować, np. na swoich stronach internetowych, że oferują zabiegi przerywania ciąży" – informuje Dziennik.pl. Ponieważ w Niemczech aborcji reklamować nie wolno, ustawodawca wymyślił, że wolno będzie lekarzom o aborcji po prostu informować. Choć próbę wykreślenia z ustawy zakazu reklamy aborcji podjęto, to jednak sprzeciwili się temu deputowani CDU/CSU i AfD. A może by tak zacząć reklamować życie? Wówczas ręce do pracy z krajów islamskich mogłyby się okazać zbędne.

175 mld zł
– tyle wyniosły w 2018 r. wpływy z VAT. Ta kwota zdaniem premiera Mateusza Morawieckiego przekroczyła zakładany poziom.

316 bankomatów
– tyle ich ubyło w Polsce w trzecim kwartale ubiegłego roku. To spadek o 1,4 proc. wobec poprzedniego kwartału.

66 mld zł
– tyle PKP Polskie Linie Kolejowe mają do wydania na inwestycje do 2023 r.

Brakuje Niemców

„Niemiecka policja cierpi na braki kadrowe. Brandenburgia postanowiła poszukać świeżego narybku po wschodniej stronie granicy. Szkolenia rozpoczęły się w 2015 r. Trzej pierwsi absolwenci już założyli niemiecki mundur" – czytamy na Dw.com. Brakuje Niemców, powiadacie? W takim razie patrzcie: punkt pierwszy.

Równo, równiej, najrówniej

„Szkocja planuje wprowadzenie dwumiesięcznego płatnego urlopu tacierzyńskiego oraz darmowej opieki nad dziećmi w wieku od sześciu miesięcy do pięciu lat" – informuje „The Guardian". Propozycje te – jak pisze gazeta – mają uczynić ze Szkocji lidera w zakresie prawa wprowadzającego równość płci. Przedstawiono je w pierwszym rocznym raporcie Krajowej Rady Doradczej ds. Kobiet i Dziewcząt – czytamy na rp.pl. Z niecierpliwością czekamy, kiedy Szkoci zaczną karmić piersią, wtedy Szkocja stałaby się prawdziwie niedoścignionym liderem w dziedzinie równości płci.

eprasa.pl c5acb31c1f

Spódnice surowo zakazane

Polityczna poprawność szaleje w Wielkiej Brytanii. W 40 szkołach średnich „uczennicom zakazano noszenia spódnic w celu zaspokojenia potrzeb uczniów transgenderowych" – czytamy na Niezalezna.pl. Szkoły wprowadzają neutralną pod względem płci politykę. Zgodnie z nią i chłopcy, i dziewczęta muszą nosić spodnie. Copleston High School w Ipswich uznała wręcz spódnice za strój niedopuszczalny. Tylko co, jeśli w tym szaleństwie normalne dziewczyny poczują się uwięzione w męskim stroju? Ano nic. Przecież liczy się tylko równość, a że nie wszyscy mają równo pod sufitem, to już inna sprawa.

29 stycznia 2019 – to będzie jeden z najważniejszych dni w osiemnastoletniej historii PiS – ogłaszał na Twitterze Tomasz Lis, nim „Wyborcza" opublikowała taśmy Jarosława Kaczyńskiego. I był to ważny dzień. W tym dniu „GW" zaczęła robić PR prezesowi PiS.

Teoria spisku

Firma YouTube ogłosiła, że zmieni funkcjonujący na platformie system rekomendacji. Chodzi o to, żeby ograniczyć widoczność tzw. treści skrajnych, w tym np. promujących teorie spiskowe lub zawierających fałszywe informacje. Kto zdecyduje, co jest teorią spiskową? Tego dokładnie nie wiadomo. To już prosta droga do cenzury. A może to teoria spiskowa?

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Najtęższe pióro

Dominik Zdort

Wśród odbiorców mediów można wyróżnić dwa gatunki: bardziej i mniej wyrobionych. Ten mniej wyrobiony łyka bez refleksji, co mu jego ulubione gazety, telewizje, portale internetowe serwują. Komentarze uważa za dowody, a publicystykę za fakty. Nie zastanawia się, w jakim stopniu w tekście czy materiale telewizyjnym postawione tezy zostały udowodnione, a na ile to tylko propagandowy balonik czy „kapiszon", jak to się ostatnio mówi. Niewyrobiony czytelnik nie zwraca także uwagi na nazwisko autora tekstu – bo dla niego autorytetem nie jest konkretny dziennikarz, ale medium, które publikuje jego materiały.

Dla wyrobionego czytelnika nazwisko autora ma pewne znaczenie. Podam jeden przykład: pan redaktor Wojciech Czuchnowski. Nie chcę się wdawać w analizę jego tekstów, nie znam jego metod dziennikarskich. Wiem natomiast, że zawsze, gdy na Czerskiej powstaje tekst dużej wagi wymierzony w obecną władzę, jego autorem lub współautorem jest red. Czuchnowski. Z tego powodu jego nazwisko w oczach części czytelników odbiera tekstom wiarygodność – z góry bowiem można podejrzewać, że autor rządowi nie sprzyja i raczej nie będzie usiłował ważyć racji. To pewnie niewielka grupa odbiorców, bo ludziom inaczej niż „Wyborcza" myślącym coraz trudniej czytać publikowane w niej teksty. Została jednak jakaś grupa symetrystów chcąca się dowiedzieć, co myślą inni.

Nie wiem, czy na Czerskiej przyszło im to do głowy, gdy przygotowywali materiał o Jarosławie Kaczyńskim budującym wieżowiec w Warszawie. To miał być najważniejszy tekst, demaskujący obłudę PiS i samego prezesa. Gdyby redaktorom zależało, aby dodać materiałowi siły i wiarygodności, gdyby chcieli przekonać czytelników mniej fanatycznych, a bardziej wyrobionych, pan Wojciech nie byłby jego współautorem. Bo i po co? Do spisywania taśm nie trzeba najtęższego pióra „Wyborczej".

Wyjaśnić tę sytuację można na parę sposobów. Albo – w co nie wierzę – nikt inny na Czerskiej nie chciał uczestniczyć w pisaniu takiego tekstu. Albo – co możliwe – redaktorzy „GW" nie są już w stanie spojrzeć na siebie z zewnętrz. Albo – co najbardziej prawdopodobne – nie zależy im już nawet na tworzeniu pozorów.

Dobrą puentą tej opowieści o wiarygodności jest nazwisko adwokata zatrudnionego przez austriackiego biznesmena, który zgłaszał pretensje do Jarosława Kaczyńskiego. Roman Giertych. To brzmi nawet lepiej niż Wojciech Czuchnowski.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl c5acb31c1f

RZECZY POSPOLITE

Dinozaury i wieżowce

Tomasz Łysiak

Usłyszałem właśnie niezwykłą w swej głębi metaforę, jakiej użyła w wypowiedzi dla jednej telewizji była premier Ewa Kopacz: „Przypomnę trochę strasznie dawne czasy. Wtedy, kiedy dinozaury jeszcze były, a ludzie nie mieli strzelb i nowoczesnej broni, która pozwoliłaby je zabić. Wie pani, co robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura. Wiadomo, że od jednego rzucenia na pewno nie padł. Ale jeśli przez miesiąc, dwa rzucali tymi kamieniami, to go na tyle osłabili, że mogli go pokonać". Wizja walki z PiS za pomocą rzucanych wielokrotnie kamieni, by „ubić potwora", zrobiła na mnie wrażenie. Nawet zacząłem sobie wyobrażać wychodzące z jaskini, okryte skórami i wysmarowane węglem tłumy opozycji. Na czele Schetyna odziany w skórę tygrysa szablozębnego i w nakryciu głowy wykonanym z czaszki takiegoż tygrysa, z kłami sterczącymi aż za podbródek. Za nim posłowie z maczugami w rękach. Jeden bardzo nowoczesny – z łukiem wykonanym z piszczela petrudaktyla. A inny strasznie kudłaty. Jeszcze dalej uzbrojone, wypastowane na czarno jaskiniowe baby, z rudą pramatką naturą wyjącą niczym wilczyca broniąca małych.

W jaskiniach natomiast byłyby wszędzie malowidła naskalne robione czcionką „Wyborczej" i węglem.

Czy to homo sapiens? Czy homo neanderthalensis? Nie wiadomo – pokonuje czas i przestrzeń, skacze o dziesiątki milionów lat wstecz, by ugodzić przeciwnika kamulcami.

Problem polegający na tym, że homines sapientes nie żyli w tych samych czasach, co dinozaury, nie stanowi dla pani Kopacz kłopotu. Liczą się dobra metafora i wyobraźnia.

Abstrahując od samego obrazu ciskania kamieniami nie do końca zgodnego ze standardami „języka miłości", trzeba zauważyć, że ta krótka przypowieść jest doskonałym przykładem tego, jak opozycja prowadzi obecnie politykę. Wytwarza swego rodzaju „alternatywną rzeczywistość", w którą każe uwierzyć swoim wyborcom, i w ramach tego wirtualnego świata usiłuje uderzać w PiS.

Nagle „powstają", prawie już niemal stojące w wizjach „Wyborczej", wieżowce na Srebrnej (mimo że z nagrań wynika coś odwrotnego – decyzja o niebudowaniu). Są jak dinozaury Kopacz – nie ma ich, a jakby były. Ważne, by uwierzyć, że są. A prawda się nie liczy.

Nakarmimy psa

Piotr Cywiński

„Jes, jes, jes!" – jak zakrzyknął swego czasu w Brukseli wtedy premier „Kaz" Marcinkiewicz, obecnie znany ze ścigania przez byłą żonę „Isabel" za niepłacenie alimentów. Co prawda europoseł Lewandowski, kiedyś minister od przekształceń własnościowych, „jes, jes, jes!" nie krzyczał, ale powód miał, bo wyszło, przyjechała, z rodziną nawet, i szef europarlamentu ich podjął, i cała piątka zapozowała do wspólnej fotografii... Gdyby komuś umknęło to jakże ważne wydarzenie, na ściance PE wystąpili: Antonio Tajani, Janusz Lewandowski, a pomiędzy nimi wdowa po prezydencie Gdańska Magdalena Adamowicz, jej córka Antonina oraz szwagier i stryj Piotr, brat Pawła Adamowicza. Na tę okoliczność przewodniczący Tajani zagaił: „Najbliższa rodzina Pawła Adamowicza jest dzisiaj z nami, w samym sercu Europy. My, Europejczycy, nie możemy pozwolić na tak tragiczne w skutkach akty agresji i przemocy. Musimy być zjednoczeni i konsekwentni w walce przeciwko zamachom na fundamenty europejskiego społeczeństwa".

Cóż za postawa – i Tajaniego, i Lewandowskiego, i wielu, wielu innych, zjednoczonych i konsekwentnych. Czapki z głów! Zapewne tylko z braku czasu nie podejmują w europarlamencie rodzin innych ofiar, wdowców, wdów, ich dzieci, wnuków, sióstr i braci, kuzynostwa, siostrzeńców, oraz krewnych w linii prostej. Fotograf miałby abonament. Dość rzucić okiem do kronik wypadków w krajach członkowskich UE, trup ściele się gęsto, że o agresji i przemocy na ulicach rozognionej Francji i o froncie nienależących do wspólnoty Ukrainy oraz Rosji nie wspomnę.

Cóż, wszystkich przyjąć się nie da, ale pani wdowa to przypadek wart szczególnego potraktowania. Wie, co zabiło jej męża, i nie boi się tego głosić. Może nawet, żeby głosić jeszcze donioślej, wystartuje do Sejmu lub europarlamentu. I „jemunitet" będzie miała, nie taki jak ci z Polskiej Partii Uczciwości z „Rancza", tylko prawdziwy. I nie będą już pani Magdalenie te „urzędy skarbowe wymyślały absurdalne zarzuty, reżimowa telewizja, która biegała za Pawłem" dokuczała, jak to ujęła w TVN. Predyspozycje ma. Jest wdową. „Uczciwość naszym drogowskazem!" – wskazywał drogę Czerepach, jak zwyciężać mamy. „Ja pierdzielę, normalnie jest sprawiedliwość! Nakarmimy psa...".

eprasa.pl c5acb31c1f

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: PIOTR TRACZ/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS (x2), GRZEGORZ BUKAŁA/REPORTER, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, JULITA SZEWCZYK, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK (x2)

eprasa.pl c5acb31c1f

Egzamin z potajemnego nagrania

Jarosław Kaczyński zdał bardzo dobrze

eprasa.pl c5acb31c1f

Jarosław Kaczyński nie jest człowiekiem bogatym. Odwrotnie – jest osobą bardzo zadłużoną. Musiał wziąć bowiem dużą pożyczkę na leczenie przewlekle chorej mamy

Michał Karnowski rozmawia z Józefem Orłem, twórcą i liderem Klubu Ronina, filozofem, menedżerem, publicystą

Jak długo zna pan Jarosława Kaczyńskiego?

Józef Orzeł: Kilkadziesiąt lat.

Pierwszy kontakt?

Poznaliśmy się w latach 70., kiedy pracowałem w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Tam na seminaria najprawdopodobniej przychodził śp. Leszek Kaczyński, który nosił wtedy wąsy. Kilka razy kłaniałem się i podawałem rękę takiemu samemu, który wąsów czasami nie miał. No i ten powiedział, że nie jest Leszkiem, ale Jarkiem.

Drugie zetknięcie było jeszcze bardziej zabawne. W stanie wojennym byłem w kierownictwie, a na początku szefem, Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności". Jarosław też w nim działał, do momentu w którym nie wyciągnęli go, by doradzał Komisji Krajowej „Solidarności". Nie spotkaliśmy się osobiście, to była konspiracja, ale Jarosław wspominał, że wiedział tylko tyle, iż szefem MRKS był w tym czasie filozof. Czyli ja.

Ale z lat 80. wyszli panowie już jako dość dobrzy znajomi?

Tak naprawdę poznaliśmy się w sierpniu 1989 r. Pracowałem wtedy w Komitecie Wyborczym „Solidarności". Było to już nudne zajęcie, bo już było po wyborach. Krzysztof Czabański zaproponował mi wtedy przejście do „Tygodnika Solidarność", którego szefem został właśnie Jarosław Kaczyński. Porozmawialiśmy wtedy dłużej, zyskałem chyba akceptację, bo zostałem szefem Działu Związkowego w tym piśmie.

Wkrótce potem powstała partia Porozumienie Centrum, poprzedniczka Prawa i Sprawiedliwości?

Tak. Byłem jednym z jej założycieli, jak prawie cała ekipa polityczna „Tygodnika Solidarność". Przyszedłem do PC z Maciejem Zalewskim i Andrzejem Urbańskim, z całym Forum Demokratycznym Mazowsza, które wtedy tworzyliśmy. Było to ok. 400 osób wywodzących się z podziemnej „Solidarności", można powiedzieć: oficerów, mających często swoje grupy. Bardzo mocna organizacja. W 1991 r. zostaliśmy posłami z ramienia PC, przeszliśmy razem aż do powstania rządu Hanny Suchockiej. Wtedy doszło do sporu, bo klub postanowił, że będzie w każdej sprawie głosował przeciw rządowi. Nie podobało się to naszej piątce, bo stawialiśmy pytanie: a co, jeśli ten rząd, nawet przez przypadek, wymyśli coś dobrego dla ludzi? Obok mnie byli w tej grupie Andrzej Urbański, Maciej Zalewski, Marcin Przybyłowicz, Jerzy Eysymontt. No i głosowaliśmy czasami inaczej, co stało się bezpośrednim powodem odejścia z PC naszej piątki. Od tamtej pory w żadnej partii nie byłem, ale z Jarosławem Kaczyńskim lubimy się i spotykamy.

Jarosław Kaczyński jest intelektualistą, człowiekiem wysokiej kultury, jak to się kiedyś mówiło – inteligentem z Żoliborza. Zna się trochę na wszystkim, ma solidną wiedzę z wielu obszarów

No dobrze, czy zatem znając tak długo Jarosława Kaczyńskiego, jest pan wstrząśnięty tym, co media okrzyknęły „taśmami Kaczyńskiego", co w ich mniemaniu ma obnażać jakąś nieznaną opinii publicznej biznesową twarz lidera Prawa i Sprawiedliwości?

Nie, mnie się nadal wszystko zgadza. Jarosław Kaczyński jest intelektualistą, człowiekiem wysokiej kultury, jak to się kiedyś mówiło – inteligentem z Żoliborza. Zna się trochę na wszystkim, ma solidną wiedzę z wielu obszarów, bo to właśnie powinny być podstawowe cechy inteligenta.

Także na pieniądzach?

Także, oczywiście, że zna się także na pieniądzach, rozumie mechanizmy gospodarcze, finansowe. Jest przecież doktorem praw. Dalej idąc: czy można być politykiem aspirującym do rządzenia państwem, nie znając tych spraw? Czy można być premierem, będąc dyletantem w sprawach ekonomii, prawa, gospodarki? Jarosław Kaczyński był premierem i dobrze sobie

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

eprasa.pl c5acb31c1f

radził, właśnie dzięki temu, że świetnie rozumiał, co się w państwie dzieje i jak pewne rzeczy można zmienić. Dzisiaj również nikt chyba nie ma wątpliwości, że jego rządy sobie w tych sferach dobrze radzą. Problemem w tych publikacjach jest coś innego: to suflowana sugestia, że Jarosław Kaczyński pracuje dla pieniędzy, co jest nieprawdą.

Pieniądze nie są dla niego ważne?

Kiedyś postanowił, obiecał sobie, że będzie pracował wyłącznie dla Polski. Z tym się wiąże to, że nie założył rodziny, uznając, iż byłaby ona bardzo pokrzywdzona, w ogóle by go nie było w domu, bo cały postanowił się oddać polityce.

Rodzina to też dzisiaj często pole wywierania presji na polityka czy osobę publiczną: w pracy bliskich, w szkole dzieci.

Wiemy coś o tym obaj, niestety. Leszek poszedł inną drogą. Założył rodzinę, był w niej szczęśliwy. To było jedno z lepszych małżeństw, jakie widziałem wokół siebie.

Wróćmy do taśm.

Kłopot w tym, że tutaj nie bardzo jest o czym rozmawiać. Jarosław Kaczyński nie powiedział dosłownie nic, do czego można by się przyczepić. I większość ludzi chyba tak to odebrała. Oczywiście teraz próbuje się nas przekonywać, że jednak powinniśmy to przeczytać jeszcze raz, inaczej, że to straszne, ale – jak to mówią – drugi raz nie da się zrobić pierwszego wrażenia. Ba, to pierwsze wrażenie okazało się bardzo korzystne dla Jarosława Kaczyńskiego. Jest taki, jakiego go znam: nie przeklina, mówi z szacunkiem o osobach trzecich, co jest naprawdę rzadkie. Większości z nas zdarza się po cichu mówić o innych gorzej. A on o każdym, nie wiedząc, że jest nagrywany, tylko „pani, pan...". To robi największe wrażenie.

Egzamin z tajnego nagrania zdany?

Na pewno mało kto by wybrzmiał w ten sposób w takiej sytuacji, kto by lepiej zdał taki – jak pan mówi – egzamin. Zwykle ludzi nieobecnych osądzamy, oceniamy, mówimy z mniejszym szacunkiem niż do nich bezpośrednio. Tu tego nie ma.

To co jest? Biznesowe negocjacje? Deweloperka? Tajny deal?

Na taśmie nie ma żadnego dealu, żadnego interesu. To, co przeczytaliśmy, bardziej wygląda na rodzinne doradztwo niż przemawianie w imieniu inwestora czy spółki Srebrna. On wprawdzie mówi czasami „my", ale to dlatego, że utożsamia się z działalnością tej fundacji i tych spółek, w których są ludzie PiS, które wyszły z jego środowiska, które mają zbudować te wieże, by mógł w nich działać Instytut Lecha Kaczyńskiego. Kilka razy słyszymy wyraźnie, że on doradza temu panu z Austrii, swojemu dalekiemu powinowatemu, który ma problem w relacjach ze spółką Srebrna. Bo on nie może zarządowi niczego narzucić. I – co więcej – nie ma zamiaru tego robić. Mówi to jasno. Wskazuje: nie ma dokumentów, nie ma pisemnej umowy, nie ma podstaw obecnie do wypłacenia pieniędzy. Doradza zatem, by wystąpić na drogę sądową, co jest drogą sprawdzenia prawdziwości roszczeń, ich legalności, a ewentualny wyrok sądu da możliwość zarządowi spółki Srebrna wypłacenia wynagrodzenia. Zwróćmy uwagę, że wciąż nie wiadomo, między kim a kim ta ustna umowa miała być zawarta. Na pewno nie między biznesmenem a Jarosławem Kaczyńskim.

Ja miałem wrażenie, że nad tą rozmową unosi się wątpliwość Jarosława Kaczyńskiego, czy ktoś nie próbuje dokonać oszustwa. Nie ma umowy, nie ma dokumentacji wykonania prac.

Dlatego on kilkakrotnie mówi o dokumentach, rachunkach, fakturach, których – w domyśle – obecnie brakuje. Ja też odnajduję w tym sugestię, że dokumentacja musi być uzupełniona nie tylko o formalne podstawy do wypłacenia pieniędzy, lecz także o dowody wykonania konkretnych prac, potwierdzenia ich wartości. I jasno wybrzmiewa, że nie Jarosław Kaczyński będzie to stwierdzał, ale sąd, i że nie on jest tu stroną, lecz spółka Srebrna. Dlatego właśnie mówię o moim odczytaniu sensu tego stenogramu: to jest porada, próba pomocy w rozwiązaniu sprawy, w której lider Prawa i Sprawiedliwości nie jest bezpośrednio stroną. To jest też troska o to, by spółka Srebrna, bez wątpienia powiązana ze środowiskiem PiS, nie zrobiła niczego, co mogłoby być uznane za naruszenie prawa. Jarosław Kaczyński w tym wątku wręcz przynudza, powtarza to kilka razy w różnych formach.

> Na taśmie nie ma żadnego dealu, żadnego interesu. To, co przeczytaliśmy, bardziej wygląda na rodzinne doradztwo niż przemawianie w imieniu inwestora czy spółki Srebrna

Trzeba pamiętać, że zapłacenie pustej faktury za usługi niewykonane lub o zawyżonej wartości jest przestępstwem karnoskarbowym.

Oczywiście, i doktor prawa, faktyczny obecny przywódca państwa polskiego Jarosław Kaczyński, doskonale o tym wie. Przestępstwem jest zapłacenie za coś, co nie było wykonane. W całej rozmowie nie ma śladu, by cokolwiek było niewłaściwie prowadzone. To wszystko jest tak, jak przewiduje polskie prawo: partie nie mogą prowadzić działalności gospodarczej, ale mogą tworzyć fundacje, mogą z nimi współpracować. Tak się dzieje w całym cywilizowanym świecie, tak się tworzy infrastrukturę pozwalającą prowadzić normalną pracę polityczną, bez uzależnienia od oligarchów finansowych. I właśnie takiej rozmowy o politycznej infrastrukturze jesteśmy za pośrednictwem tego stenogramu świadkami.

eprasa.pl c5acb31c1f

To rozmowa z dalekimi, ale jednak członkami rodziny. Ma to znaczenie?

Nie znamy dokładnego charakteru tej relacji. Na pewno Jarosław Kaczyński zna dobrze swojego kuzyna Grzegorza Jacka Tomaszewskiego, do tłumaczki mówi „Karolinko", żartuje z jej dziurawych, wedle najnowszej mody, spodni. Biznesmen Gerald Birgfellner to osoba, z którą wydaje się w relacjach najdalszych z tego grona. Wszystko to każe postawić pytanie o intencje tego nagrywania. To wygląda bardzo dziwnie. Z tego, co wiemy, ma być 16 nagrań, zaczyna się to w momencie, gdy Jarosław Kaczyński udziela biznesmenowi porady, zresztą niezłej, z której jednak ten nie korzysta, nie idzie do sądu. Zamiast tego pędzą do mecenasa Romana Giertycha, jakby nie było w Warszawie, jeśli już musieli sięgnąć po prawnika, setek dobrych innych kancelarii.

Można powiedzieć, że idzie do opozycji?

Na pewno do symbolicznie opozycyjnego adwokata, do którego idzie się, jeśli chce się zaszkodzić obozowi dziś rządzącemu. Mnie to prowadzi do wniosku, że w tym momencie ten pan nie chce załatwić swojej sprawy, ale chce zrobić aferę polityczno-medialną. To jest jasne jak słońce dla każdego, kto trochę ten świat rozumie. W tym momencie jego relacje ze spółką Srebrna jeszcze bardziej się komplikują, negocjacje, poza drogą sądową, stają się niemożliwe.

> Jarosław Kaczyński nie pracuje dla osobistych korzyści, nie ma ani nie chce mieć dużego majątku, istotną część dochodów od dawna oddaje Kościołowi

Może taśmy są upubliczniane bez jego wiedzy?

To nie ma znaczenia. Jeśli poszedł do mecenasa Giertycha, to musiał się z tym liczyć, poszedł właśnie na taką awanturę.

Padają argumenty, że bał się, iż w polskich sądach, ponoć przejętych przez PiS, by przegrał. To wiarygodne?

To chyba żart. Sądy nie są pisowskie, PiS niczego nie przejęło, a w niemal każdym sądzie każdy, kto staje z pozwem przeciw komukolwiek związanemu z obozem dzisiaj mającym większość w parlamencie, ma 100-krotnie większe szanse na wygraną. Polscy sędziowie są bardzo upolitycznieni, co nie jest jednak standardem europejskim, ale w stronę przeciwną, antypisowską.

W debacie o tej sprawie na antenie telewizji wPolsce.pl, w której obaj wzięliśmy udział, mocno wybrzmiało pytanie: jak to możliwe, że faktycznego przywódcę państwa udało się nagrać w jego gabinecie?

Do gabinetu prezesa PiS nie jest łatwo się dostać, ale też nie jest to jakaś twierdza. Przewija się tam wiele osób, nie są sprawdzane jakoś superdokładnie przez ochronę. Bo głównym filtrem jest zaufanie do rozmówcy. I tutaj nadużyto tego zaufania, co tym bardziej bolesne, że było ono oparte na więziach rodzinnych, na rekomendacjach bliskich osób. W tym kontekście pytanie o intencje pana Geralda Birgfellnera wybrzmiewa jeszcze mocniej.

Jak można odczytać intencje publikującej te rzekome sensacje „Gazety Wyborczej"? Jedna z okładek wybijała na czerwono zdanie: „A w związku z tym jestem niezwykle zamożnym człowiekiem. Nie możemy sobie na to pozwolić". W rzeczywistości intencja wypowiadającego te słowa prezesa PiS była odwrotna. Powiedział, wyjaśniając dlaczego inwestycja została porzucona: „Druga przeszkoda to jest kampania o charakterze czysto politycznym pod tytułem: partia buduje wieżowiec, azjatyckie stosunki czy to nawet zgoła stwierdzenie, że to ja buduję – a w związku z tym jestem niezwykle zamożnym

eprasa.pl c5acb31c1f

człowiekiem. Nie możemy sobie na to pozwolić". Innymi słowy: obawiał się, że kampania medialna będzie mu przyszywała gębę milionera. I gazeta Michnika dokładnie to robi! Opierając się na tym cytacie, który przed takim ryzykiem przestrzega.

Cóż mogę powiedzieć? To nieładne sugestie. Jarosław Kaczyński nie jest człowiekiem bogatym. Odwrotnie – jest człowiekiem bardzo zadłużonym. Musiał wziąć bowiem dużą pożyczkę na leczenie przewlekle chorej mamy. Wielu Polaków dotyka ten problem, wie, że w takich wypadkach opieka NFZ jest niewystarczająca, trzeba kupować dodatkowe usługi medyczne i opiekuńcze. Te długi do dzisiaj spłaca. Podkreślam raz jeszcze: Jarosław Kaczyński nie pracuje dla osobistych korzyści, nie ma ani nie chce mieć dużego majątku, istotną część dochodów od dawna oddaje Kościołowi. Sam nie gustuje w zbytkach, nigdy nie poczęstował mnie czymś więcej niż herbatą. To są fakty znane wszystkim, którzy prezesa PiS znają. „Wyborcza" sugeruje nieprawdę. Źle czynią.

Tam jest jeszcze jedna sugestia: że może Jarosław Kaczyński osobiście udaje biednego, ale ma fundację, która jest bogata, obraca dużymi pieniędzmi.

Fundacja Instytut im. Lecha Kaczyńskiego, do której należy spółka Srebrna, to de facto dobro publiczne. Może wydawać pieniądze tylko na cele określone statutem. Pomysł wybudowania wieżowców w Warszawie, na gruntach w centrum stolicy, gdzie wszyscy wokół budują takie nieruchomości, miał na celu stworzenie mechanizmu, który finansowałby działalność Instytutu w perspektywie kilku dekad. Z tego, co wiem, miało tam powstać muzeum wybitnego prezydenta Rzeczypospolitej, ośrodek intelektualny promujący jego dorobek, jego myśl państwową, miejsce wystaw. Dziś w siedzibie Instytutu, w domku na Żoliborzu, jest to niemożliwe. Łączenie tych prac z osobistym majątkiem Jarosława Kaczyńskiego, który jest niewielki, uważam za nieuczciwość. Znów mogę tylko podkreślić: to jest po prostu nieprawda.

A wątek ewentualnego kredytowania inwestycji przez jeden z banków z udziałem skarbu państwa?

Nie znamy szczegółów, ale powiem tak: kredytu nie udzielono, nie było wniosku o kredyt, nie było nic. Pewnie gdyby był, zostałby sprawdzony i zapewne byłby dla banku opłacalny, bo banki na takich inwestycjach zarabiają wszędzie w stolicy. Ale nic się nie zdarzyło, nie bardzo jest o czym rozmawiać.

> Do gabinetu prezesa PiS niełatwo się dostać, ale też nie jest to twierdza. Przewija się tam wiele osób, nie są sprawdzane jakoś superdokładnie przez ochronę. Bo głównym filtrem jest zaufanie

Dla nas liczą się fakty, staramy się dojść do istoty sprawy. Na tej mapie medialnej większość mediów nie patrzy jednak na takie detale, każda pałka wydaje się dobra, by uderzyć w obóz rządzący. I ta przewaga jest potężna. Może jednak narzucą te kłamstwa o wielkim skandalu? Już przed publikacją wołali: na długo PiS zapamięta ten dzień.

No tak wołali, ale raczej będzie odwrotnie: tylko oni ten dzień zapamiętają, nikt inny. Znowu im się ostro pomyliło. To zgasło, zanim się zaczęło. Wszystko trwało dobę, bo już po 24 godzinach nawet politycy związani z opozycją dostrzegli, że tam nic nie ma, że z tego nic nie będzie. Tylko totalna opozycja – a to media w rodzaju „Wyborczej" i TVN są dziś prawdziwą totalną opozycją – trwa w swoim uporze, by coś z tego dalej próbować kręcić. Wszyscy inni widzą, że to nie bomba atomowa, ale kapiszon.

Można chyba postawić już tezę, że ta totalna opozycja marzy o powtórce z roku 2014, kiedy taśmy z Sowy podmyły fundamenty moralne dla ekipy PO-PSL. Tylko zapominają o jednym: wtedy szok był ogromny, bo Polacy mieli w mediach wyłącznie lukrowany obraz rzeczywistości. Dziś krytyka rządu w przestrzeni publicznej dominuje, padły już wszystkie możliwe mocne słowa. Trudno wywołać szok.

Zgoda, ale jeszcze jedna uwaga: wtedy efekt przyszedł dużo później. No i nikt w PiS nie liczył na to, że wygra wybory dzięki temu, wszyscy ostro pracowali.

Dlaczego ta obecna opozycja nie bierze się do pracy?

Bo ci ludzie musieliby uznać, że są zwykłą opozycją, przy zwykłym obecnym rządzie, że muszą wyborcom pokazać lepszą ofertę, że muszą zabiegać o poparcie Polaków. A wspomniane wyżej media musiałyby uznać, że są zwykłymi gazetami czy stacjami telewizyjnymi, które nie mają prawa narzucać swojego przekazu wszystkim. To są czerwone linie, których oni przekroczyć nie umieją. A im bardziej widzą, że przejęcie przez ich obóz władzy w roku 2019 będzie trudne, tym bardziej się odrywają od rzeczywistości.

Uważa pan, że zmiana władzy jest wątpliwa?

Wskazują na to działania rządu, ale też działania opozycji. Jeśli przesiejemy przez sito to, co najważniejsze, to po stronie rządowej zostaną świetny wzrost gospodarczy, świetny stan budżetu, projekty społeczne jak 500+, obniżenie podniesionego poprzednio wieku emerytalnego. Po stronie opozycji mamy zaś tylko nienawiść do Prawa i Sprawiedliwości. Nic więcej. Żadnego programu. Nawet w sprawie emerytur Mama 4+ w większości się wstrzymują. Nie wiedzą, co mają robić, nie wiedzą, czym mają być. I Polacy to naprawdę widzą. Co nie znaczy, że wygrać będzie łatwo.

32/0119/F

eprasa.pl c5acb31c1f

Tankuj i kupuj na stacjach ORLEN, zbieraj punkty i wygrywaj w wielkiej loterii Programu VITAY!

Telefon Samsung Galaxy S9
x 100

hot dog standard
x 5 000

x 1 000

+200 pkt
x 300 000

x 5 000
gorący napój 210 ml

Odbierz Los za 200 pkt VITAY

Rabat 10 gr/l* paliwa VERVA do każdego odebranego Losu

Wejdź na vitay.pl i weź udział w loterii

CLUB VITAY

Do Promocji można przystąpić wymieniając 200 pkt VITAY na Los na vitay.pl w okresie 03.12.2018-10.02.2019 r. lub do wyczerpania puli Losów. Promocja składa się z Loterii i Sprzedaży Promocyjnej i jest przeznaczona dla Zarejestrowanych Uczestników Programu VITAY. Szczegóły Promocji w Regulaminach dostępnych na vitay.pl
* Rabat jest rabatem minimalnym. Stacje franczyzowe mogą stosować własny rabat, nie niższy niż rabat minimalny wskazany w niniejszym materiale. Rabat obowiązuje przy jednorazowym zakupie maksymalnie 50 litrów paliwa VERVA. Rabat można zrealizować do 31.03.2019 r.

ORLEN

eprasa.pl c5acb31c1f

Komu co się należy

Gdy „Wyborcza" nie znajduje już innych pretekstów, aby atakować Kaczyńskiego, wiadomo, że wypłynie Srebrna. Spółka powstała i funkcjonuje zgodnie z prawem. Jej grzechem pierworodnym jest to, że założyli ją niewłaściwi ludzie, którzy przeciwstawiali się oligarchii tego systemu. A to jest grzech nie do wybaczenia

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ostatni raz zgodziłem się dać wywiad „Gazecie Wyborczej", a konkretnie jej telewizyjnemu dodatkowi, kiedy w 2008 r. zacząłem robić nowy program dla TVP. Ze względu na wygodę zaprosiłem jej dziennikarza do siebie. „Nieźle pan mieszka" – usłyszałem na wstępie. Ostentacyjna ironia wypowiedzi podszyta była oburzeniem. Bo przecież jako kontestator III RP powinienem się gnieździć w lepiance. Cóż z tego, że mojemu, uważam całkiem przyzwoitemu, mieszkaniu było daleko do tego, by równać się z luksusami założycieli i pracowników gazety, której dziennikarz był przedstawicielem. Im się należało, nie to, co mnie. Notabene uświadomiłem sobie wtedy, jaki błąd zrobiłem, umawiając się u siebie. Nie dlatego, abym ukrywać chciał, jak mieszkam, ale dlatego, że pewnych ludzi się nie zaprasza.

Nieco podobną historię opowiedział mi nieżyjący już wybitny satyryk Janusz Szpotański, którego doceniła nawet PRL, wynagradzając go za jego twórczość m.in. trzyletnim wyrokiem. Trafił on do swojego znajomego ze studiów na imprezę, która okazała się spędem staro-nowej nomenklatury. Na pytanie, z czego się w nowych czasach utrzymuje, „Szpot" odpowiedział, że jego stałym dochodem jest wyłącznie, niezwykle zresztą skromna, renta. „Przyznajecie je sobie teraz!" – z przekąsem skomentował milioner.

W artykule opublikowanym niedawno w „The Atlantic" Anne Applebaum sarkastycznie zauważa, że jedna z jej negatywnych bohaterek, szefowa Muzeum Terroru w Budapeszcie, żyła całkiem dobrze, jeszcze zanim Orbán objął władzę, a jej mąż w tak krytykowanym przez nią systemie był nieźle prosperującym biznesmenem. Wypowiedzi te przywołują czasy PRL, kiedy słyszałem, że moja opozycyjność jest paradoksalna, gdyż państwo nie dość,

eprasa.pl c5acb31c1f

że mnie wykształciło, to przecież ciągle pozwala mi żyć, a nawet czasami chodzić po wolności.

Wszystko to powróciło do mnie przy okazji rozpaczliwie rozkręcanej przez totalną opozycję taśmowej afery Kaczyńskiego.

BO O CO W NIEJ CHODZI?

Legalnie funkcjonująca spółka Srebrna usiłuje na swoim terenie w centrum Warszawy zbudować dwa wieżowce, co z powodów politycznych blokuje magistrat z PO. Można więc uznać, że to afera władz stolicy, które szykanują właścicieli z partyjnych względów. No, ale taki wniosek nie przyszedłby nawet do głowy kreatorom „pisowskiego skandalu".

Austriacki pociotek Jarosława Kaczyńskiego projektuje niedochodzącą do skutku ze wspomnianego powodu inwestycję, ale nie dostarcza dokumentów, które uzasadniałyby zapłacenie mu. Prezes PiS tłumaczy, że dokonanie tego bez należytych świadectw naruszałoby prawo i proponuje zwrócenie się do sądu. Jeśli ten nakaże wypłatę, spółka będzie mogła to zrobić zgodnie z prawem. Warto wyobrazić sobie, co by było, gdyby krewny Kaczyńskiego wynagrodzony został bez niezbędnych dokumentów. Wówczas opozycja miałaby podstawę, aby ogłosić autentyczną aferę.

Austriak, zamiast do sądu, zwraca się do adwokatów: Romana Giertycha i Jacka Dubois. Tego pierwszego przedstawiać nie trzeba. To polityczny trup, który jako zombie całą swoją aktywność poświęca szukaniu zemsty na swoim zabójcy, czyli Kaczyńskim – tę kwiecistą metaforę zawdzięczam Rafałowi Ziemkiewiczowi. Ten drugi to pełnomocnik Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego, ostatnio występujący jako rzecznik miasta Warszawy przeciw komisji weryfikacyjnej. Innymi słowy, faktyczny obrońca beneficjentów fałszywej reprywatyzacji. To oni składają do prokuratora zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Kaczyńskiego. Dlaczego Kaczyńskiego? Bo przecież o niego chodzi. Sprawy nie może przegrać, ale może coś się do niego przylepi.

Główny przekaz „Wyborczej" et consortes brzmi jednak następująco: rządząca partia posiada niezwykle zyskowne nieruchomości w stolicy i usiłuje się na nich bogacić. Gdyby Srebrna nie próbowała tego robić, PiS piętnowane byłoby (utożsamienie tej partii ze spółką to świadomy zabieg) jako marnotrawcy i w przestrzeni publicznej bez końca powtarzane byłoby retorycznie pytanie, jak można powierzyć władzę nieudacznikom. Skoro Kaczyński się nim nie okazał, to należy stygmatyzować go jako dewelopera aferzystę. Jak zwykle wszystkich przebić usiłuje Tomasz Lis, który napisał o szefie PiS jako najbogatszym człowieku w Polsce. Określać w ten sposób kogoś dlatego, że zasiada w radzie nadzorczej spółki, której wartość można szacować na maksimum parędziesiąt milionów złotych, to po prostu ośmieszać się, ale redaktor „Newsweeka" robił to już wiele razy, dowodząc również kolejny raz, że III RP nie zna kategorii kompromitacji.

> Elity III RP mogą funkcjonować w szemranych układach z wielkim biznesem, monopolizować poszczególne dziedziny gospodarki, ale każda próba zrobienia biznesu przez środowiska związane z opozycją to z definicji korupcja i hipokryzja

Na barykadzie pojawiają się politycy totalnej opozycji, jak Krzysztof Brejza, którzy mówią o miliardowym majątku. Tak, to ten poseł, który cudem uszedł z życiem z zamachu zorganizowanego przeciw niemu przez pisowski toi toi. Wtedy również składał zawiadomienie o nie byle przestępstwie, bo próbie zabójstwa.

Przy okazji jak bumerang wraca sprawa spółki Srebrna, którą „Wyborcza" posługuje się od momentu jej powstania, czyli od 24 lat. Robi to z godną podziwu regularnością. Gdy nie znajduje już innych pretekstów, aby atakować Kaczyńskiego, wiadomo, że wypłynie Srebrna. Spółka powstała i funkcjonuje zgodnie z prawem, co musiały przyznać nawet sądy III RP. Jej grzechem pierworodnym jest to, że założyli ją niewłaściwi ludzie, którzy przeciwstawiali się oligarchii tego systemu. A to jest grzech nie do wybaczenia.

Dookoła przewalały się miliardowe przekręty, postkomuniści i ich sojusznicy uwłaszczali się na nieprawdopodobne sumy, media III RP oklaskiwały ich przedsiębiorczość, a jednocześnie pod wodzą organu Michnika biadały nad kazusem Srebrnej. Wspomagała ona opozycję, która dzięki niej mogła przetrwać huraganowy atak wszystkich sił postkomunistycznego układu, i dlatego winna zostać zniszczona. Elity III RP mogą i powinny funkcjonować w szemranych układach z wielkim biznesem, mogą monopolizować poszczególne dziedziny gospodarki, pisać pod siebie prawo, ale każda próba zrobienia biznesu przez środowiska związane z opozycją to z definicji korupcja i hipokryzja.

Prawnie nie można się do Srebrnej przyczepić, ale można snuć insynuacje, tak jak w wypadku opowieści o kredycie z Pekao SA, którego wprawdzie nie było, a gdyby zaistniał, byłby ekonomicznie uzasadniony, co wynika wręcz z dywagacji autorów „Wyborczej", ale w niczym nie przeszkadza to snuć opowieści o sprywatyzowaniu banków przez Kaczyńskiego.

Wszystko to inicjuje gazeta, która uwłaszczyła się na narodowym dobru, gdyż budowana była jako głos niezależnej Polski, jako taka uzyskała na wejściu wyjątkowo uprzywilejowaną pozycję, a zawłaszczona została przez środowisko towarzysko-polityczne i przekształcona w narzędzie walki ze wszystkimi, którzy jego pozycji zagrażają. No, ale im się należy.

eprasa.pl c5acb31c1f

Grupa hakowa

Grupa hakowa chce mieć wpływ na polską politykę, na państwo – ponad wyborami, ponad demokratycznymi instytucjami i procedurami

STANISŁAW JANECKI

Działają w niej adwokaci, prokuratorzy, sędziowie, emerytowani oficerowie tajnych służb i policjanci, biznesmeni, paparazzi, dziennikarze, politycy, eksperci. Tworzą szczelną sieć, która powinna wychwycić każdą informacją mogącą stanowić pretekst i punkt zaczepienia. Określenie „sieć" ma zresztą podwójne znaczenie, gdyż nie chodzi o organizację zlokalizowaną w konkretnym miejscu, ale raczej o sieć przepływu i analizy informacji, a potem wzajemnych usług oraz zleceń. To było widać szczególnie wyraźnie w podziale ról i wzajemnym uzupełnianiu się różnych osób oraz ośrodków w związku z nagraniami dotyczącymi Jarosława Kaczyńskiego i spółki Srebrna czy wcześniej z tzw. aferą Komisji Nadzoru Finansowego. Chodzi o grupę hakową (ściślej: sieć hakową), która zaczęła się tworzyć na początku 2017 r., po niepowodzeniu sejmowego puczu (zapoczątkowanego 16 grudnia 2016 r.).

Grupa hakowa ma status wywiadu i kontrwywiadu przeciwników obecnych polskich władz, z ważnymi sekcjami zajmującymi się prowokacją, dezinformacją i dezintegracją. Wskazuje to na ważną rolę w grupie hakowej emerytowanych oficerów tajnych służb, w większości mających korzenie w Służbie Bezpieczeństwa i Wojskowej Służbie Wewnętrznej PRL, ale też wywodzących się z Urzędu Ochrony Państwa, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Wojskowych Służb Informacyjnych, Agencji Wywiadu, Służby Wywiadu Wojskowego czy Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

Grupa hakowa nie działa tak, że można kogoś łatwo złapać za rękę jako inspiratora czy koordynatora różnych akcji i kampanii, choć czasem takie osoby występują publicznie jako eksperci lub komentatorzy i robią czytelne aluzje na temat swej roli czy wiedzy. Widać tylko rezultaty aktywności grupy hakowej: „afery" w mediach tradycyjnych; kampanie prowokacji, dezinformacji i dezintegracji prowadzone poprzez media społecznościowe (w tym tzw. wirale); plotki i insynuacje rozpowszechniane tzw. pocztą pantoflową; zapowiedzi doniesień (niezrealizowane, ale mające stwarzać odpowiedni klimat) lub doniesienia do prokuratury sugerujące popełnienie przestępstw; bazujące na wielu kanałach rozpowszechniania akcje dyfamacji bądź stygmatyzacji poszczególnych osób, grup, instytucji, organizacji czy partii, a wreszcie zastraszanie i groźby mające paraliżować ludzi podejmujących decyzje.

INSTRUKCJA OBSŁUGI GRUPY HAKOWEJ

Grupa hakowa stała się narzędziem polityki i interesów, a jej nadrzędnym celem jest zmiana władzy. Po drodze chodzi o zdyskredytowanie rządzącej zjednoczonej prawicy, odebranie jej moralnego prawa do sprawowania władzy, jej delegitymizację oraz uzasadnienie nadzwyczajnych środków postępowania wobec niej: zemsta sądowa zapowiadana przez sędzię w stanie spoczynku Irenę

eprasa.pl c5acb31c1f

Fot. Shutterstock

Kamińską i prawniczkę prof. Monikę Płatek, a także przez Grzegorza Schetynę i innych polityków Platformy Obywatelskiej oraz Nowoczesnej czy zapowiedź Roberta Biedronia powołania Komisji Prawdy i Pojednania – takiej jak w RPA po czasach apartheidu. Żeby uzasadnić zastosowanie wobec obecnie rządzących nadzwyczajnych środków, także uzasadnić wobec zagranicy i międzynarodowych organizacji oraz instytucji, potrzeba kolejnych afer i skandali ukazujących moralne zepsucie i degrengoladę obozu rządzącego oraz łamanie prawa. I od około roku głównym dostarczycielem afer oraz skandali jest grupa (sieć) hakowa. Nieprzypadkowo jej metody działania najbardziej przypominają dezinformacyjne i dezintegracyjne operacje tajnych służb.

Na najniższym szczeblu działania grupy hakowej znajduje się system wyszukiwania i selekcji informacji mających potencjał stania się „aferą". Chyba że chodzi o prowokacje, gdy wszystko jest od początku sfabrykowane i „ustawione", a potem przekazywane jako informacja (fake news). Selekcja odbywa się poprzez analizę najbardziej „nośnych" i mających dezinformacyjny oraz dyfamacyjny potencjał plotek. Opiera się na dokumentacji oraz wiedzy paparazzich. Bazuje na donosach do instytucji, mediów czy służb. Korzysta z dokumentacji medycznej lub informacji o stanie zdrowia. Uwzględnia informacje znajdujące się w pozwach sądowych albo pojawiające się w toku procesów, w tym dotyczące spraw prywatnych i wrażliwych. Opiera się na wiedzy operacyjnej policjantów oraz funkcjonariuszy innych służb, także opłacanych za jej przekazywanie. Bazuje na doniesieniach do prokuratury i jej materiałach powstających w związku z postępowaniami na podstawie tych doniesień. Korzysta z poufnej wiedzy adwokatów. Uwzględnia informacje (często są to konfabulacje) osób odchodzących z obozu rządzącego albo funkcjonujących w nim w roli kretów. Niektóre metody pozyskiwania informacji, np. ujawnienie tajemnicy adwokackiej, tajemnicy lekarskiej, materiałów operacyjnych czy materiałów ze śledztw opatrzonych klauzulami poufności lub tajności, są ewidentnym łamaniem prawa i kodeksów moralnych obowiązujących w różnych zawodach, np. lekarzy czy adwokatów.

eprasa.pl c5acb31c1f

UKŁAD BEZ WYJŚCIA

Kto się zajmuje pozyskiwaniem i selekcją informacji (dezinformacji)? Kto to wszystko robi? Jeśli sprawa trafia do mediów, dalsza droga jest typowa dla ich sposobu działania, choć często są to tzw. gotowce, w których już niewiele trzeba zmieniać. W innych wypadkach doniesieniami mającymi potencjał zajmuje się ten, kto akurat ma czas i ochotę albo ma w tym wymierny interes. I najczęściej o ten interes chodzi, gdyż na każdej „aferze" można coś ugrać w sektorze lub w dziedzinie, której ona dotyczy. Oczywiście są osoby koordynujące rozdzielanie hakowych materiałów, ale też nie jest to żadna formalna, spotykająca się w określonych miejscach grupa, lecz ludzie znający się na rzeczy i już wcześniej funkcjonujący w roli skutecznych „ekspertów", „sygnalistów" bądź „doradców". Część z nich się z sobą komunikuje. Różne media mają zresztą swoich „ekspertów", którzy pomagali im we wcześniejszych hakowych sprawach. Wystarczy śledzić, którzy emerytowani oficerowie służb, funkcjonariusze policji czy adwokaci komentują „afery" w konkretnych stacjach (już po ujawnieniu afer), żeby się zorientować, kto i w jakiej roli występuje. Często ma się zresztą wrażenie, że to ci ludzie są gospodarzami programów i to oni rozdają karty w stacjach, do których są zapraszani, a nie formalni gospodarze.

Inicjatorzy (kuratorzy) ujawnianych „afer" i akcji hakowych nie mają oczywiście pewności, czy konkretna sprawa „zaskoczy" i zdobędzie odpowiedni zasięg, wywoła spodziewane efekty. Jeśli nie spotyka się ze stosownym odzewem, uruchamiana jest cała sieć samopomocy, z podziałem na role. Do akcji wkraczają zaprzyjaźnione redakcje, dziennikarze i komentatorzy, a także środowiska opiniotwórcze niezwiązane z mediami, np. prawnicy, ludzie nauki, kultury, nawet duchowni. Wkraczają organizacje zajmujące się prawami człowieka, fundacje czy think tanki. Sprawa trafia na forum Rady Europy lub Parlamentu Europejskiego. Często przekaz jest korygowany i przekierowywany na dodatkowe cele, gdy z tymi pierwotnymi nie wyszło. Ważne są skala i utrzymanie odpowiedniej temperatury wokół afery czy skandalu, na co grupa hakowa potrafi mocno naciskać, a co bywa nawet wbrew interesom mediów, które w tym uczestniczą. I zwykle to wola grupy hakowej bierze górę, gdyż liczy się cel strategiczny, czyli zmiana władzy. W razie czego grupa hakowa może też trzymać w szachu lub szantażować tych, którzy z nią współpracują. Tu nie ma sentymentów, haki są zbierane także na „swoich", gdyby przyszło im do głowy nie przykładać się do zadań czy w jakiejś formie je torpedować. Gdy raz się wejdzie w związki z grupą hakową, z tego układu nie ma już praktycznie wyjścia.

> W Polsce grupa hakowa stała się ostatnią nadzieją opozycji i tych wszystkich grup interesów oraz lobby, którym zależy na tym, żeby było tak, jak było

HAKI ZAMIAST WYBORÓW

Grupa hakowa zyskała w Polsce takie znaczenie i rangę w 2018 r., ponieważ zawiodły inne metody walki z rządzącą zjednoczoną prawicą, przede wszystkim ulica i zagranica. A odsunięcie jej od władzy jest dla wielu osób oraz środowisk tworzących grupę hakową sprawą życia i śmierci. Chodzi poza tym o skoncentrowanie i skoordynowanie działań. I tu grupa hakowa jest znacznie skuteczniejsza oraz efektywniejsza niż w wypadku rozproszonych akcji. To zaś sprawia, że każda osoba z obozu władzy może być obiektem działania grupy hakowej. Może być też obiektem prowokacji lub szantażu, żeby uzyskać wartość dodaną, czyli haki na kolejne osoby. To wymaga od rządzących wyjątkowej ostrożności i przezorności, gdyż nie trzeba złamać prawa, żeby dać się w coś uwikłać czy ulec szantażowi. Przeciętni politycy rządzącego obozu to amatorzy w stosunku do zawodowców z grupy hakowej. Tam decydujący głos mają specjaliści od prowokacji, dezinformacji i dezintegracji, mający za sobą wiele operacji prowadzonych przez tajne służby w Polsce i za granicą. I oni nie mają żadnych moralnych skrupułów ani prawnych ograniczeń. Mimo że nieformalnie, to jednak jest rodzaj oddziału specjalnego, nastawionego na skuteczność wszelkimi metodami. Politycy obozu władzy powinni mieć pełną tego świadomość.

Grupa hakowa wyraźnie chce mieć wpływ na polską politykę, na polskie państwo. Chce wpływać na wszystko ponad wyborami, ponad demokratycznymi instytucjami i procedurami. To nie jest tak bardzo widoczne, gdyż różne formy jej działania wyglądają jak kontrola władzy przez media i instytucje do tego powołane. Dopiero po uważnym przyjrzeniu się stosowanym metodom widać, że tu nie chodzi o żadną kontrolę, tylko o zastąpienie demokratycznego procesu działaniami polegającymi na hakowaniu, szantażu, zastraszaniu, a co najmniej dyskredytowaniu i delegitymizowaniu, także moralnym, przedstawicieli władzy.

Grupy hakowe są typowe dla Rosji oraz wielu państw powstałych po upadku ZSRS. Grupy hakowe działały i często nadal działają także w Czechach, na Słowacji, w Bułgarii, Chorwacji czy Rumunii. W Rosji Putina grupy hakowe są specjalną bronią nie tylko przeciw politycznym oponentom, lecz również w rozgrywkach we własnym obozie. W Polsce grupa hakowa stała się ostatnią nadzieją opozycji i tych wszystkich grup interesów oraz lobby, którym zależy na tym, żeby było tak, jak było. Żeby nadal mieli wpływ na władzę i korzystali z tego wpływu. Tyle że grupa hakowa niszczy polskie życie publiczne, nie sposób bowiem odróżnić rzeczywistych patologii od tego, co generuje grupa hakowa w postaci prowokacji, szantażu, dezinformacji i dezintegracji. Grupa hakowa niszczy także media, które przestają być narzędziem społecznej kontroli władzy, a stają się instrumentem specjalnych operacji przez nią prowadzonych.

eprasa.pl c5acb31c1f

Dołek Bartłomieja M.

Fot. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

eprasa.pl c5acb31c1f

Gdy dziewięć miesięcy temu opisaliśmy patologiczną sieć oplatającą Polską Grupę Zbrojeniową, umieszczając Bartłomieja M. w jej centrum, usłyszeliśmy od byłego szefa gabinetu politycznego i rzecznika MON, że nasz artykuł jest paszkwilem. Stan na dziś jest taki, że urzędnik został zatrzymany przez CBA, a sąd zdecydował o aresztowaniu go na trzy miesiące

Tego samego dnia agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali także byłego wiceprezesa Polskiej Grupy Zbrojeniowej Radosława O., dwóch dyrektorów w tej spółce Roberta K. i Roberta Sz., byłą pracownicę MON Agnieszkę M. i byłego posła PiS Mariusza Antoniego K. (w poprzedniej kadencji był członkiem sejmowej komisji obrony). Chodzi o „działanie na szkodę spółki PGZ i wyrządzenie szkody znacznej wartości". Mowa tutaj o ponad 3,5 mln zł, które wyprowadzono z koncernu, zawierając fikcyjne lub skrajnie niekorzystne umowy dotyczące szkoleń czy organizacji stoisk wystawienniczych na targach zbrojeniowych. Pierwsi opisaliśmy ten proceder w tygodniku „Sieci" w maju 2018 r.

Dodatkowo Bartłomiejowi M. oraz Mariuszowi Antoniemu K. zarzucono „powoływanie się wspólnie i w porozumieniu na wpływy w instytucji państwowej i podjęcie się pośrednictwa w załatwieniu określonych spraw celem uzyskania korzyści majątkowej w kwocie ponad 90 tys. zł". Ten wątek to nowość, musiał się pojawić w toku śledztwa, choć w kręgach politycznych od dawna się mówiło, że M.A.K. może „załatwić" kontakt z ważnymi osobami, funkcjonował ponoć nawet cennik, dotarcie do szczebla ministra miało być oczywiście najdroższe. Jak się dowiedzieliśmy, były poseł, który prowadził także firmę PR, ściśle współpracował z M. W śledztwie pojawia się również firma innego byłego parlamentarzysty, ale ten – jak dotychczas – uchodzi za nietykalnego. Do czasu?

DWÓR NA KLONOWEJ

Aby zrozumieć, jak wiele zależało w MON od Bartłomieja M. i dlaczego w ogóle było możliwe jego „powoływanie się na wpływy", należy wyjaśnić „zasady", które panowały w resorcie

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

po 2015 r. Pracownicy ministerstwa, z którymi rozmawiamy, zwracają uwagę na lokalizację siedziby, pałacyk przy ul. Klonowej. To tam swój gabinet umieścił Antoni Macierewicz, tam też w odrębnym pomieszczeniu zasiadał szef jego gabinetu politycznego Bartłomiej M. – Panuje tam, w odróżnieniu od biurowca przy al. Niepodległości [obecna siedziba ministra obrony – dop. aut.] atmosfera iście dworska. Stylowe sale, kominki, obrazy i rzeźby oraz kamerdynerzy podający posiłki i napoje do gabinetów – słyszymy. I w tę atmosferę bardzo łatwo wsiąknąć, więc łasy na komplementy i lubiący opływać choćby w pozory luksusu M. poczuł się tam dobrze od pierwszej chwili. Jego okazały gabinet bardzo szybko zapełniał się wojskowymi gadżetami: pamiątkowymi deskami, modelami oraz coinami (okolicznościowe medale wybijane przez wojskowych), które przekazuje się jako upominki przy ważnych spotkaniach. MON wybiło także medal rzecznikowi prasowemu, choć był on przecież pracownikiem cywilnym. Bartłomiej M. czuł, że ma za plecami potężnego protektora, i gdy się wypowiadał, w zasadzie było jasne, że przekazuje wolę ministra.

Kolejna osoba opowiada o „komunistycznym" stylu jego pracy. – Niczym pierwszy sekretarz z czasów słusznie minionych, rozparty wygodnie w swoim fotelu. Pod jego gabinetem ustawiały się kolejki interesantów, a on łaskawie decydował, kiedy i kogo przyjmie. To było żenujące, gdy wysocy szarżą wojskowi, nawet generałowie, czekali na audiencję po kilka godzin. A gdy się już dostali do środka, to zdarzało się, że musieli jeszcze poczekać, aż pan rzecznik zje – opowiada była pracownica MON.

Wszyscy wiedzieli, że M. uwielbia słodycze. – Czekoladki pochłaniał kilogramami. Pewnego dnia rozbolał go ząb. Wściekał się i wykrzykiwał, że jeśli będzie go dłużej boleć, to kogoś wyp... z roboty. Do szpitala wojskowego pojechało z nim trzech pułkowników – wspominają nasi rozmówcy.

– To zdemoralizowany typ. Młody chłopak, który długo niewiele znaczył w polityce, a nagle dostał prezent w postaci władzy. Przez ten nagły awans był bardzo niebezpieczny, jego humor decydował o tym, czy kogoś zwolni, czy może tylko udzieli reprymendy. Wiele osób szybko zrozumiało, że nie ma co z nim walczyć, lepiej jakoś się ułożyć – mówi nam inna osoba znająca realia Klonowej. Niektórym się nie udało, teraz są zaciekłymi krytykami rządów dobrej zmiany w MON, a inni dopięli swego. Dosyć szybko na „współpracę" z M. poszedł jeden z doświadczonych wojskowych, który karierę robił także za poprzedniej władzy. Nie było mu trudno wkraść się w łaski M., który uwielbiał pochwały i bardzo cenił osoby, od których słyszał to... co chciał usłyszeć.

Jak słyszymy, w MON nie będą po nim płakać.

GRUPA KADROWYCH

M. nawet nie poczuł, gdy stał się elementem sitwy, która oplotła Klonową. Grupa wojskowych komplementowała go, namawiała, by wymagał salutowania, gdy się gdzieś pojawiał. Mówi się także o wspólnych imprezach, m.in. w ośrodku MON na Mazurach. W zamian zyskali wpływ na decyzje kadrowe. – Mam wrażenie, że tuż pod bokiem Antoniego Macierewicza powstał układ,

eprasa.pl c5acb31c1f

który miał go obchodzić tam, gdzie się tylko dało. A dało się wiele, wpływ na pracę resortu zyskały osoby, z którymi należało dawno się pożegnać. Wszystko ma oczywiście swoje granice, wpływowa grupa liczyła na to, że minister odda swojemu zaufanemu człowiekowi pełnię władzy, ale tutaj trochę się przeliczono, bo niektóre decyzje personalne zostały przez Macierewicza cofnięte. Gdy ktoś miał uwagi na temat pracy Bartka, to w odpowiedzi słyszał zazwyczaj: „Tak, tak". Było jeszcze pokiwanie głową i już. Ale konsekwencji wobec M. minister nie wyciągał – słyszymy.

Jednym z najważniejszych ludzi, których M. „ustawił", był Radosław O., wiceprezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej, prywatnie mąż Anny Obolewskiej, właścicielki apteki Aronia w Łomiankach. To tutaj karierę farmaceutyczną rozpoczynał przed laty Bartłomiej M. Rozpracowywana przez CBA pajęczyna wokół PGZ działała w najlepsze, gdy panowie spotkali się w zarządzie koncernu zbrojeniowego; do tego tematu przejdziemy za chwilę.

Najpierw warto wrócić do czasu, gdy wokół M. zrobiło się głośno. – Nie dało się tego wytrzymać. Limuzyna, dyskoteka, służbowa karta kredytowa. Te obrazki, jak żołnierz trzyma nad Bartkiem parasol, jak oddział wita go: „Czołem, panie ministrze", jak generałowie przed nim „czapkują"... Okropny upadek obyczajów! – opowiada osoba związana z MON. – Nie mogliśmy sobie wytłumaczyć, skąd u szefa [Antoniego Macierewicza – przyp. red.] taka słabość do Bartka?! – opowiadają nam osoby znające kulisy pracy ministerstwa. Najbardziej nie mieści im się w głowach to, że Macierewicz, broniąc M. bardzo zażarcie, naraził na szwank nawet pozycję we własnej partii. Przecież po decyzji Jarosława Kaczyńskiego o wykluczeniu młodego urzędnika z PiS ówczesny szef MON nadal szedł w zaparte, że to media i wrogowie Polski niszczą chłopaka. Zresztą ten ton utrzymuje do dzisiaj. W Telewizji Republika już po zatrzymaniu Bartłomieja M. i postawieniu mu zarzutów poinformował, że poręczenie majątkowe za M. zadeklarował o. Tadeusz Rydzyk. Były szef MON stwierdził: „Wiele osób mówiło mi, że zna tego człowieka i trudno jest im sobie wyobrazić, że jest nieuczciwy. Nie wiem, jaka jest sytuacja. Kiedy ja z nim pracowałem, był to człowiek uczciwy i rzetelny".

Po niesławnym odejściu z MON Bartłomiej M. nie został na lodzie. Znalazł zatrudnienie w Telewizji Republika, choć do dziś wielu pracowników stacji nie potrafi powiedzieć, czym naprawdę się tam zajmował.

> To zdemoralizowany typ. Młody chłopak, który długo niewiele znaczył w polityce, a nagle dostał prezent w postaci władzy. Przez ten nagły awans był bardzo niebezpieczny – mówią o Bartłomieju M. w MON

LEWE SZKOLENIA

Nieprawidłowości, na których trop wpadło CBA, działy się w 2016 r. Radosław O. od pół roku zasiadał w zarządzie Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Wraz z Bartłomiejem M. i kilkoma znajomymi (z resortu oraz świata biznesu, PR) stworzyli wehikuł do zarabiania na państwowym koncernie. – O, to takie indywiduum, które specjalnych kompetencji do tej pracy nie miało. Robili jakieś ordynarne wałki przy stoiskach na targach itd. Na szczęście nie był zdolny do grubszych spraw, bo to przekraczało jego inteligencję – słyszymy od osoby pracującej wówczas w centrali MON.

Gdy w maju 2018 r. pisaliśmy w tygodniku „Sieci" o „pilnowaniu dobrej zmiany" przez CBA, przedstawiliśmy cztery główne sprawy, które stały się powodem do zawiadomienia prokuratury o wyprowadzaniu pieniędzy z PGZ. Nieprawidłowości było więcej, ale w tych zgromadzono najmocniejszy materiał dowodowy, pozwalający stawiać zarzuty.

20 czerwca 2016 r. zawarta została umowa pomiędzy PGZ (podpisy wiceprezesów O. i Macieja Lwa-Mirskiego) a Stowarzyszeniem dla Dobra Rzeczypospolitej – Propter Bonum Reipublicae na „świadczenie usług szkoleniowych" dla pracowników Grupy w zakresie ochrony danych osobowych. Stowarzyszenie nigdy wcześniej takich szkoleń nie prowadziło. Później być może też nie. Śledztwo Centralnego Biura Antykorupcyjnego wykazało, że umowa była fikcją. Szkoleń nie organizowano. Choć po roku, w czasie

eprasa.pl c5acb31c1f

kontroli CBA, w PGZ wyprodukowano harmonogram usług. Wynikało z niego, że koszt godziny szkolenia jednego pracownika wynosił średnio aż 1,8 tys. zł! Gdyby wpisano ceny rynkowe, suma wyniosłaby ok. 24 tys. zł. Jednak PGZ zapłaciła aż 491 tys. zł.

Następnego dnia stowarzyszenie przelało większość tej kwoty – 391 tys. – firmie Ten Team Sp. z o.o. Za co? Nie wiadomo. Wiemy za to, że spółka ta pojawia się przy innej sprawie – koncertu, który z okazji 40-lecia powołania Komitetu Obrony Robotników miał się odbyć na pl. Piłsudskiego. Jego organizacją miało się zająć wspomniane stowarzyszenie – taką decyzję wręcz zakomunikował władzom PGZ Bartłomiej M. A stowarzyszenie zleciło organizację spółce Ten Team. M. nakazał też natychmiastowe wypłacenie stowarzyszeniu 40 proc. zaliczki za koncert. Tak się złożyło, że co do grosza kwota ta pokrywała się z kosztem rzekomych szkoleń...

nawet Protokół należytego wykonania umowy, podpisany w PGZ 10 września 2016 r. Tak, tak, 16 dni przed podpisaniem samej umowy. Jednak wystawy – podobnie jak szkoleń – nie było. Gdy w 2017 r. CBA poprosiło o dowody na jej zorganizowanie, otrzymało zdjęcia z innego eventu – przystanków multimedialnych w Radomiu.

Sytuacja z koncertem wygląda jeszcze bardziej absurdalnie. 7 lipca 2016 r. Robert K. (były dyrektor marketingu w PGZ, też usłyszał zarzuty) przedstawił zarządowi wniosek w sprawie imprezy. Czytamy w nim m.in. o liczbie 400 osób, która „uczestniczyła" w koncercie, oraz o tym, że „najważniejszym elementem wydarzenia było uroczyste wręczenie medali...", a „część edukacyjną stanowił koncert gwiazd...". Skąd czas przeszły? Bo było już dawno po imprezie. Wniosek został antydatowany (na 22 czerwca), bo koncert odbył się 26 czerwca. I nie na pl. Piłsudskiego, lecz w hotelu Victoria (przy czym to PGZ poniosła koszt

> Tuż pod bokiem Antoniego Macierewicza powstał układ, który miał go obchodzić tam, gdzie się tylko dało. A dało się wiele, wpływ na pracę resortu zyskali ludzie, z którymi należało dawno się pożegnać – słyszymy od osoby pracującej w MON

To kolejny event, który dla instytucji wojskowych robi Ten Team. Wcześniej firma skasowała 300 tys. zł za prace przy szczycie NATO na Stadionie Narodowym.

LEWY KONCERT

Koncert „Głos wolności" to oddzielna historia. Umowę na jego organizację podpisano 26 września 2016 r. Na jej podstawie SdDR miało zorganizować imprezę na pl. Piłsudskiego oraz wystawę multimedialną w Kielcach poświęconą KOR. Łączny koszt – prawie 740 tys. zł. Zacznijmy od wystawy. W papierach wszystko się zgadza. Jest

wynajęcia sali, poza umową z SdDR). Wzięło w nim udział 400 osób zamiast planowanych 1,4–2,4 tys. Nic się tu nie zgadza z umową.

Mijają wakacje, na przełomie sierpnia i września do rady nadzorczej PGZ wchodzi Bartłomiej M. Po kilku dniach rada akceptuje koszty koncertu i koncern zbrojeniowy wypłaca stowarzyszeniu 737 tys. zł (705 tys. z tej kwoty trafiło dalej na konto Ten Team). Dodatkowo okazuje się, że PGZ podpisała jeszcze jedną umowę z SdDR – na nadzór nad organizacją koncertu oraz wystawy! Czyli organizator nadzorował samego siebie. I wziął za to 21 tys. zł. Ziarnko do ziarnka...

PRZEKRĘTY NA TARGACH

Część polityków PiS, komentując zatrzymanie Bartłomieja M., podważała nasze wnioski o sieci towarzysko-biznesowej, jaka oplotła PGZ i MON, by wyprowadzać publiczne pieniądze. Przypomnijmy więc, dlaczego postawiliśmy taką tezę.

Stowarzyszenie dla Dobra Rzeczypospolitej w umowach z PGZ reprezentował Grzegorz Kuć. To jednocześnie współwłaściciel firmy Ten Team. Drugim udziałowcem jest tam Maciej Cłapiński. Obaj mają też udziały w spółce Get Set, a wraz z nimi Sebastian Oprządek. Dwa ostatnie nazwiska znajdujemy jako wspólników w kolejnym podmiocie – El Padre, który zarabiał na organizowaniu stoisk PGZ przy targach wojskowych. Choć i tu pieniądze szły przez pośrednika – spółkę Expo Mazury.

Według ustaleń śledztwa Bartłomiej M., Radosław O. i Mirosław Pietrucha (były członek zarządu Expo Mazury) byli w „dobrych relacjach osobistych". Nic więc dziwnego, że to spółka tego ostatniego mogła liczyć na zlecenia z PGZ.

Jedno dotyczyło udziału Polskiej Grupy Zbrojeniowej w ostródzkich targach Pro Defense w czerwcu 2016 r. Biuro Bezpieczeństwa PGZ oszacowało koszt zbudowania stoiska na 250 tys. zł, co zaakceptował zarząd i podpisano umowę. Po kilku tygodniach O. odsunął od sprawy pracownicę wyceniającą usługę zbyt tanio i podpisał aneks. Teraz na stoisko trzeba już było wydać 3,2 mln zł. Co okazało się tak kosztowne i droższe, niż wskazywałyby stawki rynkowe? Wszystko! Od wynagrodzenia agencji po rzeczy najdrobniejsze. Dla przykładu: za „podłogi" (bez wyszczególnienia, o co dokładnie chodzi) zapłacono 267 tys. zł, za „wzmocnienie wewnętrzne z formatowaniem" – 238 tys. zł, „podłogę z wykładziną i folią" – 47 tys. zł. Wyjątkowo osobliwie wyglądają koszty wypożyczonego sprzętu – wyższe od jego cen w sklepach. Na przykład „projektor Optoma DLP 1020" – cena nowego 2 890 zł, za wynajem zapłacono 3 693 zł; „monitor LED 40" – cena nowego 898 zł, wynajęto ich 16 sztuk, płacąc za użyczenie każdego z nich po 2 841,30 zł, co dało kwotę 45 460,80 zł; „monitor LED 55"

eprasa.pl c5acb31c1f

– cena nowego 1 598 zł, wynajem – 12 razy 3 267,50 zł, co daje 39 209,94 zł. I tak dalej.

Expo Mazury przed podpisaniem umowy oświadczyło, że „jest podmiotem będącym w stanie samodzielnie i kompletnie zrealizować targi". CBA ustaliło jednak, że „faktycznym wykonawcą zabudowy stoiska PGZ SA na Pro Defense 2016 była firma El Padre Sp. z o.o.". Potwierdzają to przelewy. Z trzech wpłat z PGZ na konto Expo Mazury pieniądze szybko wędrowały do El Padre. Pośrednik zostawiał sobie oczywiście prowizję – w łącznej kwocie prawie 250 tys. zł. Wbrew umowom.

Radosław O. w kilku innych przypadkach próbował dać zarobić El Padre, ale nie zawsze mu się udawało i koledzy z zarządu część wniosków odrzucali. Może właśnie dlatego przed Ostródą wymyślono numer z Expo Mazury.

To niejedyne targi, przy których doszło do wyprowadzenia majątku z PGZ. Kolejnym przypadkiem jest Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach. Impreza odbyła się trzy miesiące po ostródzkiej. Tym razem – inaczej niż w poprzedniej sprawie – rozpisano przetarg. Przynajmniej teoretycznie. Faktycznie zapytania ofertowe wysłano do 25 podmiotów. Jak ustaliło CBA: „Wszyscy wykonawcy, którzy zgłosili zainteresowanie, przedstawili ofertę lub mieli realizować zamówienie na budowę stoiska PGZ SA, byli z sobą w jakiś sposób powiązani". Pojawiają się tutaj m.in. znane nam już Ten Team czy El Padre, a także ich podwykonawcy, którym te firmy udzielają rekomendacji. Większość tych podmiotów ma siedzibę w Warszawie przy ul. Solec 81B/A-51, gdzie zarejestrowanych jest 690 (słownie: sześćset dziewięćdziesiąt) firm.

Nie mogło się to skończyć inaczej – wygrała spółka Expo Mazury, która... i tym razem musiała zatrudnić podwykonawcę, jedną ze spółek przy Solcu. Plan zakładał, że elementy do zabudowy stoiska zostaną kupione i przejdą później na własność PGZ, by móc je wykorzystywać w kolejnych latach. Jednak po imprezie Expo Mazury oświadczyło, że „meble oraz multimedia wykorzystywane do realizacji stoiska na MSPO Kielce 2016 r. były wypożyczone". W zawiadomieniu do prokuratury czytamy: „[...] jedynym elementem, jaki odebrany został przez PGZ SA i znajduje się w jej posiadaniu, spośród elementów o łącznej wartości nie mniejszej niż 4 867 036,20 zł, jest lada targowa z logo PGZ o wartości kosztorysowej 4 900 zł netto". Łączne straty, jakie w wyniku działalności zatrzymanej szajki miała ponieść Polska Grupa Zbrojeniowa, wynoszą 3,2 mln zł.

Pytanie brzmi: kiedy służby i prokuratura zainteresują się drugą stroną tych machlojek, beneficjentami wyłudzeń publicznych pieniędzy? Na razie zatrzymano tylko ludzi ze strony „rządowej". Ale przedstawiciele organów ścigania często mawiają, że dana „sprawa jest rozwojowa". Takie zdanie w przypadku tej afery może się okazać bardzo prawdziwe.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

Wolta Kai Godek

Sojusz w obronie życia choćby z samym diabłem? Dziwna koalicja, wątpliwe intencje i niezrozumiała decyzja znanej działaczki pro-life

Fot. Andrzej Wiktor

MARZENA NYKIEL

Kaja Godek, szefowa Fundacji Życie i Rodzina, dołączyła do koalicji narodowo-wolnościowej. W towarzystwie Grzegorza Brauna, Roberta Winnickiego i Janusza Korwin-Mikkego będzie walczyła o mandat do Parlamentu Europejskiego. Powód? „Głos na PiS to głos za aborcją" – stwierdziła na konferencji prasowej, przekonując, że wspólnie z Ruchem Narodowym, partią Wolność i Grzegorzem Braunem „ogłaszają wielki Marsz dla Życia – marsz na wybory!". Decyzja ta jest tym bardziej zastanawiająca, że tego samego dnia inny sojusz eurowyborczy zawarł Marek Jurek, do którego dołączył Marek Jakubiak. Czyżby Kai Godek bliżej było do Korwin-Mikkego niż do oddanego obronie dzieci nienarodzonych Marka Jurka? Dlaczego postanowiła porzucić działalność fundacyjną i wkroczyć na drogę polityczną w tak egzotycznym składzie? Czy ten sojusz pomoże dzieciom nienarodzonym? Skąd tak ostre i jednak niesprawiedliwe sądy pod adresem Prawa i Sprawiedliwości?

KOALICJA Z DIABŁEM

Trudno znaleźć racjonalność w tym posunięciu. Jeszcze trudniej dostrzec szczerość politycznych intencji u (przynajmniej) części koalicjantów. Zwłaszcza po zapoznaniu się ze stanowiskiem Janusza Korwin-Mikkego, który jednoznacznie przekreślił wszelkie mrzonki o wspólnym programie. Tuż po wspólnej konferencji prasowej napisał na Twitterze: „Koalicja do PE nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek wspólnym programem – poza jednym: »Do diabła z UE!« Włączymy do niej każdego, poza socjalistami i komunistami (Diabła też! Diabeł jest lepszy – bo nie obiecuje, że zapanuje powszechna równość!)".

Diabeł też pójdzie w wielkim Marszu dla Życia, który zapowiadała Godek? Jak czuje się ona w tym doborowym towarzystwie? Czy nie dostrzega, że mogło tutaj dojść do politycznego użycia jej

eprasa.pl c5acb31c1f

osoby w celu poszerzenia elektoratu? Cokolwiek by mówić, ta koalicja wydaje się mało wiarygodna. Tym bardziej że główny zarzut, jaki Godek wysuwa przeciwko PiS, mogłaby postawić także Korwin-Mikkemu. Jakie było jego stanowisko podczas sejmowej awantury o obywatelski projekt ustawy o całkowitym zakazie aborcji? Zapytany o to, jaką decyzję podjąłby na miejscu PiS, przyznał, że „ruszanie tego tematu jest niebezpieczne".

CHRONIĆ ŻYCIE, ALE JAK?

Powiedzmy sobie jasno: wszyscy ludzie szanujący życie i mający świadomość, że rozpoczyna się ono w chwili poczęcia, chcieliby funkcjonować w świecie, w którym nie morduje się ludzi bez względu na ich wiek czy stan zdrowia. Ale jak realnie doprowadzić do istnienia takiego świata? Wbrew pozorom wprowadzanie na siłę twardego, całkowitego zakazu aborcji w dzisiejszej rzeczywistości społeczno-politycznej nie odniesie oczekiwanych rezultatów. Walka o sprawy fundamentalne musi być mądra. Są sprawy, których nie da się zrealizować w czasie jednej kadencji. Są też takie, których podjęcie w sposób niewłaściwy może się okazać przeciwskuteczne. Niestety taka właśnie jest sprawa ochrony życia – czy nam się to podoba, czy nie. I właśnie z tego powodu należy do niej podejść zupełnie inaczej – nie wymuszonym zakazem, ale gruntowną i wszechobecną edukacją.

Trzeba pamiętać, że spór o aborcję jest dla opozycji wyjątkowo kalorycznym paliwem do rozbudzenia ulicznego buntu. Czarne protesty pokazały, że siła liberalno-lewicowych mediów jest ogromna. Parasolkowe manifestacje były dobrze zorganizowane, a towarzysząca im lewicowa propaganda sprawiała, że grono protestujących rosło. PiS znalazło się w politycznym potrzasku. Każde rozwiązanie było fatalne. Rząd Beaty Szydło podszedł jednak do sprawy konstruktywnie i zaproponował własne rozwiązanie: ustawę Za życiem. Jej celem była pomoc rodzinom dzieci niepełnosprawnych już na etapie ich życia prenatalnego, pomoc materialna po urodzeniu i wzmacnianie świadomości społecznej w zakresie ochrony życia. Biorąc pod uwagę, że większości aborcji dokonuje się z powodów eugenicznych, pomysł ten był rzeczywiście trafiony. Jeśli statystyki pokazują, że aż 99 proc. aborcji dotyczy dzieci, u których zdiagnozowano ciężką chorobę, to znaczy, że konieczne jest otoczenie szczególną opieką kobiet i rodzin dzieci niepełnosprawnych. Niezbędne jest również wsparcie medyczne, psychologiczne, ale i finansowe.

Oskarżenie PiS o proaborcyjność jest więc nie tylko niesprawiedliwe, lecz również wyjęte z politycznych realiów. Skoro nawet Janusz Korwin-Mikke ma świadomość ograniczeń, jakie należy brać pod uwagę w tej kwestii, tym bardziej niezrozumiała jest wolta Kai Godek. Widać wyraźnie, że jedynym skutkiem tego mezaliansu może być dalsze pogłębianie podziałów na prawicy.

DLACZEGO TAK MAŁO DZIAŁAŃ PRO-LIFE?

Obecna rzeczywistość polityczna stwarza nowe możliwości ochrony życia. Skierowanie większej uwagi i bardziej precyzyjnych narzędzi na należne respektowanie obowiązującego dziś prawa aborcyjnego w ogromnym stopniu przyczyniłoby się do zwiększenia ochrony życia. Twarde zakazy nie załatwiają sprawy. Znacznie ważniejsze jest uświadamianie. Trzeba położyć nacisk na pomoc kobietom w trudnej sytuacji i uświadamianie im, czym tak naprawdę jest aborcja. Bo nic nie uchroni życia dziecka tak dobrze jak głęboka świadomość matki. Jeśli więc szukać odpowiedzialności PiS, to właśnie w tym względzie – zbyt słabych działań promujących postawy pro-life.

Pomysł premier Beaty Szydło był rewelacyjny. Niestety wraz ze zmianą premiera zmieniły się priorytety rządu i inne sprawy zostały wysunięte na plan pierwszy. W kąt poszły ustawa Za życiem i związany z nią plan promocji życia. W tym obszarze należałoby więc formułować zarzuty wobec obozu rządzącego. Nie ma pozytywnej, szeroko obecnej kampanii informacyjnej, która pokazałaby rozwój dziecka na etapie prenatalnym. Widać ją co najwyżej w gablotkach parafialnych. W Telewizji Polskiej za mało jest przekazu promującego zdrową rodzinę. Brakuje warsztatów i przekazu medialnego, które zmieniłyby podejście części lekarzy do kobiet w późnych ciążach. Matki w okolicy 40. roku życia wciąż się skarżą, że straszone są możliwymi powikłaniami i chorobami dziecka, choć często po dziewięciomiesięcznym lęku rodzą zdrowe dzieci. Pozytywnych działań pro-life, tych na wielką skalę i z udziałem podmiotów wspieranych przez rząd, nadal jest za mało. A to przecież rzecz najważniejsza.

Skuteczna walka z aborcją wymaga uświadomienia, zmiany mentalności, pozytywnego przekazu. Właśnie tym w pierwszej kolejności należałoby się zająć. Z tego zadania PiS rzeczywiście nie zdołało się wywiązać. Ale czy można je nazwać partią proaborcyjną, jak twierdzi Kaja Godek? Odpowiednie dajmy rzeczy słowo. Inaczej pogubimy się w tej mętnej rzeczywistości...

eprasa.pl c5acb31c1f

Będzie, jak było

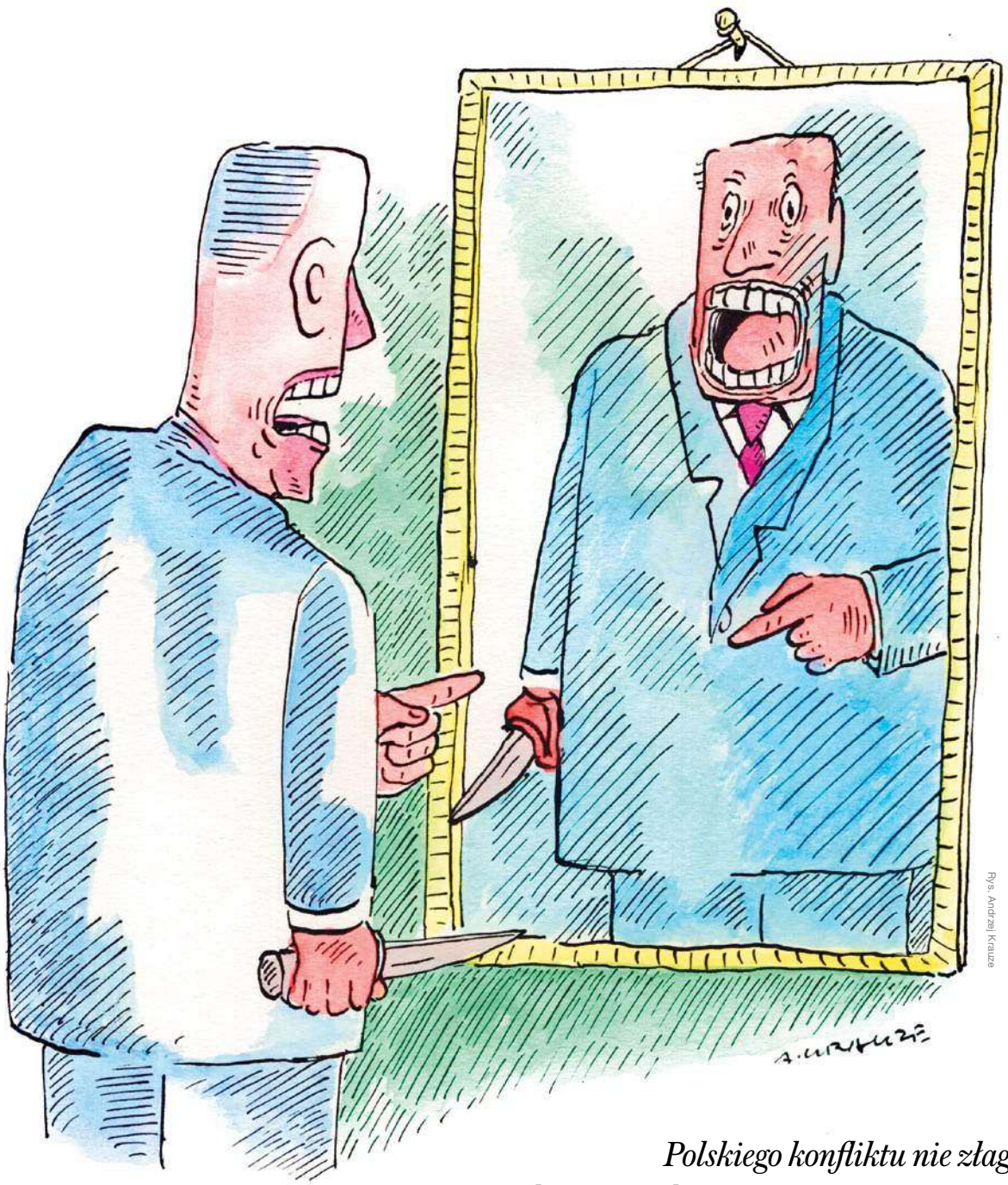

Rys. Andrzej Krauze

Polskiego konfliktu nie złagodzi ani zamordowanie Adamowicza, ani nic, co mogłoby nastąpić w przewidywalnej perspektywie. Bo obie strony liczą na to, że już za moment wyjdą na jaw fakty, które ostatecznie zdelegalizują moralnie przeciwnika

eprasa.pl c5acb31c1f

PIOTR SKWIECIŃSKI

Zamordowanie Pawła Adamowicza nie tylko nie przyniosło przełomu politycznego – w sensie upragnionego przez przeciwników PiS załamania notowań partii rządzącej. Nie przyniosło również przełomu etycznego, zerwania z „językiem nienawiści"; a pragnienie takiej zmiany deklarowano tuż po morderstwie powszechnie. Co więcej – i to jest już konstatacja rzeczywiście pesymistyczna, związana jednak mniej z polską polityką, a bardziej z naturą współczesności, w której świat codziennie rano zaczyna się od nowa – sama sprawa morderstwa żyła krótko, bardzo szybko przestała być tematem rozmów i być przeżywana.

Zajmijmy się po kolei tymi aspektami wydarzenia.

Ani sondaże, ani tzw. obserwacja uczestnicząca nie wykazują, by zabójstwo ważnego polityka liberalnej opozycji, zabójstwo dokonane wprawdzie przez klinicznego szaleńca, ale pod hasłami jawnie politycznej treści, spowodowało już nawet nie wyczekiwany przez opozycję polityczny kataklizm, ale wręcz jakąkolwiek zauważalną depopularyzację rządzących (podobnie zresztą jak nie przyniosła podobnych rezultatów śmierć Marka Rosiaka w 2010 r.).

Oczywiście można powiedzieć, że tak jak w czasie rządów Platformy niekorzystne dla ówczesnych rządzących wydarzenia nie wywierały natychmiastowego sondażowego wpływu, ale odkładały się w świadomości i wręcz podświadomości wyborców, by w końcu wywrzeć zaskakujący dla wielu, nieoczekiwany efekt skumulowany, tak może się stać i teraz. Poczyniwszy to zastrzeżenie, stwierdźmy jednak, że na razie niewiele na to wskazuje.

Dlaczego? Jak zawsze nie z jednej przyczyny, ale z wielu, które nie są z sobą sprzeczne, lecz się uzupełniają.

JAK MĄDRA TRZCINA

Istotnym czynnikiem było oczywiście to, że rządzący zareagowali na kryzys przytomnie i – co ważne – w czasie rzeczywistym, czyli natychmiast. W zasadzie od momentu, w którym pojawiła się wiadomość o zamachu, ewidentnie zrozumieli, że ustawienie się w kontrze do nastroju, czyli do szoku, oburzenia i współczucia, byłoby dla nich politycznie zabójcze. Nie było wówczas żadnych prób krytykowania (kontrowersyjnego skądinąd) zamordowanego polityka. A próby łączenia PiS z zabójstwem były przez stronę rządową i prorządową zbywane milczeniem. Jeśli nie liczyć sławetnego, pierwszego po zabójstwie wydania „Wiadomości" czy niemożliwej do opanowania Krystyny Pawłowicz, to cała reakcja i władzy, i wszystkiego, co jest z tą władzą kojarzone, była konstruowana konsekwentnie według wzoru mądrej trzciny, która chyli się z wiatrem. To uchylenie się od konfrontacji było dla rządzących zbawienne.

Innym czynnikiem, z powodu którego cała sprawa nie zaowocowała sondażową katastrofą, jest to, że związanie zabójcy z Prawem i Sprawiedliwością było jednak zadaniem dość karkołomnym. A próby konkretniejszego niż opartego wyłącznie na klimacie w kraju skojarzenia jego czynu z rządzącymi (np. groteskowa sugestia, jakoby w więzieniach osadzeni mogli oglądać wyłącznie prorządową TVP Info) okazały się pozbawione związków z rzeczywistością.

Wreszcie – rozmaite, związane z zabitym fakty (słynne rozliczne konta i mieszkania, wraz z przekraczającymi granice groteski tłumaczeniami tego, skąd one się wzięły) zdążyły przed zamachem na tyle dotrzeć do opinii publicznej, że ograniczyło to możliwości przełożenia się fali współczucia wobec zamordowanego i jego rodziny na akceptację dla lansowanej przez medialną opozycję kanonizacji jego postaci. A w ślad za tym – przekształcenia tej fali w zmiany polityczne.

To wszystko są okoliczności istotne, ale nie najważniejsze. Bo – umówmy się – kiedy tzw. wiatr historii wieje w jakąś określoną stronę, fakty w świadomości społecznej liczą się średnio.

Co starsi pamiętają, jak to pod koniec tzw. pierwszego PiS w tejże świadomości zupełnie nie liczyło się to, że posłanka Sawicka ewidentnie zaangażowała się w proceder korupcyjny – bo wiatr historii wiał akurat w stronę antypisowską. Jeszcze starsi wspomną, jak to w czasie kampanii prezydenckiej roku 2000 – w kraju wtedy jeszcze dość mocno katolickim – wyemitowanie w telewizji słynnej taśmy, na której Aleksander Kwaśniewski zachęcał swojego najbliższego współpracownika do szyderstw z Jana Pawła II, w żaden sposób nie wpłynęło na popularność tegoż polityka, który wygrał wtedy wybory w pierwszej turze. Nawet hierarchia kościelna czująca nastroje nie zareagowała wówczas na ten skandal.

Innymi słowy – gdyby zostały spełnione inne warunki, to wszystko opisane powyżej nie zadziałałoby i mielibyśmy obecnie do czynienia z poważnym kryzysem obozu władzy. Ale tak się nie stało. Dodajmy, że jak dotąd nie obserwujemy również żadnych poważniejszych negatywnych dla władzy efektów ani postawienia zarzutów Bartłomiejowi M., byłemu bardzo zaufanemu współpracownikowi Antoniego Macierewicza, ani nawet lansowanej jako afera dekady i śmiertelny cios dla PiS oraz dla prezesa Kaczyńskiego osobiście sprawy próby budowy wieżowców przez spółkę Srebrna.

DOPÓKI GARDZĄ

Dlaczego? Skąd ta teflonowość?

Nie wydaje mi się, aby wynikała ona z jakichś szczególnie silnych, pozytywnych uczuć polskiego ludu do Prawa i Sprawiedliwości. Oczywiście istnieją środowiska, które tego rodzaju emocje odczuwają, ale są zdecydowanie mniejszościowe wśród rzesz głosujących na tę partię i nadal trwających w tym wyborze.

Czym zaś kierują się owe rzesze? Najważniejszym, wpływającym na ich postawę czynnikiem jest to, że te „masy", „klasa ludowa" czy jakichkolwiek by tu innych określeń użyć, intuicyjnie czują, że druga strona, czyli reprezentująca interesy elit III RP opozycja partyjna i medialna, jest przeciw nim i nimi gardzi.

Nie chodzi przy tym ani wyłącznie, ani przede wszystkim o zapewnione przez PiS słynne 500+ i w ogóle social, choć

eprasa.pl c5acb31c1f

nie należy tego czynnika nie doceniać. Idzie o coś więcej. O to, co od początku lat 90. emanowało z liberalnych mediów i z zaludnionych przez liberałów (wszystko jedno, czy solidarnościowej, czy pezetpeerowskiej proweniencji) gabinetów – tych rządowych i tych należących do prezesów będących zapleczem liberałów spółek. III RP była projektem co się zowie elitarnym, nastawionym na realizację przede wszystkim interesów (i tych materialnych, i tych niematerialnych, związanych z dystrybucją prestiżu oraz ze sprawowaniem w społeczeństwie wszechstronnej hegemonii) swoich elit, i ta jej cecha z biegiem lat się nie łagodziła.

Przy czym Polska jest krajem pod wieloma względami nietypowym, ale akurat fenomen opisywany powyżej nie jest dla niej specyficzny. Dotyczy, w różnych wariantach, całego zachodniego świata. Co bystrzejsi obserwatorzy zjawiska pt. Trump już od dawna konkludowali, że jego zwycięstwo i popularność opierają się w mniejszym stopniu na konkretnych zmianach o charakterze materialnym (choć nie można ich lekceważyć, sama, by użyć języka marksistowskiego, nadbudowa bez bazy nie będzie trwać wiecznie), tylko na przywróceniu białym amerykańskim masom ludowym poczucia godności i sprawczości. Na uznaniu odrzucanego demonstracyjnie przez liberalne elity założenia, że to lud jest solą amerykańskiej ziemi, nie jest natomiast, jak przeświadczone są owe elity, zacofaną mierzwą historii, przydatną wyłącznie jako źródło akumulacji kapitału.

Wracając do Polski – podobna świadomość, będąca udziałem klasy ludowej, jest najpoważniejszym czynnikiem trzymającym ją przy PiS. Oczywiście nic nie jest dane raz na zawsze. Ten bezpiecznik również. Ale na razie nic nie wskazuje na to, aby przestawał działać.

PRZECIEŻ JUŻ ZA CHWILECZKĘ…

Nie uległa zmianie również psychologiczna sytuacja w kraju. Ten, kto nienawidził i pogardzał, nienawidzi i pogardza dalej.

To nie mogło się zmienić. Owa nienawiść i pogarda nie są bowiem jakimś ekscesem polskiego konfliktu politycznego, tylko jego immanentną częścią (mówię tu oczywiście nie o ogóle Polaków, tylko o tej ich części po obu stronach, która przeżywa ów konflikt najsilniej, czyli o żelaznych elektoratach obu stron i ich zapleczu medialnym).

Niedawno na tych łamach porównywałem obecną sytuację w naszym kraju do Francji z przełomu XIX i XX w., z okresu afery Dreyfusa, kiedy – jak pisałem – niesłuszne skazanie, a potem trzymanie w więzieniu już wbrew ujawnianym faktom tego oficera „doprowadziło do odrzucenia, ze względów moralnych, skompromitowanego konserwatyzmu przez wielu Francuzów". I konkludowałem: „Tylko że między ówczesną Francją i ówczesnymi Francuzami a dzisiejszą Polską i Polakami istnieją zasadnicze różnice. U nas za Dreyfusa uważają się obie strony. Zdolność do roztkliwiania się nad samym sobą jest w Polsce wielka i podobna po obu stronach barykad".

Dodałbym do tego jeszcze jedną analogię. Otóż obie strony polskiego konfliktu, uważające się za niszczonego przez spisek ludzi amoralnych zbiorowego Dreyfusa, liczą na to, że tak jak wtedy, we Francji, w końcu zostaną ujawnione fakty, które ostatecznie objawią ich niewinność i podłość wroga. Fakty, które otworzą oczy niedowiarkom, „ani gorącym, ani zimnym". I ostatecznie zdelegalizują przeciwnika moralnie, tak jak stało się w ówczesnej Francji z katolicką prawicą. To przecież takie oczywiste, więc musi w końcu nastąpić, już za chwileczkę, już za momencik... Zdumiewające przekonanie opozycyjnych autorytetów medialnych, że „taśmy Kaczyńskiego" odegrają taką rolę, tłumaczy się właśnie wiarą w dreyfusowską naturę polskiej sytuacji. Wiarą – dodajmy – będącą (po obu stronach) wiarą w ułudę.

Utrzymywanie takiej wiary wymaga jednak nienawiści i pogardy. Dlatego ani jeden, ani więcej trupów nic tu zmienić nie potrafią.

WE WŁASNYM INTERESIE

Ale z tego nie wynika, aby z nawet chwilowego wstrząsu, jakim było zamordowanie prezydenta Gdańska, nie mogło wyniknąć coś, co choć w niewielkim stopniu złagodziłoby polską wojnę i zmniejszyło prawdopodobieństwo, że za Adamowiczem pójdą następne ofiary. Sądzę, że obie zwalczające się strony mogłyby się dogadać co do pewnego planu absolutnie minimalnego.

Nie idzie mi przy tym o karanie tzw. mowy nienawiści. A to dlatego, że to pojęcie wybitnie uznaniowe. To byłby zbyt uznaniowy proceder, prowadzący nas zbyt blisko cenzury internetu. A to byłoby, po pierwsze, sprzeczne z dezyderatem wolności w znaczeniu takim, jakie ukształtowało się we współczesnym świecie, nie byłoby więc społecznie zaakceptowane. A po drugie, oddziaływałoby to raczej na korzyść elit III RP, jako – wciąż – dysponentów większości klasycznych środków oddziaływania na opinię.

Można jednak, jak sądzę, umówić się co do zakazania i surowego ścigania pewnych najostrzejszych i zarazem najbardziej konkretnych, poddających się jednoznacznemu opisowi, przejawów tego zjawiska. Myślę tu o wezwaniach lub zapowiedziach nie tylko zabójstwa, lecz również użycia siły fizycznej wobec przeciwników politycznych, a także pochwalania tego rodzaju działań.

Uważam, że obie strony mogłyby się na to zgodzić – we własnym, obustronnym interesie. Bo któż politykowi PiS czy Platformy zaręczy, że ktoś kolejny nie uzna, iż jego życiowe klęski związane są właśnie z jego partią, więc należy „wyrwać chwasta"? Albo przynajmniej go pobić? Albo chociaż ogolić na łyso?

Szkoda, że szok wywołany przez morderstwo Adamowicza nie został dotąd wykorzystany do zawarcia takiego wyspowego porozumienia.

Małą mam jednak nadzieję, że to nastąpi. A to dlatego, że politycy żyją pod terrorem najradykalniejszej części swoich elektoratów, dla których jakiekolwiek, nawet najdrobniejsze i najbardziej oczywiste, porozumienie „z tymi" byłoby oznaką szykującej się zdrady. A może gorzej – może wręcz dowodem, że ich przywódcy tak naprawdę wcale nie wierzą w to, co swoim najwierniejszym do wierzenia podają?

Więc raczej będzie, jak było.

eprasa.pl c5acb31c1f

Psychiatrzy i tykające bomby

Szpitale psychiatryczne pękają w szwach, pacjenci leżą na korytarzach. A jednak musi się znaleźć miejsce dla takich jak Stefan W. Więźniów, którzy wychodzą z zakładu karnego i są jak tykająca bomba, która w końcu wybuchnie

MAJA NARBUTT

Stefan W., zabójca prezydenta Adamowicza, zdobył ponurą sławę, na której mu zależało. Wiele wskazuje na to, że zostanie zapamiętany nawet bardziej, niż się spodziewał. Morderstwo, które popełnił, zmieni polskie prawo.

Fot. EAST NEWS/MARCIN GADOMSKI/SUPER EXPRESS

Każdy więzień, u którego w trakcie pobytu w zakładzie karnym zostaną zdiagnozowane: choroba psychiczna, zmiany osobowościowe lub uzależnienia, będzie potraktowany szczególnie. Kończąc odbywanie kary, nie zniknie bez śladu, z receptą, której nie chce nawet zrealizować. Będzie zdiagnozowany. Sprawdzone zostanie ryzyko, jakie niesie jego pobyt poza murami więzienia. I albo trafi do zakładu psychiatrycznego, albo będzie się musiał leczyć na wolności.

Nowe rozwiązania prawne konsultują psychiatrzy. Mają świadomość, że wkraczają na grząski grunt, jak zwykle gdy trzeba znaleźć kompromis między wolnością osobistą a usprawiedliwionym przymusem. – Psychiatrzy zawsze są na cenzurowanym. Albo zarzuca się nam, że na siłę przetrzymujemy pacjentów, jak w „Locie nad kukułczym gniazdem", albo wręcz przeciwnie: spotykamy się z oburzeniem, że pochopnie wypuszczamy ich na wolność – przyznaje prof. Agata Szulc, prezes Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Teraz niewątpliwie wahadło przechyliło się w tę drugą stronę. Nie znaczy to jednak, że przymusowe zatrzymywanie w zakładach psychiatrycznych więźniów, którzy odbyli już karę więzienia, nie spotka się w przyszłości z krytyką. Niektórym już kojarzy się z sowiecką psychiatrią represyjną, stosowaną do pognębienia ludzi niewygodnych dla systemu. A przecież, choć niewiele osób o tym wie, prewencyjne zatrzymywanie po odbytym wyroku istnieje w innych państwach europejskich, np. w Niemczech, a także było stosowane w Polsce międzywojennej.

– Historia zatacza koło. Już wprowadzenie ustawy o bestiach oznaczało, że zaczynamy wracać do środków zabezpieczających, które znieśli komuniści. Argumentowali, że tego typu rozwiązania są niezgodne z moralnością socjalistyczną, a także zasadą, że nie karze się dwa razy za to samo. Tymczasem Kodeks karny z 1932 r. przewidywał, że sąd może w szczególnych przypadkach zadecydować o zamknięciu opuszczającego zakład karny więźnia na pięć lat. A jeśli potem uzna się, że nadal stanowi zagrożenie, przedłużyć to o kolejne pięć – mówi prof. Wojciech Zalewski, kierownik Zakładu Kryminologii na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Jest autorem prac naukowych dotyczących tzw. więźniów niepoprawnych, czyli takich, u których resocjalizacja nie skutkuje. Nie wiadomo, czy to kwestia genów, czy warunków, w jakich dorastali, w każdym razie efekt jest ten sam – zawsze wracają na drogę przestępstwa.

Ustawa o bestiach miała skutecznie chronić społeczeństwo przed pewną kategorią przestępców, seryjnymi mordercami i gwałcicielami. Nowe rozwiązania, nad którymi pracują teraz resorty zdrowia i sprawiedliwości, to kolejny krok w tym kierunku.

– Jesteśmy w tym względzie zacofani, świat już dawno dojrzał do podobnych uregulowań. U nas ciągle nie ma rozwiązań systemowych. Czasami też włącza się myślenie gospodarskie: zastanawianie się, ile taka prewencja będzie kosztować, czy nas na to stać. To niewłaściwe pytanie, bo jaka jest cena życia ludzkiego? – uważa prof. Bartosz Łoza, kierownik Kliniki Psychiatrii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Jak podkreśla, szybkie wprowadzenie nowych rozwiązań prawnych pod presją opinii publicznej, wstrząśniętej spektakularnym przestępstwem, nie jest niczym niezwykłym. Akcja powinna wywołać reakcję.

– Kiedy w połowie XIX w. dokonano zamachu na premiera na Downing Street, Brytyjczycy natychmiast przystąpili do budowy specjalnego zakładu dla tego typu przestępców. Już wtedy rozumiano, że należy się zmierzyć z nową sytuacją – mówi prof. Łoza.

Teraz właśnie mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją, której nie potrafiliśmy zapobiec ani nawet jej przewidzieć.

CO MÓWI SAPROF

– Kiedy więzień opuszcza zakład karny, przeprowadza się z nim standardową rozmowę. Jakie ma plany, co zamierza robić na wolności. Czy ma pieniądze na pierwsze dni. Czasami daje się mu nowe ubranie i drobną kwotę. Nie można jednak prześwietlić jego umysłu ani zaplanować mu życia – mówi dr Maciej Szaszkiewicz, biegły sądowy i były psycholog penitencjarny w areszcie śledczym.

Właśnie takie rozmowy dwukrotnie przeprowadzono ze Stefanem W., gdy w grudniu opuszczał więzienie w Gdańsku. Z notatki służbowej dyrektora zakładu karnego wynika, że więzień oświadczył, iż nie chce miejsca w noclegowni, zamierza opuścić Gdańsk, bo to siedlisko Platformy, której nie lubi. Jako bezdomny będzie podróżował po Polsce pociągami. Chciałby też, by Jarosław Kaczyński został dyktatorem.

– Nie można zamknąć w zakładzie psychiatrycznym człowieka tylko dlatego, że deklaruje, iż nie lubi partii X, a popiera partię Y czy odwrotnie. Trudno też sobie wyobrazić, by z tego powodu przetrzymywać go dłużej w więzieniu – podkreśla prof. Agata Szulc.

Wydaje się to oczywiste. Jednak nie jest to oczywiste dla wszystkich. Wiadomość o deklarowanych sympatiach politycznych Stefana W., podana w sensacyjnym tonie, traktowana była jako oczywisty, a zlekceważony przez służbę więzienną, motyw jego zbrodni. Jak stwierdziła jedna z komercyjnych stacji, o tych „ekstremistycznych poglądach" powinny być zawiadomione odpowiednie służby.

Problem polega na czymś innym. Jak powszechnie wiadomo, matka Stefana W. zawiadomiła policję, a ta służbę więzienną, że czuje się on rozgoryczony odbywaną karą i po wyjściu na wolność może się dopuszczać przestępstw. W najgorszych wyobrażeniach nie przypuszczano jednak, że może to oznaczać morderstwo. Nie formułował przecież żadnych gróźb. Sądzono, że chce, jak poprzednio, napadać na banki. Ponieważ odsiadywał wyrok za napady z atrapą broni, miał się odgrażać, że tym razem weźmie maczetę. Uważał bowiem, że za napad z atrapą został zbyt surowo ukarany.

– Znakomita większość więźniów ma poczucie krzywdy. Zwykle więzień sądzi, że to niesprawiedliwe, iż musi siedzieć. Porównuje się z innymi – kumplowi się upiekło, a inny więzień co prawda wpadł, ale wyrok ma krótszy. Frustracja jest w więzieniu stanem naturalnym – opowiada dr Szaszkiewicz.

Tylko bardzo precyzyjne testy diagnostyczne mogłyby pomóc ustalić, jak duża jest agresja Stefana W. i czy będzie on stanowić realne zagrożenie, gdy wyjdzie na wolność. Takie narzędzia diagnostyczne już istnieją. Mają określić czynniki

eprasa.pl c5acb31c1f

ryzyka, które sprawiają, że ktoś może popełnić przestępstwo i dopuścić się agresywnych czynów.

Ministerstwo Zdrowia proponuje teraz, by więźniowie, u których w trakcie odbywania kary ujawniły się zaburzenia psychiczne, czyli tacy jak Stefan W., poddawani byli przy wyjściu z zakładu karnego tzw. diagnozie SAPROF.

Opracowany w holenderskiej klinice system bierze pod uwagę 17 czynników, które mogą mieć wpływ na dalsze losy badanej osoby, począwszy od inteligencji, poziomu empatii, radzenia sobie ze stresem, a skończywszy na przyjmowaniu leków i sytuacji rodzinnej.

Bardzo różni się to od systemu ocen więźnia przyjętego w zakładach karnych, gdzie więzienna mimikra, równe składanie koca na pryczy i potulne wypełnianie poleceń strażników mylone są z resocjalizacją.

– Nikt nie lubi więźniów trudnych, niezdyscyplinowanych, ale trudno, by kadra więzienna wiedziała, co naprawdę dzieje się w umyśle osadzonego. Jeśli sprawia kłopoty, dziwnie się zachowuje, mówi się po prostu, że „świruje", i raczej się nie wnika, czy ma to związek z zaburzeniami psychicznymi. No, chyba że są już ewidentne – wyjaśnia jeden z moich rozmówców, związany z systemem penitencjarnym.

Inna jest zresztą norma dotycząca zaburzeń psychicznych na wolności i w zakładzie karnym. To oczywiste dla każdego, kto zetknął się z więzienną subkulturą. Samookaleczanie się na przykład to w normalnym życiu przejaw poważnych zaburzeń, ale w więzieniu może być konwencjonalnym sposobem, który ma załatwić przeniesienie do innej celi.

> Tylko bardzo precyzyjne testy diagnostyczne mogłyby pomóc ustalić, jak duża jest agresja Stefana W. i czy będzie on stanowić realne zagrożenie, gdy wyjdzie na wolność

SŁAWA MĄCICIELA

Co robić więc z więźniami, u których zdiagnozowano zaburzenia psychiczne, a wychodzą na wolność? Jak zawsze diabeł tkwi w szczegółach. Bo inaczej ma się traktować tych, u których istnieje wysokie ryzyko, że mogą być niebezpieczni dla siebie i innych, a inaczej tych, u których to ryzyko określane jest jako bardzo wysokie.

Ci pierwsi mają być, na wniosek dyrektora zakładu karnego i za zgodą sądu opiekuńczego, leczeni ambulatoryjnie. Ci drudzy – bezterminowo kierowani do szpitali psychiatrycznych.

– Szczerze wątpię, że moi koledzy zawsze tak precyzyjnie ustalą, kiedy ryzyko jest bardzo wysokie, a kiedy tylko wysokie. Zastanawiam się też, jak w praktyce będzie wyglądał przymus leczenia byłego więźnia, czy to kurator ma pilnować, by brał lekarstwa – mówi znany psychiatra.

Jak twierdzi rzecznik praw obywatelskich, w zakładach karnych przebywa tysiąc więźniów z zaburzeniami psychicznymi. Przyjmijmy, że te dane są prawdziwe – oznacza to, że zgodnie z przygotowywanymi rozwiązaniami prawnymi trzeba będzie w pewnym momencie gdzieś upchnąć nawet kilkaset osób.

Zwykłe oddziały psychiatryczne do tego celu niezbyt się nadają. Nie tylko dlatego, że są przepełnione i pacjenci leżą na dostawkach na korytarzu. Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę to, że chodzi o pacjentów, którzy stwarzają zagrożenie dla siebie i innych.

– Zazwyczaj takie oddziały nie mają ochrony, a personel medyczny to pielęgniarki i salowe, często drobnej budowy kobiety – mówi prof. Agata Szulc.

W grę powinny więc wchodzić zamknięte szpitale psychiatryczne, przeznaczone dla bardziej agresywnych pacjentów. A najlepiej byłoby, gdyby niektórych byłych więźniów umieszczano w regionalnych ośrodkach psychiatrii sądowej, takich jak ogrodzony niemal sześciometrowym murem słynny ośrodek w Gostyninie, utworzony po wejściu w życie ustawy o bestiach. Najeżony kamerami, zatrudniający przeszkolonych przez antyterrorystę kilkudziesięciu ochroniarzy.

Jest jednak problem – ośrodek był projektowany z myślą o 10 pacjentach. A już przebywa w nim kilka razy więcej osób.

Na pewno w tego typu ośrodku musi się znaleźć miejsce dla Stefana W. Jeśli oczywiście biegli potwierdzą diagnozę, którą postawiono mu już w czasie, gdy przebywał w więzieniu, czyli schizofrenię paranoidalną. A także uznają, że w momencie popełniania zbrodni był niepoczytalny, czyli nie miał zdolności kierowania swym postępowaniem.

– Nie spekulujmy, zaczekajmy, aż wszystko się wyjaśni. Wokół tej sprawy narosło tyle sensacyjnych pogłosek, że trzeba wszystko rozplątać. Warto zauważyć, jakie domniemania snuto, sądząc, że Stefan W. miał plakietkę „media". W Trójmieście uważano nawet, że mógł mu pomagać jakiś dziennikarz. Okazało się, że żadnej plakietki nie było. Poczekajmy zatem na wszystkie fakty – mówi prof. Wojciech Zalewski, kierownik Zakładu Kryminologii na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego.

Jeśli Stefan W. trafi jednak do więzienia, to pewne rzeczy są dla wszystkich, którzy znają realia penitencjarne, oczywiste.

„Pan Stefan wjedzie na puchę z fejmem [...], w oczach innych złodziei będzie już kimś" – napisano na cieszącym się sporą popularnością blogu „Służba więzienna okiem klawisza".

Inni, już nie anonimowi, specjaliści ujmują to bardziej elegancko. Sens jest jednak taki sam. W więziennej subkulturze Stefan W. będzie traktowany jako ktoś, kto dokonał czynu niezwykłego. Zabił polityka, kogoś z establishmentu, został dostrzeżony przez miliony ludzi.

– Może nawet zostać w więzieniu głównym „mącicielem", czyli tym, który decyduje o wszystkim. Od niego zależy, kogo się akceptuje, a kogo prześladuje, cweluje i kto jest na samym dnie. Stefan będzie miał władzę i respekt kolegów, na czym mu najbardziej zależy. Przecież on tej zbrodni dokonał dla nich, by im zaimponować, to oni są jego grupą odniesienia – uważa psycholog sądowy dr Maciej Szaszkiewicz.

eprasa.pl c5acb31c1f

Nie tylko Warszawa

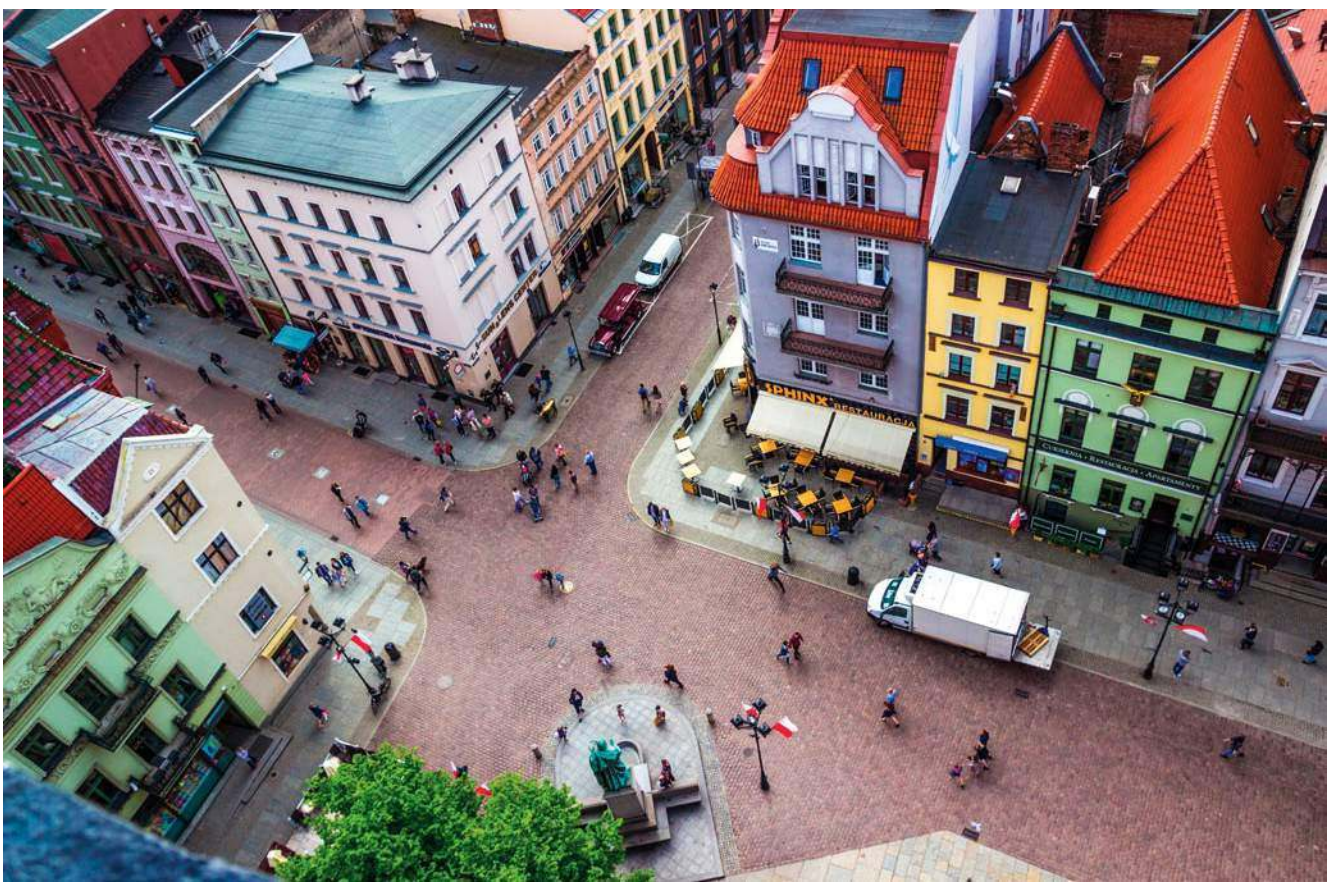

Fot. Shutterstock

Deglomeracja jest przedsięwzięciem trudnym, kosztownym i musi być rozłożona w czasie, ale alternatywą jest chaotyczna transformacja Polski, charakterystyczna dla kraju peryferyjnego. Trudno bowiem mówić o modernizacji państwa bez zrównoważonego rozwoju regionalnego i przywrócenia miast do życia. Polska nie powinna i nie może się kończyć na Warszawie

Dynamiczny rozwój Warszawy budzi niekłamany podziw. Miasto tętni życiem, wielkie zagraniczne firmy przenoszą tu swoje regionalne oddziały, stawiane są – jeden obok drugiego – wielkie szklane biurowce, buduje się nowe osiedla i kolejną linię metra. Jednak to wszystko ma swoją cenę. I nie chodzi o pieniądze, ale o zupełnie inne koszty.

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na moim rodzinnym Mokotowie ulica, przy której się wychowałem, zamieniła się dziś w wąski, hałaśliwy wąwóz, którym przez całą dobę suną samochody. Zaparkowanie w okolicy graniczy z cudem. Jeszcze 20–30 lat temu wielu mieszkańców znało się osobiście albo przynajmniej kojarzyło z widzenia. Dziś dawna społeczność została wymieciona i zastąpiona przez niekończącą się rotację

eprasa.pl c5acb31c1f

przybyszy z całego kraju, którzy nie czują głębszego związku z miejscem, w którym zamieszkali. Traktują je często jako kolejny, krótki przystanek w ich życiu – nikt z nich bowiem nie wie, jakie wyzwania przyniesie kolejny dzień. Są całkiem inni niż ich poprzednicy.

Wraz z przemianami stopniowo zanikła dawna tkanka miejska: lokalne sklepy, księgarnie, rzemiosło. Ich miejsce zajęły banki, modne kafejki i śniadaniownie oraz antykwariaty z ofertą dla zamożnych snobów. Gwałtownie wzrosły ceny nieruchomości podbijane przez spekulantów, nadal działa też reprywatyzacyjna mafia próbująca przejmować atrakcyjne grunty. Dzielnica pozornie się nie zmieniła, ale dawny mieszkaniec odnajduje się tu z coraz większym trudem.

Dotyczy to całej Warszawy. Miasto dusi się, pęka w szwach, rozlewa chaotycznie na przedmieścia, co jeszcze bardziej potęguje trudności z dotarciem do szkoły i pracy. Mimo dość sprawnego transportu publicznego Warszawa ciągle stoi w korku, a spowodowane ogromnym ruchem samochodowym zanieczyszczenie powietrza przekracza kolejne niebezpieczne granice. Ludzie bez przerwy pędzą, pchają się naprzód, aby tylko zdążyć na czas, co wywołuje wzajemną niechęć, a często agresję. Moja kuzynka mieszkająca w jednym z dużych miast wojewódzkich rozważała kiedyś studia w Warszawie i ewentualne przenosiny do stolicy. Szybko jednak zmieniła zdanie. „U was nie da się normalnie żyć" – wyjaśniła. Ona miała jednak alternatywę, w jej mieście działa uniwersytet i kilka innych uczelni, są miejsca pracy, wychowała się tam i ma przed sobą perspektywy.

Co jednak mają powiedzieć ci, którzy w swoich miastach takich perspektyw nie mają?

WEGETACJA

W większości średnich miast, zwłaszcza w dawnych stolicach województw zdegradowanych po 1999 r. do rangi miast powiatowych, codzienne życie stało się przeciwieństwem tego, z czym mamy dziś do czynienia w Warszawie. Transformacja po upadku komunizmu przyniosła tym miastom zapaść gospodarczą. Wraz z upadkiem przemysłu zniknęły nie tylko miejsca pracy, lecz również wszystko, co stanowiło zaplecze zlikwidowanych zakładów przemysłowych: sieć podwykonawców, szkolnictwo zawodowe, transport drogowy i kolejowy, a także finansowane przez miejscowy przemysł kluby sportowe. A to oznaczało kolejną utratę miejsc pracy i postępującą wegetację mieszkańców.

Kolejnym gwoździem do trumny okazała się reforma administracyjna z 1999 r. Likwidacja urzędów wojewódzkich oznaczała utratę przez te – i tak już zdegradowane – miasta funkcji lokalnych centrów administracyjnych na rzecz większych ośrodków i stolicy. Dzieła zniszczenia dopełniły rządy koalicji PO-PSL, które stopniowo przenosiły koszty funkcjonowania usług publicznych na zubożałe samorządy. W ten sposób doprowadzono do zapaści lub wręcz likwidacji lokalnej służby zdrowia, komunikacji publicznej, zniknęło też wiele komisariatów policji. Nastąpiła rejterada państwa, a wraz z nią mieszkańców. Dokąd? Do najbliższych dużych miast oraz do Warszawy.

Wraz z tą ucieczką rozpoczął się ostateczny proces zamierania miast, charakterystyczne jest tu zwłaszcza zamykanie szkół (bo brakuje dzieci) i wszelkich pozostałych jeszcze instytucji kulturalnych oraz oświatowych. Są już tego wymierne skutki. Izolacja i brak dostępu do podstawowych usług ograniczają rozwój lokalnych społeczności, a wręcz wywołują ich regres. Młodzież szkolna – pozbawiona szkół średnich (o wyższych nie wspominając) – musi włożyć znacznie więcej wysiłku, aby kontynuować naukę. W rezultacie wiele uczniów spoza dużych miast skończyło edukację na poziomie gimnazjalnym. Powoduje to potem trudności tych osób na rynku pracy oraz utrwala ich niski status społeczny. Z kolei brak wykwalifikowanej (czy też wyedukowanej) siły roboczej powstrzymuje potencjalnych inwestorów, co poszerza lokalne obszary ubóstwa. I koło się zamyka.

> Wraz z przeniesieniem niektórych urzędów do mniejszych miast powróci życie. Mieszkańcy nie będą musieli nigdzie uciekać. Poprawią się usługi, wrócą kolej, placówki kulturalne i szkoły

Wyludnione i pozbawione lokalnej elity miasta padają niekiedy łupem miejscowych sitw, bezceremonialnie drenujących resztki dostępnych zasobów. Tworzą się patologiczne struktury oplatające swoją siecią masę upadłościową po zamierających miastach. Ostatnie wybory samorządowe w wielu przypadkach pokazały, jak trudno tę sytuację zmienić.

PUSTE MIASTA

Upadkowi miast towarzyszy depopulacja (ambitniejsi uciekają w poszukiwaniu perspektyw lepszego życia), która osiągnęła już w wielu regionach Polski niepokojące rozmiary. Gwałtowne procesy wyludnienia, związane dotąd głównie z emigracją zagraniczną, przeżywają województwa opolskie, podkarpackie, warmińsko-mazurskie oraz podlaskie. W mniejszych miastach – podobnie jak w Warszawie – wykruszają się dotychczasowi mieszkańcy, tyle że w odróżnieniu od stolicy nikt nie przyjeżdża na ich miejsce.

Z badań przeprowadzonych przez prof. Przemysława Śleszyńskiego, kierownika Zakładu Geografii Miast i Ludności w Instytucie Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN, 1/4 gmin w Polsce ma poniżej 5 tys. mieszkańców. W ciągu najbliższych 10 lat będzie to już 1/3 wszystkich gmin. Utrata ludności dotyka również miast powiatowych. Z aktualnych 12,6 mln mieszkańców takich miast ubędzie ok. 3 mln osób, a więc prawie 1/4 populacji. Aż połowę ludności mogą

eprasa.pl c5acb31c1f

stracić miasta konurbacji katowickiej, takie jak Bytom, Świętochłowice, Zabrze, oraz małopolski Tarnów.

Szczególnie niebezpieczna jest tu emigracja zagraniczna, która pogarsza i tak niskie wskaźniki demograficzne. Jak wynika z szacunków, liczba ludności Polski może się zmniejszyć do 31–32 mln, co oznacza spadek o 17–20 proc.

W raporcie Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego „Polska średnich miast" przygotowanym przez prof. Śleszyńskiego znajdujemy szokujące porównanie dzisiejszego zamierania miast z polityką prowadzoną przez zaborców. Przykładowo po powstaniu styczniowym Rosjanie odebrali prawa miejskie prawie 300 ośrodkom, co miało osłabić potencjał Polaków. Dziś, rzecz jasna, nikt nie kieruje się takimi motywami, jednak rezultat degradacji mniejszych miast może być podobny.

ZIGNOROWANY PROBLEM

To oczywiście nie jest tak, że nikt tych zagrożeń nie dostrzega. Jednak przez pierwsze kilkanaście lat po upadku komunizmu migracje ludności z mniejszych ośrodków do dużych aglomeracji traktowano jako nieunikniony element transformacji. W okresie PRL rozwój Warszawy był – m.in. z powodów ekonomicznych – mocno przyhamowany i gwałtowny rozwój stolicy po 1989 r. uznawano za rodzaj kompensacji dostosowującej w naturalny sposób liczbę ludności miasta do jego potencjału.

O deglomeracji, czyli o przenoszeniu miejsc pracy i instytucji z największych miast, w tym przede wszystkim z Warszawy, do tych mniejszych, zaczęto w Polsce mówić na początku obecnej dekady, gdy – m.in. wskutek gigantycznej emigracji za granicę – ujawniła się skala zapaści na polskiej prowincji. Wiele szczegółowych analiz na ten temat opublikował m.in. Klub Jagielloński. Zastanawiano się też – i do dziś ten wątek się pojawia – czy nie należałoby zwiększyć liczby województw. Na poziomie decyzji politycznych nic się jednak nie działo, w okresie rządów PO-PSL degradacja mniejszych ośrodków wręcz przyśpieszyła.

Wygrana PiS po wyborach 2015 r. mogła być więc do pewnego stopnia odczytywana jako bunt pozbawionej perspektyw „prowincji". Jednym ze sztandarowych haseł nowej ekipy była polityka zrównoważonego rozwoju. Idea deglomeracji dobrze wpisuje się w tę strategię. Jednak dopiero w grudniu zeszłego roku rząd zapowiedział przygotowanie państwowego planu deglomeracji. Ma się tym zająć wicepremier Jarosław Gowin, który w połowie stycznia potwierdził, że już wkrótce zostaną przedstawione założenia planu, w tym – być może – pierwsze propozycje przenosin niektórych urzędów centralnych z Warszawy do mniejszych miast.

POWRÓT DO ŻYCIA

Nie ma żadnego powodu, aby przykładowo Główny Inspektorat Weterynarii czy Polska Organizacja Turystyczna miały siedziby w Warszawie. Można też sobie wyobrazić przenosiny niektórych spółek skarbu państwa. W tej chwili jest zaledwie kilka instytucji, których siedziby mieszczą się poza stolicą, np. Wyższy Urząd Górniczy w Katowicach czy Narodowe Centrum Nauki w Krakowie.

Chodzi jednak o to, aby urzędy były przenoszone również do mniejszych miast, zwłaszcza tych, które reforma administracyjna pozbawiła w 1999 r. statusu wojewódzkiego. One są najbardziej poszkodowane i stopniowo tracą swoje miejskie atrybuty. Polska jest akurat w tym dobrym położeniu, że należymy – obok Niemiec i Włoch – do państw policentrycznych, tzn. takich, które mają wiele rozproszonych ośrodków miejskich. Ten potencjał dostrzegły u siebie Niemcy, które wykorzystały go właśnie do deglomeracji, z powodzeniem rozmieszczając w różnych miastach instytucje i urzędy państwowe.

Dla Polski zyski z deglomeracji również wydają się oczywiste. Wraz z przeniesieniem niektórych urzędów centralnych i instytucji do mniejszych miast powraca życie oraz wzrasta ich status. Pojawia się zapotrzebowanie na urzędników i wykwalifikowaną kadrę. Taka kadra potrzebuje mieszkań i nieco wyższego standardu życia. Po jakimś czasie w mieście pojawiają się usługi, które już dawno wymarły. Wracają szkoły, kawiarnie, być może księgarnie i placówki kulturalne. Odtwarza się lokalna elita. Poprawiają się również infrastruktura transportowa i oferta komunikacyjna, wracają kolej i autobusy. To przyciąga kapitał prywatny, w tym zagraniczny (np. Koreańczycy, szukając miejsca do inwestowania, zwracają uwagę na to, czy w najbliższej okolicy są placówki kulturalne, bo oznacza to, że mogą liczyć na wykwalifikowanych pracowników). W rezultacie tego procesu miasto ponownie staje się lokalnym centrum administracyjnym, nie trzeba jechać dwie godziny do najbliższej aglomeracji, do Warszawy lub za granicę, aby żyć na normalnym poziomie.

To jasne, że ten proces jest rozłożony na lata i trudno zagwarantować sukces, zwłaszcza że większość mieszkańców, którzy mogliby zasilić nowe urzędy, dawno wyjechała. Należy więc ich zachęcić do powrotu albo ściągnąć nowych z innych rejonów Polski. W tym celu konieczne są jednak duże środki finansowe. Zarówno po to, aby premiować ściągniętych pracowników, jak i po to, aby inwestując w miejską infrastrukturę, zapewnić im warunki życia porównywalne z tymi, które mieli dotychczas.

BILANS NA PLUS

Plany deglomeracji wywołują wiele krytycznych uwag. Wśród antypisowskiej opozycji można usłyszeć zarzuty, że deglomeracja jest zemstą PiS na niechętnych tej partii mieszkańcach największych miast, szczególnie Warszawy. To zarzuty niedorzeczne, bo akurat deglomeracja jest korzystna również dla stolicy, aby dać jej oddech. Takie spowolnienie wydaje się konieczne, aby opracować dla Warszawy i zapewnić jej znacznie bardziej zrównoważony oraz przemyślany rozwój. W tej chwili mamy bowiem do czynienia z trudnym do opanowania chaosem, przypominającym gwałtowną erupcję rodem z Trzeciego Świata. I choć odpowiednia polityka władz miejskich mogłaby nieco ucywilizować ten proces, to żadna ekipa – niezależnie od przynależności partyjnej – nie jest dziś w stanie go zahamować. Aby było to możliwe, konieczne są zmiany na poziomie strukturalnym, ogólnokrajowym.

Z deglomeracją wiąże się też obawa, czy wyprowadzka części instytucji z Warszawy nie odbije się na finansach miasta.

eprasa.pl c5acb31c1f

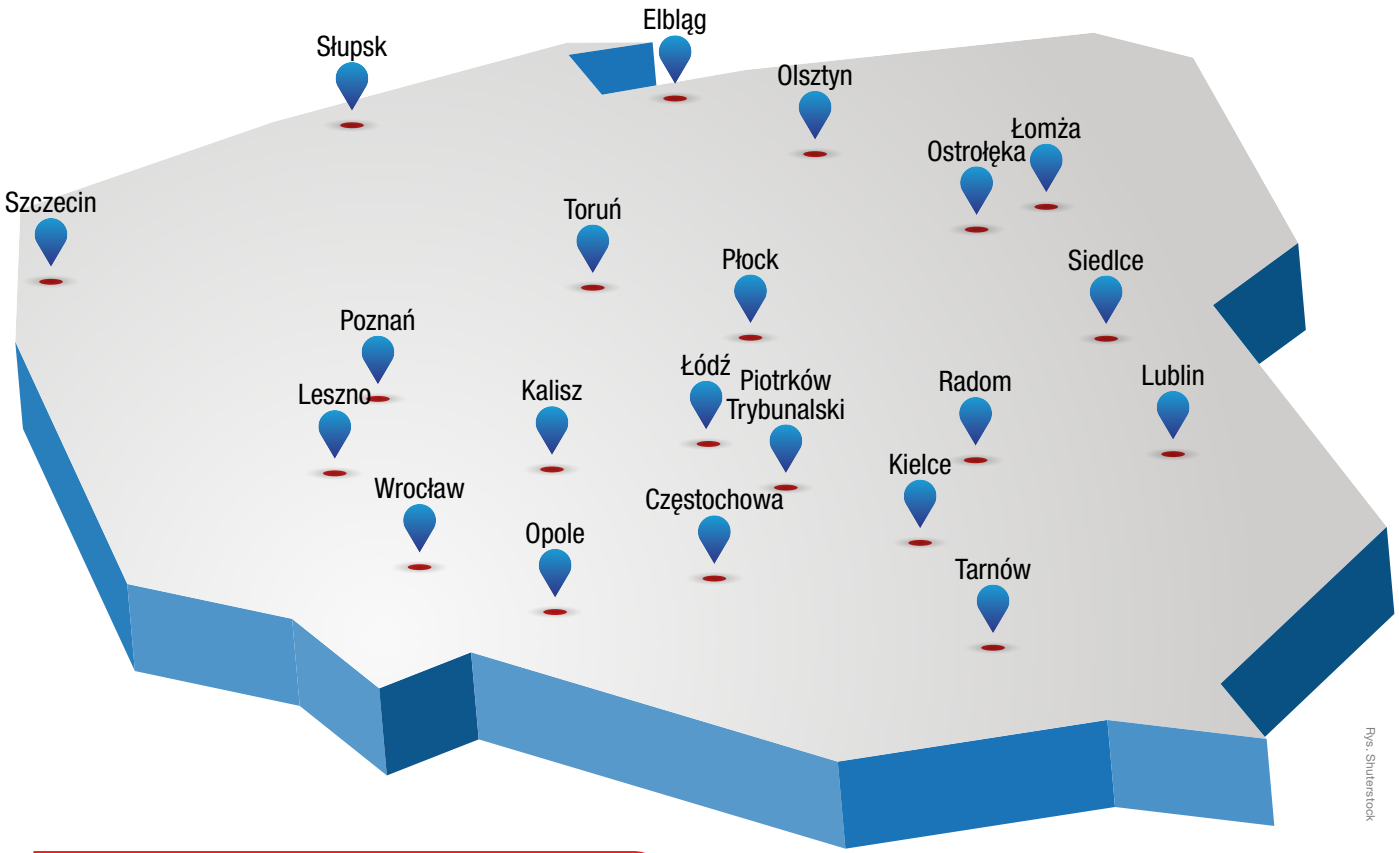

Rys. Shutterstock

Gdzie można przenieść urzędy z Warszawy?

Piotrków Trybunalski – Trybunał Konstytucyjny
Płock – Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej
Ostrołęka – Główny Inspektorat Ochrony Roślin i Nasiennictwa
Łomża – Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych
Słupsk – Instytut Sportu
Toruń – Państwowa Agencja Atomistyki
Olsztyn – Główny Inspektorat Ochrony Środowiska
Elbląg – Krajowy Zasób Gospodarki Wodnej
Łódź – Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad
Radom – Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa
Częstochowa – Polska Organizacja Turystyczna
Lublin – Główny Inspektorat Farmaceutyczny
Kielce – Urząd Dozoru Technicznego
Kalisz – Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa
Poznań – Urząd Transportu Kolejowego
Tarnów – Główny Urząd Miar
Siedlce – Główny Inspektorat Weterynarii
Wrocław – Urząd Regulacji Telekomunikacji i Poczty
Opole – Polskie Centrum Akredytacji
Leszno – Transportowy Dozór Techniczny
Szczecin – Polski Komitet Normalizacyjny

Mniej urzędów to mniej interesantów przybywających codziennie do stolicy i zostawiających tu pieniądze. To obawa zdecydowanie na wyrost. Przeniesienie kilkunastu, a nawet więcej urzędów czy spółek z Warszawy nie będzie miało wielkiego wpływu na budżet miasta. Nie odbierze to przecież Warszawie stołecznego statusu. Pozostanie ona centrum administracyjnym oraz kulturalnym państwa. Za to z punktu widzenia miasta wielkości Ostrołęki przeniesienie tam jednego, niespecjalnie znaczącego dla Warszawy urzędu może się okazać nieproporcjonalnie dużym profitem.

Inni z kolei zwracają uwagę na wysokie koszta deglomeracji. Mówi się, że samo przeniesienie urzędu nic nie da, jeśli w nowej siedzibie nie uda się znaleźć kadr. Jest też pytanie, co zrobić z tymi, a pewnie będzie ich większość, którzy nie będą chcieli wyprowadzać się z Warszawy. To oczywiście problem, ale przecież nic nie dzieje się z dnia na dzień. Deglomerację należy przeprowadzać stopniowo, nie chodzi o to, aby jednego dnia wyrzucić ze stolicy kilkanaście lub więcej urzędów. Przed przenosinami konieczne jest zapewnienie nowych kadr w nowej siedzibie, a w tym czasie można znaleźć i zaoferować alternatywne miejsca pracy dla tych, którzy pozostaną w Warszawie.

Są też wątpliwości, czy da się zapewnić sprawne funkcjonowanie przeniesionych urzędów z dala od centrum decyzyjnego w stolicy. Wydaje się jednak, że obecne możliwości techniczne na to pozwalają. Przykładem mogą być oddziały licznych koncernów międzynarodowych, które – choć rozproszone po całym świecie – działają bez zakłóceń.

Z tego wynika, rzecz jasna, że deglomeracja jest przedsięwzięciem trudnym, kosztownym i rozłożonym w czasie, ale alternatywą jest chaotyczna transformacja Polski, charakterystyczna dla peryferii. Trudno bowiem mówić o modernizacji państwa bez zrównoważonego rozwoju regionalnego i przywrócenia miast do życia. Polska nie powinna i nie może się kończyć na Warszawie.

eprasa.pl c5acb31c1f

Niech mi dokuczają!

Nie lekceważmy służb rosyjskich i tego, co one mogą w Polsce zrobić

Z Witoldem Gadowskim, dziennikarzem, publicystą, pisarzem i poetą, rozmawia Ryszard Makowski

Fot. Andrzej Wiktor

Ogromne powodzenie „Szlag trafił!", najnowszej pana książki, wskazuje na to, że zainteresowanie tematyką smoleńską nie wygasa.

Witold Gadowski: Ono nie wygasa, tylko zostało zagadane, zamurowane milionem drobiazgów, od których wszystkim już się kręci w głowie. Ludzie chcą się dowiedzieć, co w Smoleńsku stało się naprawdę, a nie poznać trajektorię lotu czy rozważać różne naukowe teorie. To jest bardzo ważne, ale dla specjalistów. Niestety trzy lata po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość o Smoleńsku wiemy tyle, ile wcześniej, czyli prawie nic.

40-milionowemu narodowi wmawiano, że Tu-154M stracił skrzydło na brzozie i to jest obowiązująca wersja.

Tak miało być. Taka miała być dominująca teoria. Wydawało się, że kiedy ma się przewagę w mediach, uda się ludziom wbić do głowy jak gwóźdź, że tak właśnie się stało. Nieważne, jak było naprawdę, ważne, jak to zostanie przedstawione. Nie udało się, ale nasza strona, dociekająca prawdy o Smoleńsku, też popełniła wiele błędów. Zarzucano odbiorcę milionem szczegółów, w których łatwo się pogubić.

Wymowa książki jest pesymistyczna. Prawdy nigdy nie poznamy.

Książka pokazuje podszewkę działania naszego państwa. Pokazuje rolę służb specjalnych, i to wcale nie tych instytucjonalnych, w kreowaniu wydarzeń politycznych. Rzeczywiście wymowa „Szlag trafił!" nie jest optymistyczna, ale ona nie zamyka dociekania prawdy.

Czy to jest prawdziwy obraz, że Polska jest tak spenetrowana przez rosyjskie służby?

W tej książce zawarłem opis prawdziwych wydarzeń. W wielu miejscach to są fakty, które ubrałem w beletrystykę.

Czy Witold Gadowski rzeczywiście dostarczał na Nowogrodzką ważne materiały dotyczące śledztwa, jak to czyni pana alter ego Andrzej Brenner?

W tym konkretnym przypadku nie mogę zdradzać biegu zdarzeń, żeby nie spojlerować, jak to mówi młodzież, żeby każdy miał przyjemność przeczytania książki. Poza tym żyję w Polsce i nie chcę się wysadzać całkowicie w kosmos.

W książce mamy jednoznacznie pokazane, że środowisko Pięknogrodzkiej odgradza prezesa Kaczyńskiego od prawdy.

Pozostawmy tę interpretację czytelnikom.

Jako czytelnik nie mogłem odnieść innego wrażenia.

Myślę, że tam na Pięknogrodzkiej będzie zabawa. Książkę mam zamiar dostarczyć samemu prezesowi Kaczyńskiemu.

Sprawa jest poważna, bo zgodnie z fabułą prawda została przedstawiona prezesowi jako prowokacja służb rosyjskich.

Żyjemy w takich realiach, że trudno odróżnić ludzi odgrywających rolę od ludzi autentycznych. Ta książka ma konwencję szpiegowską, więc nie chcę wszystkiego zdradzać, ale dzieją się dziwne rzeczy, i to dzieją się cały czas, tylko my nie mamy o tym pojęcia.

To znaczy mamy, ale mgliste. Widzimy, że były niewyjaśnione zgony związane ze Smoleńskiem i nikt się tym nie zajmuje. To widzimy.

eprasa.pl c5acb31c1f

Te zbrodnie są niewyjaśnione i to też budzi pytanie dlaczego? Następne pytanie, dlaczego nasi śledczy, nasze władze dotąd nie skorzystały z wiedzy sojuszniczych wywiadów. Mam tu na myśli CIA, Mosad. Dlaczego nie szukają tam pomocy?

Wywiady wszystkich znaczących państw muszą wiedzieć, co się wydarzyło w Smoleńsku.
Można sięgnąć po wiedzę do bardzo wielu miejsc i nie rozumiem, dlaczego tego się nie robi.

Z książki wynika, że to był zamach. Co więcej, jest sugestia, że to mógł być spisek Warszawy i Moskwy.
Tak to się wszystko układa z mozaiki, z której możemy składać prawdziwy przebieg wydarzeń. Zastanawiam się, ile w tym postępowaniu wokół Smoleńska jest dążenia do poznania prawdy, a ile polityki i gry?

To znaczy, że PiS nie chce poznać tej prawdy?
Może się jej boi, a może nie wie, jak sobie z nią poradzić. Łatwo ogłosić przebieg zdarzeń, ale potem trzeba wyciągnąć z tego konsekwencje. Gdyby się potwierdziła wersja zamachu, to za tym muszą iść śledztwa, aresztowania, wyroki. Czy nasze państwo dziś jest w stanie to udźwignąć?

To znaczy, że żyjemy w sparaliżowanym państwie.
Ta książka właśnie to pokazuje. Odsłania kulisy działania rosyjskiej agentury w Polsce.

A jeszcze działa pewnie parę innych agentur.
Oczywiście. Można by napisać kolejne odsłony tej samej historii w odniesieniu do służb kilku krajów, które u nas dosyć swobodnie działają.

> Nie ma III RP, ona nigdy nie istniała. Istnieje republika „okrągłego stołu", ukonstytuowana umową pomiędzy gen. Kiszczakiem a jego agentami. Ta umowa obowiązuje do dziś. Pewnych ludzi się po prostu nie dotyka

To prowadzi do smutnej konstatacji, że nie jesteśmy krajem w pełni niepodległym.
Nie jesteśmy, bo nie mamy służb, które by nas zabezpieczyły. Niepodległy kraj ma kontrwywiad, który impregnuje, i wywiad, który przewiduje. My tego nie mamy.

Czy scena spaceru Andrzeja Brennera z Lechem Kaczyńskim po Plantach też jest oparta na faktach?
Brenner jest Brennerem, a Gadowski jest Gadowskim. Powieść musi mieć swoją kreację beletrystyczną. Znałem Lecha Kaczyńskiego. Spotkałem się z nim na gruncie prywatnym co najmniej dwa razy. Natomiast spacer Plantami to taka malownicza okoliczność.

Czy miał pan rzeczywiście propozycję lotu do Smoleńska?
Dla Witolda Gadowskiego takiej propozycji nie było. Na lotnisku Smoleńsk-Siewiernyj był Andrzej Brenner.

To dobrze, że tylko on, bo mocno dostał w głowę.
Ten bohater żyje własnym życiem.

Czyli Witold Gadowski nie ma takich osiągnięć w spożyciu grantsa i wypalaniu papierosów caro?
Szczęśliwie moje osiągnięcia są dużo mniejsze niż mojego książkowego wcielenia. Andrzej Brenner jest bohaterem niedydaktycznym. Pomimo tego że się nad nim użala, ma żelazne zdrowie.

Może dlatego, że jest góralem. Ale najważniejsze. Czy my mamy szansę na poprawienie tego naszego państwa?
Z tą intencją pisałem tę powieść. Chciałem w niej sportretować współczesność bez złudzeń, ale też nie odebrać wiary w sens dociekań i działań na rzecz Polski. Postępujemy na drodze do niepodległości. Jest lepiej, niż było w 2015 r. Dużo rzeczy się udaje, dużo oczywiście jest błędów i złej woli. Czy można postępować lepiej? Widać ci, którzy rządzą, potrafią zrobić akurat tyle.

Ta wyśmiewana religia smoleńska, te miesięcznice pozwoliły PiS przetrwać okres traumy i powrócić do władzy.
To było potrzebne i cementowało niektóre środowiska. Dodawało otuchy, zwłaszcza w małych miasteczkach. Pokazywało ludziom, że nie są sami, że jest dużo więcej rodaków myślących tak jak oni. Tylko że skończyła się 96. miesięcznica i coś wyjaśniono? Mijają miesiące i nic więcej nie wiemy. Rozmawiałem z panem prof. Biniendą, bardzo poważnym człowiekiem. Też jest rozczarowany.

Postać uczonego Anzelma Kota-Lazura jest chyba konglomeratem naukowców zaangażowanych w wyjaśnianie katastrofy.
Ta postać to jest tworzywo literackie. Mam słabość do naukowców o takiej aparycji i takim sposobie bycia. Chciałem, żeby taki bohater trochę zmiękczył fabułę. Ta kreacja zwiera w sobie cechy autentycznych postaci.

Książka ma wymiar filozoficzny. Czy dobrze odczytałem, że scena przyjęcia na wiślanej barce nawiązuje do klimatu z Wyspiańskiego.
To był krakowski geniusz i chciałem go uhonorować.

Czy Andrzej Brenner poznał prawdę o Smoleńsku? Miał autentyczne dokumenty czy fałszywkę?
Tu wkraczamy w nową powieść albo książkę reporterską, której nigdy pewnie nie napiszę. Tak jak nie napisałem

eprasa.pl c5acb31c1f

o FOZZ, tak i o Smoleńsku nie napiszę. Jest ścieżka, którą można podążać, żeby szybko znaleźć prawdę.

Spiski robi się z ust do ust. Nikt nie zostawia śladów na piśmie.

Żyjemy w epoce elektronicznych gadżetów, a nie wszyscy są ostrożni. Przestrzeń jest wypełniona podsłuchami i sprzętem wywiadowczym.

Kiedyś powiedział pan, że zna rosyjskiego agenta, który spokojnie chodzi po ulicach.

Niejeden agent rosyjski chodzi spokojnie po ulicach i po studiach telewizyjnych.

Jak to jest, że wie o tym dziennikarz, a nie wiedzą o tym nasze służby.

Odpowiedzi należy szukać w kondycji naszych służb specjalnych. Więcej tam pieczeniarzy i ludzi dbających o własne interesy niż patriotów, którzy chcą działać dla Polski.

W pana książce odruchy patriotyczne ma generał Ogorzelski, związany z WSI.

Jest to postać diaboliczna. Trudno powiedzieć, czy on jest dobry, czy zły. Mieszka w nim tyle samo złego, ile dobrego. Ogorzelski jest bardzo negatywnym bohaterem „Wieży komunistów", a tu chciałem mu nadać pewien rys ludzki. Życie płata figle i bywa ironiczne. Nie zawsze jest tak, jak nam się wydaje. Lustra czasami nas łudzą. W książce poruszamy się po tej nieoficjalnej stronie życia.

Z tego wynika, że łatwiej znaleźć patriotę w WSI niż po tej tzw. naszej stronie?

To zbyt śmiała teza i z nią się trudno zgodzić. Na pewno nie. Patrząc jednak na tych peerelowskich oficerów, nie można ich wszystkich oskarżać o zdradę ojczyzny. Tam są różni ludzie, różne motywacje, różne interesy, różne konflikty. Często ktoś wypada z tej wirówki, wyrzucony przez splot zdarzeń. Poza tym w ich przypadku też mamy do czynienia ze zjawiskiem psychologicznym określanym jako redukcja dysonansu poznawczego. Łajdak nigdy nie powie o sobie, że jest łajdakiem. On sobie to racjonalizuje. Dorabia do tego ideologię. Nawet będzie uważał, że działa w imię wyższych racji. To jest takie ukąszenie heglowskie, o którym pisał Miłosz. Każdy ma poczucie spełniania wielkiej roli. Zdrajców, tchórzy, donosicieli we własnej głowie nie znajdziemy. Nawet robiąc podłe rzeczy, dorabiamy do tego ideologię, a po pewnym czasie w nią wierzymy.

Kiedyś żyliśmy w kłamstwie PRL, a teraz żyjemy w kłamstwie III RP.

Nie ma III RP, ona nigdy nie istniała. Istnieje republika „okrągłego stołu", ukonstytuowana umową pomiędzy gen. Kiszczakiem a jego agentami. Ta umowa obowiązuje do dziś. Pewnych ludzi się po prostu nie dotyka. Nawet jeśli się mówi, że są złodziejami, to się ich nie zamyka do więzień. Sprawcy stanu wojennego nigdy nie byli za swoje czyny tak naprawdę niepokojeni.

Procesy były farsą?

Gdyby istniała III RP, mielibyśmy inną konstytucję. My się opieramy na jakiejś kulawej konstytucji ustalonej za czasów Aleksandra Kwaśniewskiego, która ma wpisany spór kompetencyjny pomiędzy prezydentem a premierem. To jest dokument kaleki, a mimo to o niego toczy się dzisiaj wojna. Jest całe stronnictwo, które wypisuje sobie na koszulkach „Konstytucja", bo to jest konstytucja republiki „okrągłego stołu". Każdy, kto chce naruszyć fundamenty tej republiki, jest natychmiast zwalczany, i to z różnych stron.

„Szlag trafił!" to z jednej strony political-fiction, a z drugiej strony bije z tej książki mocne oskarżenie.

Staram się powiedzieć, że interesy agentury mają się bardzo dobrze. Agentura gra na wielu fortepianach i nie jest to spiskowa teoria dziejów, tylko niestety polska rzeczywistość. Tę książkę zaczynam od swoistego klucza. Opisuję Andropowa, jednego z najbardziej inteligentnych szefów KGB. On pierwszy zrozumiał fiasko projektu „Związek Sowiecki" i starał się do tego przygotować służby. Te służby działają do dziś. Nie lekceważmy służb rosyjskich i tego, co one mogą w Polsce zrobić.

Dlaczego będzie w nowym nakładzie poprawiona okładka?

Będzie dołożony lakier.

Powieść kończy się cytatem z Apokalipsy św. Jana, a to nie rokuje dobrze.

Daje dużo nadziei. Tam jest postać bezbronnej kobiety i smoka, i to ona zwycięża. Literatura jest po to, żeby przygotowywała do życia, pokazywała jego różne odcienie i nie spłaszczała rzeczywistości. Staram się tak pisać, żeby to była opowieść, żeby była w tym anegdota i jakaś fabuła, ale też żeby wokół tego powstawała jakaś refleksja.

Czy „Szlag trafił!" zamyka cykl z Andrzejem Brennerem?

Pojawił się nacisk ze strony czytelników, że powinienem napisać książkę, co się stanie dalej. Chodzi o bliską futurystykę. Zacząłem nad tą nową powieścią myśleć. Jeżeli ją napiszę, będzie pokazywała, jak Polska ominęła pułapki, które, wydawałoby się, są nie do ominięcia. Będę też chciał pokazać, co należy zrobić, żeby te pułapki ominąć. Jak należy zmienić nasze życie publiczne, żebyśmy byli krajem skutecznym. Zdradzę tylko, że znaczącą rolę w tej nowej powieści odegra wielka pielgrzymka rycerska idąca z Częstochowy przez Europę. Pewnie za tę książkę też mi będą dokuczać. Ale już się do tego przyzwyczaiłem. Proszę bardzo, niech mi dokuczają.

eprasa.pl c5acb31c1f

Faworyta do Oscara

Jako policjantka, agentka wywiadu i specjalistka PR podbijała serca telewidzów. Za kinową współpracę dziękowała jej Meryl Streep. Czy teraz królewska rola w „Faworycie" poprowadzi Olivię Colman wprost do Oscara?

Fot. Xxx

eprasa.pl c5acb31c1f

SIECI K

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W drodze po statuetkę złotego rycerza dla najlepszej aktorki Olivia Colman ma właściwie tylko jedną konkurentkę: Lady Gagę. Trudno o bardziej skrajne kandydatury, ale jedno je łączy. Obie nominowane doceniono za postaci diametralnie różne od ich medialnego wizerunku.

W DUECIE

Olivię Colman trudno nazwać ładną, ale jej uśmiechowi (mimo że szeroko odsłaniającemu dziąsła) nie sposób się oprzeć. Podobnie jak aktorstwu, w którym nie gasi ról. Musi je wypełnić do końca. I wypełnia. Z równym powodzeniem komediowo i dramatycznie. W fabule rozpisanej na odcinki i w tej skondensowanej w kinowym metrażu.

Gdy Meryl Streep, odbierając nagrodę BAFTA (Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych) za tytułową postać w kinowym dramacie „Żelazna Dama" Phyllidy Lloyd (2011), dziękowała Colman za rolę córki ekranowej Margaret Thatcher, brytyjska aktorka (w czasie tej samej ceremonii) czekała na werdykt w skrajnie odmiennej konkurencji. Dostała nominację za rolę komediową. W serialu „Jak się robi olimpiadę?". Z Hugh Bonneville'em stworzyła tam rozbrajający angielskim humorem duet specjalistów od PR.

Również w duecie (tym razem z Peterem Mullanem) Colman odbierała Specjalną Nagrodę Jury na festiwalu Sundance 2012 za „przełomowy aktorski występ" w filmie „Tyranozaur" Paddy'ego Considine'a. Nagrodzonym zresztą BAFTA za najlepszy reżyserski debiut. Olivia poruszająco pokazała tu ofiarę domowej przemocy, która nieoczekiwanie znajduje uczucie, niosąc pomoc poranionemu przez życie mężczyźnie.

Fot. orgos Lanthimos. © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation x2

NOWE ROZDANIE

Rok 2011 rzeczywiście był dla niej przełomowy. Wzmocniona różnorodnością zadań (w tym zawodowym spotkaniem z Meryl Streep, u której boku stała się filmową Carol Thatcher w bardzo ważnym dla Brytyjczyków projekcie) oraz wielością nagród mogła przyjąć kolejne wyzwanie. Tym razem pierwszej monarszej roli.

Zagrała królową Elżbietę w kinowym „Weekendzie z królem" Rogera Michella (2012) i wypadła tak dobrze, że po pięciu latach znów została ukoronowana. Tym razem w serialu „The Crown" („Korona"). Po drugim sezonie przejęła od Claire Foy rolę Elżbiety II. Jak zapowiada Netflix, serial (którego akcja rozpoczęła się od śmierci ojca bohaterki) doprowadzi widzów do czasów współczesnych. Powstanie w sumie sześć sezonów. Trzeci, w którym do obsady dołączyła Olivia Colman, zobaczymy w tym roku.

W ten sposób Colman stała się pierwszą aktorką, która wcieliła się na ekranie zarówno w obecnie panującą władczynię, jak i jej matkę Elżbietę Bowes-Lyon, żonę króla Jerzego VI. Czy po takim doświadczeniu dziwi, że w filmie „Faworyta" (pokazującym dwór królowej Anny, pierwszej monarchini Wielkiej Brytanii zmarłej w 1714 r.) reżyser Yorgos Lanthimos postawił właśnie na nią?

MARZENIE AKTORA

Zasiadła na tronie (i zaległa, jak jej zniedołężniała fizycznie bohaterka, na królewskim łożu), po mistrzowsku budując rozedrganą, skrajną w emocjach bohaterkę. Na przemian władczą i podporządkowaną, kruchą i wyrachowaną, doświadczaną przez los i rozdającą cięgi, budzącą na przemian rozbawienie, współczucie i postrach.

W tej jednej postaci mogła zawrzeć pełną gamę namiętności, rozegrać ją warsztatowo na wiele sposobów. W pojedynkę i w relacji z równie jak ona znakomitymi aktorkami: Rachel Weisz i Emmą Stone, wcielającymi się w gotowe na wszystko, walczące o pozycję królewskiej faworyty rywalki: księżnę Marlborough oraz zubożałą arystokratkę Abigail Masham.

O tym, co przyciągnęło ją do roli królowej Anny, Colman mówi: „Uwiel-

eprasa.pl c5acb31c1f

białam, że w odstępie pięciu minut potrafi przeżyć wszelkie możliwe emocje pod słońcem. W jednej sekundzie jest rozpieszczona i pewna siebie, by za chwilę pogrążyć się w rozpaczy, dać się zdominować. Zarazem wrażliwa, jest też nieprzewidywalna i okrutna. Taka postać to marzenie każdego aktora".

ZBRODNIA I ŻYCIE

Nim jednak Olivia Colman przyjęła królewską koronę po raz drugi – i wraz z nią rozpoczęła czas przyjmowania splendorów oraz coraz bardziej prestiżowych nagród – uznanie widzów (i nominację do nagrody Emmy) przyniosła jej skromna policjantka Ellie Miller z kolejnych sezonów serialu „Broadchurch" (2013–2017), którego akcja rozgrywa się w małym, wstrząsanym zbrodnią nadmorskim miasteczku.

Autor scenariusza Chris Chibnall w okresie realizowania zdjęć tak charakteryzował aktorkę: „Ona nie boi się płakać, ale jest też niesamowicie mocna [...]. Potrafi być zabawna, ale umie również wejść w najgłębszy, najciemniejszy obszar emocjonalny. Zamieszkuje postać od środka, a przede wszystkim rozumie, jak to jest żyć – jakie to bywa zabawne, jakie bolesne i jakie cudowne".

Colman weszła na plan „Broadchurch", mając lat 39, jako żona z 12-letnim stażem (jej mężem jest poznany jeszcze w czasie studiów w Cambridge pisarz i reżyser filmowy Ed Sinclair) oraz mama dwóch synów: Finna (ur. 2005) i Hala (ur. 2007). W czasie trwania produkcji na świat przyszła córka (2015).

WZÓR Z „FARGO"

Będąc w zaawansowanej ciąży, aktorka zawalczyła o udział w miniserialu „Nocny recepcjonista", współczesnej adaptacji bestsellerowej powieści szpiegowskiej Johna le Carré. Przekonała reżyserkę Susanne Bier, żeby zatrudniła ją do roli agentki wywiadu Angeli Burr, odwołując się do tego, jak dobrze 20 lat wcześniej na planie filmu „Fargo" braci Coenów radziła sobie Frances McDormand, grająca ciężarną policjantkę Marge Gunderson.

Colman przekonała do swojej kandydatury nie tylko twórców serialu. Także widzów i krytyków. W 2017 r. odebrała swój pierwszy w karierze Złoty Glob (za rolę drugoplanową). Kolejnego (już za główną postać) za rolę w „Faworycie", filmie, który do tej pory zgarnął imponującą liczbę ponad 60 nominacji do różnych nagród (w tym dziesięć do Oscara). Na najważniejszą statuetkę dla pierwszoplanowej aktorki ma też szansę Olivia Colman. Zdaniem bukmacherów jej szanse są największe. W tej samej konkurencji znalazły się jeszcze: Lady Gaga („Narodziny gwiazdy"), Melissa McCarthy („Can You Ever Forgive Me"), Yalitza Aparicio („Roma") i Glenn Close („Żona").

W MIARĘ NORMALNA

Nieustannie pytana o to, czy chciałaby dostać statuetkę złotego rycerza, Colman odpowiada: „Oczywiście, że chciałabym trzymać Oscara w ręce, ale nie jest to w życiu najważniejsze. Żądza nagród sprawia, że ludzie tracą zmysły, a ja jestem mamą, żoną... więc chcę pozostać w miarę normalna".

„W miarę" – to istotne dookreślenie. Dające szansę na zdrowy dystans, na poczucie humoru, które pozwala funkcjonować w czasie zwariowanym nie tylko z powodu przedoscarowej gorączki. A życie potrafi zaskakiwać. Colman przywołuje, niczym anegdotę, swoje zmagania z Wikipedią.

Krótko przed tym, jak zaczęło się szaleństwo wokół „Faworyty", odkryła, że internetowa encyklopedia dodała jej osiem lat. Wysłała więc prośbę o sprostowanie, ale bez nazwiska. „Nie otrzymałam odpowiedzi, więc napisałam ponownie, zapewniając, że mam sto procent pewności, iż podany wiek jest niepoprawny. Przyznałam, że ja to ja i że nie chcę być wszędzie starsza o osiem lat, bo przecież z Wikipedii korzysta każdy" – wspomina.

Ktoś z obsługi klienta odpowiedział, że musiałby zobaczyć akt urodzenia, żeby nanieść poprawkę. Więc go zeskanowała i skomentowała uszczypliwie, że bardzo ciekawe, z czyjego dokumentu korzystano, podając inną datę. Bo przecież nie królowej Anny.

eprasa.pl c5acb31c1f

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Niewygodna wizja

To jest wydarzenie już choćby dlatego, że „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego nie było wystawiane w Teatrze Telewizji od 1981 r. Teraz upamiętnia 150-lecie urodzin autora. Ale także dlatego, że ciekawe inscenizacje polskiej klasyki są coraz rzadsze. Wawrzyniec Kostrzewski się odważył.

Naturalnym odruchem jest obawa przed konfrontacją z legendą dzieła Wajdy z 1973 r. Ale Wajda szedł logiką filmu. U niego jest weselny zgiełk, atmosfera realistycznie oddanej pijatyki, pośród której fruwają poetyckie słowa Wyspiańskiego. Kostrzewski robi teatr, z całą jego umownością, ze statycznymi, malowniczo upozowanymi grupami. U Wajdy wszystko kipi. Tu chwilami zamiera w narodowym smętku.

Joanna Szczepkowska powiedziała, że każde pokolenie ma swojego Szekspira. Czy każde pokolenie Polaków ma swojego Wyspiańskiego? Tekst jest w wielu miejscach niejasny, operujący aluzjami, może czytelnymi dla współczesnych, ale też nie do końca, o czym świadczyły ich pełne konsternacji reakcje.

Dzięki temu to swoiste puzzle, z których można budować różne układanki, posiłkując się rozlicznymi symbolami i sugestywnym nastrojem. Wajda kręcił „Wesele" czasów niewoli, choć był to tylko miękki PRL czasów Gierka. Widzimy białego konia pokazującego się Panu Młodemu i rosyjskie patrole. Kostrzewski próbuje uchwycić to, co pozostaje ważne dla nas Anno Domini 2019. Sygnalizuje to nawet kostiumami, po części z tamtej epoki, po części współczesnymi – co w teatrze absolutnie się broni.

Podział na panów i chłopów staje się podziałem współczesnej Polski – ten temat wyraźnie inspiruje Kostrzewskiego w wielu jego produkcjach. Pojawia się pytanie o sens polskich mitów i ich wpływ na nasze życie – uosabiają je ważniejsze niż zazwyczaj widma, symbole naszych obsesji i wyzwań. Czy panowie to odpowiednik inteligencji (nie tylko kodowskiej), a chłopi to dzisiejszy (prawicowy?) lud? Gdyby przyjąć tak prostą wykładnię, nie wszystko by się zgadzało.

Na szczęście nie mamy tu takiej łopatologii, jaką zastosował w swoim „Weselu" Jan Klata szukający analogii najprostszych, publicystycznych. U Kostrzewskiego można szukać współczesnych znaczeń, ale można też udać, że to opowieść z 1900 r. To sztuka, nie publicystyka, więc w wielu miejscach jesteśmy skazani na domysły i wrażenia. Co wynika ze sceny, w której Stańczyk (Mariusz Bonaszewski) zaleca Dziennikarzowi (Tomasz Schuchardt) słowami poety, aby „świętości nie szargał", i robi to na smoleńskich schodach? Będziemy się nad tym zastanawiać, a może śnić o tym po nocach.

Powstało wielkie widowisko, dzieło wspaniałej wyobraźni, niepokojące, właśnie mogące się przyśnić. Rewizjonistyczne wobec tradycyjnej polskości i równocześnie arcypolskie. Korygujące też różne rozwiązania tekstu, ale zachowujące jego ducha – końcowy chocholi taniec odbywa się tu przez cały spektakl.

Mamy tu świetne role: poza już wymienionymi m.in. Grzegorza Małeckiego (Gospodarz), Olgi Sarzyńskiej (Rachela), Adama Ferencego (Dziad i Upiór), Haliny Łabonarskiej (przedziwny, upiorny Chochoł), Michała Czerneckiego (Czepiec), Dominiki Kluźniak (Gospodyni), Piotra Adamczyka (Poeta) – należałoby wymienić wszystkich. W roli Wernyhory pojawił się Daniel Olbrychski, spinając dwa „Wesela" swoistą klamrą.

Na temat tej artystycznej i intelektualnej oferty powinny się toczyć debaty, spory. W Polsce 2019 r. będzie raczej cisza, bo to wizja niewygodna dla nikogo.

Piotr Zaremba

Oklaskiwana i wyczekiwana

Dzięki transmisji z Metropolitan Opera melomani w Polsce i 70 innych krajach mogli w kinach śledzić najświeższe nowojorskie sukcesy naszej znakomitej sopranistki Aleksandry Kurzak w roli Micaëli w „Carmen" Bizeta

Fot. Shutterstock

ADAM CIESIELSKI

W tej samej inscenizacji śpiewał jej mąż, francuski tenor Roberto Alagna. Słynna para, której album „Puccini in Love" jest bestsellerem, 15 czerwca wystąpi na warszawskim placu Defilad w plenerowym spektaklu „Madame Butterfly".

Nazwiska polskich śpiewaków pojawiają się w MET od początku istnienia tej legendarnej sceny. Oklaskiwano tu uwielbianą przez Amerykanów Marcelinę Sembrich-Kochańską, Adama Didura, braci Reszków, Jana Kiepurę, a po II wojnie m.in. Teresę Żylis-Garę, Małgorzatę Walewską, Wiesława Ochmana. W ostatnich kilkunastu latach gwiazdami nowojorskiej opery są Mariusz Kwiecień, Piotr Beczała (przed miesiącem dzięki cyklowi transmisji z MET cały świat obserwował jego popis w operze „Adriana Lecouvreur" Cilei) i właśnie Aleksandra Kurzak.

Od dzieciństwa zdradzała nieprzeciętne uzdolnienia muzyczne. Nic dziwnego, jej matka Jolanta Żmurko była solistką Opery Wrocławskiej, ojciec zaś Ryszard Kurzak – waltornistą. W 1998 r. Aleksandra wygrała Międzynarodowy Konkurs Moniuszkowski w Warszawie. Dzięki stypendium pojechała na studia do Hamburga, gdzie też występowała przez kilka sezonów. W 2004 r. za rewelacyjny uznano jej debiut w Metropolitan Opera jako Olimpii w „Opowieściach Hoffmanna" Offenbacha. Miała wtedy 27 lat. Po sukcesie w londyńskim Covent Garden zaczęła błyszczeć także w Wiedniu, Monachium, Salzburgu, ostatnio szczególnie często śpiewa w Paryżu.

Stale upomina się o nią Metropolitan Opera. Kreowała tam m.in. Blondę w „Uprowadzeniu z seraju" Mozarta, Gildę w „Rigoletcie" Verdiego, Gretel w „Jasiu i Małgosi" Humperdincka, Adinę w „Napoju miłosnym" Donizettiego. Kilku propozycjom z Nowego Jorku odmówiła w okresie ciąży i po urodzeniu córeczki Maleny, ale wróciła wysoko ocenioną przez krytykę rolą Neddy w „Pajacach" Leoncavalla. Partnerował jej na scenie mąż, ceniony francuski tenor o włoskich korzeniach – Roberto Alagna. Teraz, w „Carmen", znów on właśnie jest jej scenicznym narzeczonym Don José, wiarołomnym, bo trawionym zgubną namiętnością do tytułowej Cyganki (w tej roli Francuzka Clémentine Margaine).

Aleksandra Kurzak daje co roku kilka koncertów w Polsce. W listopadzie 2018 r. w Filharmonii Narodowej podczas I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej „Eufonie" wykonywała partię sopranową w III Symfonii, „Symfonii pieśni żałosnych", Henryka Mikołaja Góreckiego. Wcześniej występowała m.in. na Wawelu, w Filharmonii Podkarpackiej, również podczas gali 100-lecia odzyskania niepodległości na Stadionie Narodowym.

Aleksandra i Roberto chętnie występują razem. Wspólne kontrakty pozwalają im zabierać z sobą pięcioletnią Malenę. A publiczność nie od dziś kocha śpiewające duety. Cieszy się nimi na scenach, chętnie słucha na płytach. Od jesieni w sklepach muzycznych rozchwytywany jest wydany przez Sony album „Puccini in Love", na którym słynna para z towarzyszeniem Sinfonii Varsovii pod batutą Riccarda Frizzy śpiewa miłosne duety z takich m.in. dzieł włoskiego kompozytora jak „Tosca", „Cyganeria", „Jaskółka", „Dziewczyna z Zachodu" czy „Madame Butterfly". Ostatni z nich jest niejako zapowiedzią koncertowego wykonania opery „Madame Butterfly": 15 czerwca tego roku na warszawskim placu Defilad. Inscenizacji w tym nietypowym miejscu podjęła się Natalia Korczakowska. Obok kreującej tytułową partię Aleksandry Kurzak i Roberta jako Pinkertona zaśpiewa m.in. baryton Andrzej Dobber, kolejny polski bywalec MET, a Sinfonię Varsovię i chór Filharmonii Narodowej poprowadzi włoski maestro Marcello Mottadelli.

Roberto Alagna, Aleksandra Kurzak „Puccini in Love" wyd. Sony Classical

eprasa.pl c5acb31c1f

Wojciech Stanisławski

Biedny szlachcic patrzy na Kongo

Amerykańskiej historyczce udało się obsadzić Josepha Conrada w roli świadka krwawych narodzin nowoczesności

Spośród niemałej liczby zarzutów, jakie padają przy różnych okazjach pod adresem Polski i Polaków, jedno szczęśliwie nas omija: grzech kolonializmu. Niekoniecznie jest to zasługa naszych szlacheckich przodków: różny bywał ich stosunek do poddanych własnego i cudzego języka i gdyby los Rzeczypospolitej inaczej się potoczył, z różnymi intencjami ruszaliby w świat na pokładach szkunerów i parowców. Polskie kolonie, gdyby powstały, nie byłyby zarządzane wyłącznie przez Stasiów Tarkowskich.

Nie powstały jednak i jeśli polskim odkrywcom zdarzało się wędrowanie po pustyniach i puszczach w korkowych hełmach, to podejmowali ten trud raczej z pamięcią zawołania „Za wolność naszą i waszą", a zwykle też w następstwie własnych inicjatyw podejmowanych w tej dziedzinie. Nie mieli zbyt wielu okazji do marzeń o zyskownym handlu kauczukiem, a już na pewno do wcielania ich w życie. Upiekło nam się, wraz z pokaźną częścią „gorszej Europy" nie wzięliśmy udziału w wielkim XIX-wiecznym wyścigu po skarby świata całego. Nasze muzea świecą nieraz pustkami, ale nie musimy się obawiać, że przyjdzie nam wydawać rozgoryczonym spadkobiercom zza mórz cenne eksponaty: maski, rzeźby, włócznie, albo i te najbardziej kłopotliwe – pożółkłe czaszki przodków.

Ceną jednak, jaką płacimy za tę nieoczekiwaną niewinność, jest to, że nie bardzo rozumiemy wagi, jaką Zachód przywiązuje do „rozliczenia z kolonializmem" (nieraz naszym zdaniem przekraczając w nim miarę), jak z pasją wywraca na nice oleodrukowe widoczki z babcinych puszek kakao, widząc w epoce wielkich podbojów źródło, a przynajmniej zapowiedź największych win XX w.: wielkiej chciwości prowadzącej na próg ludobójstwa. Nie dorobiliśmy się jak dotąd wybitnych polskich specjalistów od „postcolonial studies". Jak się jednak okazuje, mamy przynajmniej wśród sławnych współrodaków wybitnego, pierwszoplanowego świadka oskarżenia.

Tak przynajmniej chce widzieć Konrada Korzeniowskiego (alias Josepha Conrada) biografistka i historyczka, która podjęła podwójny wysiłek: po pierwsze, odczytania na nowo twórczości Conrada przez pryzmat jego doświadczeń dzieciństwa i młodości w zaborach rosyjskim i austriackim; po wtóre, obsadzenia go w roli świadka (czasem nie do końca świadomego, co widzi; ale taka nieświadomość podnosi tylko wartość świadectwa) krwawych narodzin nowoczesności. Obie strategie Mai Jasanoff, nawet jeśli nie zgodzimy się z nimi do końca, cudownie odmładzają pisarza.

Do wczoraj jego portrecik stał na gzymsie obok złożonego w butelce żaglowca, czasem (z rzadka) omiatany z kurzu przez poszukiwaczy polskiej chwały, pracowicie i mechanicznie mnożących nazwiska sławnych rodaków na obczyźnie („Skłodowska, Paderewski, Domeyko, a! – jeszcze Conrad"), czasem przez prostodusznych wielbicieli szant i żaglówek, którym zamarzyła się lektura inna niż „Znaczy kapitan". Teraz – przynajmniej przez kilka godzin, dopóki nie skończymy lektury tej biografii – dostrzeżemy w Korzeniowskim twórcę prawdziwie współczesnego w obu przystających dziś najlepiej pisarzom wcieleniach: leczącej się ze swoich traum ofiary i wściekłego oskarżyciela.

Amerykanka, już we wstępie do książki przyznająca się z wyzwaniem i przekorą do azjatyckich i żydowskich przodków oraz feministycznej wrażliwości, musiała przebyć długą drogę, by zrozumieć chmurnego i dumnego szlachcica rodem z podolskich Kresów. Przeszła ją, co wymagało od niej chyba większego wysiłku niż niefrasobliwa, reporterska próba pożeglowania śladami Conrada w poprzek Atlantyku i w górę rzeki Kongo. Rozmaity można mieć stosunek do prób objaśniania złożoności polskich losów przez cudzoziemców: ja uwielbiam je, pod warunkiem że są udane, bo powodzenia w tej dziedzinie dowodzą, że polska przeszłość może być opowiedziana światu, że można się nią podzielić, a nie tylko w niej zamykać.

eprasa.pl c5acb31c1f

Oczywiście, bywa z tym różnie, czego pociesznym dowodem choćby blurb okładkowy pióra wziętej pisarki Annie Proulx. Jasanoff jednak nie zadowala się kalkami: owszem, potrafi objaśnić czytelnikowi z amerykańskiej uczelni, czym była „rewolucja moralna" w przededniu powstania styczniowego, jak konało się na gruźlicę na zesłaniu, a nawet (co szczególnie mnie wzrusza), jak należy rozumieć powiedzenie „pisz na Berdyczów".

Zbrojna w tę wiedzę potrafi w „Tajnym agencie", psychologiczno-sensacyjnej powieści o grupie groteskowych i cynicznych anarchistów, czynnych w sercu Londynu z moskiewskiej inspiracji, dostrzec dramatyczną próbę rozliczenia się Korzeniowskiego z dramatem i zagładą jego rodziny, rozdartej między „realizmem" a spiskowaniem, zniszczonej w następstwie śledztwa, Cytadeli i zsyłki. Powieść, przez sto lat wykorzystywana (niebezzasadnie) jako oskarżenie pod adresem rosyjskiej agentury, okazuje się czymś bliskim sesji terapeutycznej, ba, może nawet hellingerowskiemu „ustawieniu", skoro wydobyta z cienia przez Jasanoff główna bohaterka powieści, Winnie Verlock, okazuje się niemal porte parole matki Conrada. „Jądro ciemności" jest czymś nierównie więcej niż opowieścią o jednostkowym szaleństwie, jaką znamy przetworzoną w ekranowy „Czas Apokalipsy": jest zapowiedzią rozpętania tych samych sił, za których sprawą na naszych oczach upadły Detroit i Żerań, a 26 miliarderów włada połową bogactw tego świata.

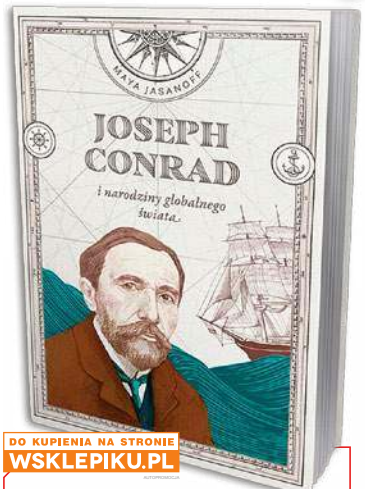

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Maya Jasanoff, „Joseph Conrad i narodziny globalnego świata", tłum. Krzysztof Cieślik, Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Poznańskie, 2018

Zapis

Na szczęście specjaliści od marketingu politycznego rzadko czytują dobrą prozę. Gdyby sięgali po nią częściej, odrywając na chwilę wzrok od Twittera, zbiór opowiadań Wojciecha Kudyby zostałby przez nich bezlitośnie zutylizowany. Tytułowa niemal, szarpiąca „Kamienica wyczyszczona na glanc" jest przecież pierwszym udanym zapisem doświadczeń ofiar wielkomiejskich „spraw reprywatyzacyjnych", literackim oskarżeniem pod adresem eksministrów z twarzami ostrymi, nieprzeniknionymi i zaciętymi jak obuch siekiery. „Wakacje życia" to z kolei sprawiedliwość oddana tym, z których do dziś nie przestają się natrząsać celebrytki: rodzinom, które dotarły wreszcie z dziećmi nad zimne lub ciepłe morze.

Tyle że autor tych opowiadań nie ma ambicji pisania agitek: jego pole uprawne to język, nie rankingi. „Kamienica..." to jakby dopełnienie jego niedawno wydanej powieści „Imigranci wracają do domu"; można by rzec, że to strużyny, jakie pozostały po ociosywaniu, redagowaniu tamtego tekstu, ale daj Boże każdemu ociosywanie, z którego rodzi się taki zbiorek. Wojciech Kudyba staje się na naszych oczach mistrzem polskiego „skazu", zapisu monologów wygłaszanych w szczególnej odmianie mowy potocznej. Ucha na język mówiony nadstawiać niby może każdy, od Białoszewskiego, przez legion raperów, po Łukasza Najdera w niekończącej się podróży tramwajem, ale to autor „Kamienicy..." pierwszy usłyszał tych, których – jeśli wierzyć demografom – będzie wśród nas za chwilę najwięcej: ludziom po sześćdziesiątce, więcej wydającym na leki niż na lans. Dotąd milczeli, turkocząc tylko wózkiem na podjeździe do Biedronki.

Na szczęście Kudyba nie pisze tych opowiadań beznamiętnie, niczym socjolog czy językoznawca, któremu udało się w przychodni lub na klatce schodowej zamaskować swój instrument i teraz cieszy się na sto godzin soczystych, zanonimizowanych nagrań. Jeśli szukałbym pokrewieństw literackich „Kamienicy...", znalazłbym je może w „Dysze z Kopernikiem" Zbigniewa Brzozowskiego, zbiorku opowiadań o wychowankach domu dziecka napisanym tak dobrze, że i po pół wieku nie przestaje boleć. Tam na stołówce i w izolatce pocieszenie nieśli Płanetnicy: tu mieszkańców kamienicy prześladują Drakul, Lichoń i Lucyperek, ktoś się nawraca, a ktoś ofiarowuje za przyjacioły swoje, najbardziej dyskretnie, jak sobie można wyobrazić. W świecie Kudyby istnieje ład, a potrzeba sprawiedliwości, nawet jeśli nie jest nasycona, nie jest wyśmiewana. Pewne Wydawnictwo zaś, po ubiegłorocznych, niezrównanych „Bałutkach" Ewy Różyckiej, po raz kolejny okazuje się wyjątkowo uważnie słuchać głosów biednych ludzi.

Wojciech Kudyba, „Kamienica", Pewne Wydawnictwo, 2018

eprasa.pl c5acb31c1f

Adamski poleca

Kawał kina

Ten film ma swoje wady, nawet sporo. Kręcony kilka lat przez 71-letniego Filipa Bajona, który wydawało się, że najlepsze lata ma już za sobą, kilka razy był na krawędzi produkcyjnej katastrofy. Ostatecznie wyszło kino na swój sposób epickie. Nie w pojęciu hollywoodzkim, ale europejskim. Gdy kilkanaście minut po zdobyciu przez Bajona za „Kamerdynera" Srebrnych Lwów zapytałem go (wywiad dla TVP Kultura) o inspiracje „Wiekiem XX" Bernarda Bertolucciego, reżyser z zadowoleniem przytaknął. Ucieszył się z tego porównania. Nie było na wyrost. Bajon rzeczywiście nakręcił kino, jakie w Polsce od lat nie powstaje. Nie jest to artystyczny poziom lewicowego arcydzieła Bertolucciego, ma jednak w sobie klasę i magię czasów, gdy Bajon kręcił takie perły jak „Magnat". Ma też ducha największych europejskich historycznych fresków filmowych.

Bajon opowiada o splatanych z sobą losach Polaków, Kaszubów i Niemców. Ciągnie akcję od 1900 r. aż do 1945. Rodzinna historia jest wpasowana w geopolityczną mapę polsko-niemieckiego pogranicza na północnych Kaszubach, którą ustalono w Wersalu. Mateusz Kroll (Sebastian Fabijański) to kaszubski chłopiec, który po śmierci matki zostaje przygarnięty przez pruska arystokratkę Gerdę von Krauss (Anna Radwan). Chłopak dorasta w pałacu razem z córką Krauss Maritą (Marianna Zydek). Jak można się domyślić, pojawia się między nimi uczucie. Na drugim biegunie oglądamy historię kaszubskiego watażki Miotke (Janusz Gajos) walczącego w Wersalu o miejsce Kaszub na mapie Polski. To właśnie traktat wersalski pozbawia Kraussów majątku i pozycji społecznej. Nietrudno w takich warunkach o narodowe napięcia i nienawiść. Szczególnie że wielkimi krokami zbliża się II wojna światowa.

Anna Radwan tworzy pełnokrwistą postać arystokratki. Buchają z niej najbardziej skrajne emocje. Podobnie jak z grającego jej męża, nagrodzonego na festiwalu w Gdyni Adama Woronowicza. To magnetyczny duet, odpychający i przyciągający jednocześnie. Fabijański odpowiednio uwypukla tożsamościowe rozdarcie swojej postaci, natomiast Gajos zachwyca jako sprytny chłop mierzący się z systemem swoim wrodzonym cwaniactwem. Obaj musieli na ekranie mówić po kaszubsku. Ciekawą postacią jest też Peter Szmidt (Łukasz Simlat), który z mało znaczącego mężczyzny staje się krwawym, nazistowskim pogromcą Polaków i Kaszubów w lasach Piaśnicy.

Bajon nie ustrzegł się błędów realizacyjnych. Dlaczego w tak rozciągniętym czasie nie dorastają dzieci? I nie trzyma równego tempa narracyjnego. Jest też momentami zbyt anachroniczny stylistycznie. Nie przeszkadza to jednak w przyjemnym odbiorze filmu opowiadającego o zapomnianym dramacie Kaszubów w czasie niemieckiej rzezi Europy. Przegapiliście w kinie? Możecie teraz nadrobić w domu.

„KAMERDYNER", REŻ. FILIP BAJON, DYSTR. NEXT FILM

VOD

100 lat polskiego sportu

W ubiegłym roku obchodziliśmy 100-lecie niepodległości Polski. „Kamerdyner" Bajona był jedynym dużym historycznym filmem fabularnym wpisującym się w obchody. Do tego powstał zjawiskowy dokument „Niepodległość", który miał jednak premierę na małym ekranie. Ja natomiast polecam ciekawy i niestety przeoczony telewizyjny dokument Zbigniewa Rytla „100 lat polskiego sportu". Autor podsumowujący 100 lat sukcesów polskich sportowców, od odzyskania przez Polskę niepodległości do czasów współczesnych. Fani sportu będą zachwyceni ilością materiałów archiwalnych, które Rytel wyciągnął z archiwum TVP. To film bardzo sentymentalny dla widza pamiętającego nasze największe sportowe osiągnięcia. Szczególnie że o sukcesach opowiadają sami sportowcy. Rytel zwraca też uwagę na komercjalizację sportu, który dziś stał się przecież jedną z gałęzi biznesu i został zaprzęgnięty do popkultury. Sportowcy coraz częściej znani są z celebrytyzmu, a nie idei przyświecających pierwszym olimpiadom.

„100 LAT POLSKIEGO SPORTU" DOSTĘPNE NA VOD TVP

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl c5acb31c1f

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Puste skandalizowanie

VOD

Po co? Po co film, który jest marną podróbką „Johna Wicka"? Po co film oparty na najbardziej wyświechtanych schematach, zatopiony w szokującej brutalności? Po co film, który jest pozbawiony błyskotliwości kultowych slasherów pozwalających usprawiedliwić wylewane na ekranie hektolitry krwi.

Takie filmy jak „Polar" robić może Rodriguez, Tarantino, McDonagh albo Besson. Takie filmy mogą robić nerdzi rozumiejący magię komiksu. Niestety Szwed Jonas Åkerlund żonglerki gatunkowej się nie nauczył. Z opartego na graficznej noweli „Polar" reżyser zrobił krwawy koszmarek zasługujący na miano jednego z gniotów roku, choć ten dopiero się zaczął.

Jak przystało na solidne kino klasy B, scenariusz jest prosty jak drut. Były morderca Duncan (Mads Mikkelsen) spędza emeryturę na odludziu. Jak uczy nas jednak kino akcji o gangsterach, nie da się z tego zawodu wyjść nigdy. Byli zleceniodawcy Duncana wysyłają więc na mroźną prowincję grupę morderców, których ten będzie po kolei eliminował. Jeżeli to nie jest kserokopia „Johna Wicka", to co nią jest? Problemu nie stanowi bezczelne bazowanie na tak wyświechtanym schemacie ani igranie z gatunkowymi kliszami kina sensacyjnego klasy B albo nawet C – cały filmowy postmodernizm ery tarantinowskiej jest zbudowany na odgrzewanych daniach z poprzednich dekad. Problem pojawia się wtedy, gdy twórca nie wie, jak tymi schematami grać, i zamiast nowej potrawy robi zakalec. Niby „Polar" ma jakiś absurdalny humor. Niby ma jakieś ironiczne mrugnięcie okiem do widza. Niby ma wkomponowaną relację między bohaterami (Mikkelsen–Vanessa Hudgens). To wszystko jest jednak takie właśnie na niby. Krew leje się strumieniami. Przemoc jest obrazowa jak w horrorach gore. Nie w dawkach cieszących koneserów krwawego kina. To są dawki dla masochistów albo sadystów. Teledyskowy montaż irytuje po 10 minutach, podobnie jak papierowość postaci. Zamiast wpisywać się w sentyment do specyfiki tego rodzaju kina z lat 80., odrzuca dosłownością kolejnych scen.

„Polar" miał być wysmakowanym stylistycznie kinem akcji z elementami kina gore. Mistrzem tego rodzaju opowieści jest w ostatnich latach S. Craig Zahler („Bone Tomahawk", „Blok 99"). Tyle że jego filmy poza szokowaniem obrazową przemocą mają drugie dno. Mają przemyślane scenariusze, do których przemoc jest tylko dodatkiem. Mają też trudne do zapomnienia postacie i ideologiczny podtekst. „Polar" to błahy teledysk, którego zadaniem jest tanie skandalizowanie. Nie warto go oglądać nawet dla tak charyzmatycznego aktora jak Mikkelsen.

„POLAR" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Szkoda czasu

DVD

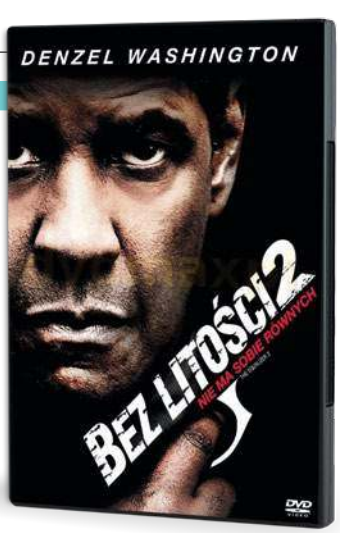

Nie byłem fanem „Bez litości" z 2014 r. Oparty na kultowym serialu telewizyjnym z lat 80. miał zadatki na znakomity film akcji. Historia byłego agenta CIA, który czyści ulice z szumowin niemal jak Charles Bronson, mimo usilnych prób nie wyszła ponad przeciętność solidnej, ale wtórnej sensacji. Plusem było to, że Denzel Washington znów zbudował wielowarstwową postać człowieka, który zatarł granicę między dobrem a złem. Druga odsłona filmu Antoine'a Fuquy jest pod każdym względem gorsza niż jedynka. Przewidywalną intrygę dopełnia zupełnie niecharyzmatyczny czarny charakter. Brutalne sceny akcji ostatecznie nużą i męczą, choć imponuje fizyczna sprawność 63-letniego Washingtona. Ten film ma podobny problem jak „Polar", choć jest od niego lepszy. „Bez litości" powinien mieć bardziej pomysłowego reżysera i bezczelnego scenarzystę, który umiałby balansować na granicy autoparodii gatunku. Niestety wyszło zbyt poważnie.

„BEZ LITOŚCI 2", REŻ. ANTOINE FUQUA, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Skala ocen: dno, koszmar, rozczarowanie, można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl c5acb31c1f

Fot. Ewa/Olow/Shutterstock.com

Ostatnie babie lato w Kazimierzu

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Od lat zadawałem sobie to samo pytanie. Dlaczego ludziom ciągle brak tego miasteczka?

Minęło babie lato. Zbliżał się kres 2018 r. Patrząc wstecz, oglądałem twarze tych, którzy odeszli, i tych, którzy czekali w kolejce. Coraz częściej łapałem się na tym, że na ulicach Warszawy nie spotykałem już moich dawnych znajomych. Zniknęły zwariowane „młode głowy", utalentowane typy, prześliczne kobiety: Hania Kriger, Monika Dzienisiewicz, Maciek Zembaty, Marek Nowakowski, Tomek Lengren, Jerzy Mierzejewski, Piotr Figiel, Andrzej Jastrzębiec Kozłowski, Marek Karewicz, Kuba Morgenstern. Nikt nie zna do końca swego przeznaczenia – myślałem po swojemu. Wychodzisz z domu, wsiadasz do auta i już nie wracasz. Idziesz z kolegami na przyjęcie, po kilku kieliszkach przewracasz się w toalecie, walisz głową o kant schodów, łamiesz czaszkę. Zdarzyło się to mojemu druhowi – wspaniałemu artyście Włodkowi Votce z Gdańska. Był w farmakologicznej śpiączce, ale wybudzili go. Modlę się za niego, by wyszedł z tego obronną ręką. Dobrzy ludzie powinni żyć wiecznie. Dlaczego tak się dzieje, że kanalie i szubrawcy żyją długo? Oto pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

Znów jechałem do Kazimierza. Jak w latach ubiegłych. Mijałem miasteczko po miasteczku: najpierw Magnuszew niedaleko Pilicy, wypielęgnowane Kozienice, Gniewoszów z największym rondem w Polsce, gdzie urodził się mój pies Solomon, zieloniutkie, modre Puławy, skąpaną w dywanie rudych liści Parchatkę, by w dwie godziny z okładem znaleźć się na parkingu w moim ulubionym miejscu. Mieliśmy fart! Nie siąpił deszcz. Solomon biegł raźno, jakby zamienił się w jednego z kilku koników, które od lat ciągną tu dorożki z turystami. Nad kamieniczkami z białego kamienia świeciło słońce. Wszystkimi odcieniami światła. Intensywną, zmieszaną z ugrem pomarańczą, z odrobiną błękitu i kobaltu, jakby dobry Pan Bóg chciał uczcić i zachować odchodzący w niepamięć szczęśliwy czas. Idąc szybkim krokiem, pomyślałem: „Znów wszystko przemija".

Pobiegliśmy z psem do herbaciarni U Dziwisza. Przed piekarnią Sarzyńskiego kłębił się dziki tłum. Ktoś niósł torbę z kogutami – tutejszym przysmakiem. Ktoś inny gasił głód świeżutkim cebularzem. Wąziutkim chodnikiem sunęły całe rodziny. Z nowo narodzonymi maluchami w wózkach, z poszczekującymi psami, wśród swarliwych teściów – jakby nie było już innej mieściny, tylko ta. Ludzie robili sobie komórkami zdjęcia, jedli gofry, lizali lody. Ktoś wcinał pizzę. Zdawać by się mogło, że nigdzie na świecie nie było tylu szczęśliwych ludzi jak tu.

Od lat zadawałem sobie to samo pytanie. Dlaczego ludziom ciągle brak tego miasteczka? Czemu ciągną do Kazimie-

eprasa.pl c5acb31c1f

rza nieprzerwanie od wczesnych lat 60.? Do miasteczka nad Wisłą pełnego nawiedzonych malarzy, utalentowanych jazzmanów, przyjezdnych z obu półkul. Czy tylko tutaj mogą zaznać paru chwil szczęścia – w przeciwieństwie do swoich miast, w których stale coś ich denerwuje i uwiera jak kamyk w bucie? Czy powoduje to koloryt tego miejsca? A może magnesem jest architektura – nadwątlone czasem chałupy, XV-wieczna fara, klasztor Franciszkanów? Urocze knajpki, kawiarenki, pensjonaty? A może bulwar nad rzeką ze specyficznymi wschodami i zachodami słońca – wyjątkowo pięknymi, mającymi coś typowo polskiego? A może tkwi w tym inna przyczyna? Atmosfera tego miejsca? Z jego postaciami, z których niejedna przeniosła się już za horyzont chmur, zabierając z sobą niejedną legendą, z jej tajemnicami, rodzinnymi intrygami, a nawet skandalami?

Był kwadrans po 11. U Dziwisza na stolikach stały wazony z kwiatami, o które osobiście zadbała Anna, właścicielka herbaciarni. Pierwsi goście sadowili się na zgrabnych fotelikach, a dwie młodziutkie kelnerki roznosiły na tackach domowe szarlotki, serniki, a do tego obowiązkowo – dziwiszówkę – herbatę, która cudownie wycisza skołatane serca i samotne dusze. Przy samym wejściu, w ogromnym koszu, kłuły wzrok wspaniałe antonówki i kosztele. Na fotelach leżały przygotowane pledy. Na wypadek zimna.

Znowu spotkałem tu starych, dobrych znajomych. Miłych, otwartych, pełnych romantyzmu, którzy jak ja uciekali od powtarzalnej do absurdu pracy i zgryzot codzienności. Powiało czułością. Ania i Marek Cenkerowie z Baranowa pod Poznaniem uściskali mnie serdecznie. Kupili tutaj przed dwoma laty album „Prowincja jest piękna", z moimi balladami o Kazimierzu i miłości, który ich tak zainspirował, że od tamtej pory słuchają go często w aucie. Usiedliśmy przy ulubionym stoliku, wspominaliśmy, rozmawialiśmy, także o Kazimierzu Dolnym. Tłumaczyłem, że to nie jest tylko rynek, jak z upiornego McDonalda, lecz to, co miasteczko otacza. Cudowna, niepowtarzalna przyroda. Ze zrudziałymi plamami drzew, podkreślonymi kreskami ultramaryny gałęziami i konarami, z fioletem krzewów, uginających się od jabłek sadów, nadwiślańskim brzegiem, bujnymi wąwozami – tym wszystkim, z czego składa się kazimierska natura, która niby popielata nić wyciągnięta z drewnianej szpulki owija Kazimierz. No i jeszcze jedno – ten niepowtarzalny światłocień miasteczka. Głębszy i bardziej wyrazisty niż na płótnach impresjonistów z Bretanii czy z Montparnasse'u w XIX-wiecznym Paryżu. Już nie zakwitną w tym roku – opowiadałem – na swych długachnych łodygach rumianki, pochylone więdną i wkrótce umrą. Już nie będą się niebieścić chabry. Nieprędko zobaczycie na łąkach dywany z maków. Trzeba na to wszystko poczekać, a może zasłużyć? – A może was nudzę i maltretuję? – zapytałem przyjaciół. – Nie, nie – zaprotestował Marek. – Opowiadaj, drogi Krzysztofie.

– Wczesną wiosną – kontynuowałem – pojawiają się tu legiony kosów, wróbli i ich odmiana, czyli mazurki. Już od piątej rano budzą mnie u moich przyjaciół Wandzi i Jasia w Cholewiance, grając prawdzie recitale a capella. Na początku skromne, nieśmiałe. Potem pojawia się drugi głos, trzeci, tworzą się duety, tria, całe chóry. Przylatuje pustułka z ostrym, zakrzywionym dziobem, siada na daszku domku na drewno, polując na sikorki i wróble. Widzę, jak szykuje się do ataku, przebierając i napinając ostre jak małe nożyki pazury. Zjawiają się wilgi. Tuż obok puka w korę rzadki zielony dzięcioł. Lecz pewnego dnia – moi drodzy – coś gaśnie. Ludzie, drzewa, ptaki – cała przyroda, wszystko nagle przyczaja się, zamiera i tylko deszcz śpiewa na dachu tę samą melancholijną piosenkę. A wiatr układa w kominie swą fioletowo-popielatą balladę o niedalekiej jesieni. A potem kolejnej zimie.

Zamilkłem. Przez chwilę siedziałem w swoim słomkowym, przepasanym czarną wstążką kapeluszu, z przymkniętymi powiekami, senny i nieobecny. Pies położył się pod stolikiem i swoim zwyczajem obserwował wchodzących. Moi przyjaciele tymczasem zamówili szarlotkę i dwa serniki – dla mnie wyciskany sok z pomarańczy, a dla siebie po filiżance herbaty. Ta ostatnia parzyła się w wykwintnym naczyniu malowanym w róże.

– Widzę, że nic się nie zmieniłeś – rzekł Marek. – Tyle w tobie nostalgii, zadumy, smutku. Inaczej nie potrafisz, Krzysztofie, tak?

– Masz rację – odparłem. – Jestem Melancholy Man. Nie wypieram się tego. Jeden z fanów moich piosenek nazwał mnie Mr Nostalgia. O dziwo był nim mężczyzna. Napisał mi kiedyś, że: „Mógłbym wędrować za panem dzikimi plażami, w starych butach van Gogha, daleko, daleko, aż na... piękną prowincję". – Jak w twoich trzech balladach – wtrąciła Ania. – Tak – odparłem. – A co ostatnio piszesz? – Napisałem kilka nowych piosenek. Wśród nich „Mama Jesień", o mojej zmarłej przed czterema laty Mamie.

Wyrecytowałem z pamięci fragment:

Mamo Jesień, Mamo Jesień
Naucz mnie, jak żyć?
Mamo Jesień, Mamo Jesień
Pokaż mi, jak być?
Mamo Jesień, Mamo Jesień
Dokąd trzeba iść?
Tam, gdzie fruną ptaki
Dumne, wolne orły,
By osiągnąć wreszcie
Upragniony szczyt!

Dzień pochylił się nagle jak starzec.

Zbielałymi ustami szeptał coś niezrozumiale, wystukiwał kijem gasnący rytm kończącego się dnia. Z podsufitki herbaciarni spływały złotopopielate nitki kończącego się babiego lata. Cichł gwar. Czyjaś dłoń unosiła widelczyk z ostatnim kawałeczkiem ciasta, niespiesznie, z namaszczeniem. Przemijaliśmy. Znowu coś się kończyło. Żegnałem się z przyjaciółmi. Powiedziałem po swojemu z przekorą: – Do zobaczenia w tym samym miejscu za dziesięć lat. Gdy będę sunął na balkoniku, zapytajcie, czy mam nową płytę lub książkę? Rozpoznamy się z łatwością. Po siwych włosach i siatce zmarszczek na twarzy. Odpowiem: – Nie mam już nic. Mam tylko mój balkonik...

– Krzysztof, nie przesadzaj! – odezwał się na koniec Marek. – Pożyjesz długo. Masz dobre geny.

Powędrowaliśmy Krakowską do naszych wehikułów. Wczesny zmierzch głaskał nas po włosach, odezwał się dźwięk dzwonu. To stary franciszkanin, jak zwykle przed 20, uchwyciwszy gruby sznur, przypominał ludziom, że i on jeszcze żyje, i czas na modlitwę.

eprasa.pl c5acb31c1f

Demiurg „nowego wspaniałego świata"

Soros – jak sam mówi – spekuluje na ludzkich wyobrażeniach. To wyobraźnia jest właściwym polem jego działalności. Ale to przede wszystkim niebezpieczny spekulant, który chce zbudować nowy świat na gruzach religii chrześcijańskiej, narodów i normalnej rodziny

GRZEGORZ GÓRNY

George Soros nie jest zwykłym miliarderem, który koncentruje się na zarabianiu pieniędzy i pomnażaniu majątku. George Soros jest owładnięty misją. To misja nowego globalnego porządku, zbudowanego na laickim humanizmie i ateistycznej wizji świata, bez mocnych tożsamości religijnych i narodowych. W gruncie rzeczy kryje się za nią jeszcze jedna gnostycka utopia, jakich wiele było w dziejach ludzkości, obiecująca osiągnięcie idealnego stanu społecznego, a więc stworzenie czegoś w rodzaju świeckiego raju na ziemi. W czasach odwrotu od sacrum to wizja jakby żywcem wzięta z naiwnej piosenki Johna Lennona „Imagine", gdzie nie ma nieba, państw ani religii, za to wszyscy są szczęśliwi.

KTOŚ W RODZAJU BOGA

Historia uczy, że tego typu wizjonerów cechuje zazwyczaj potworna megalomania. Nic więc dziwnego, że George Soros – jak sam napisał w jednej z książek – widzi siebie jako osobowość formatu Keynesa w ekonomii lub Einsteina w nauce. Swemu biografowi Michaelowi Kaufmannowi powiedział, że chciałby zostać „sumieniem świata". W wywiadzie dla „The Independent" stwierdził wręcz, że postrzega siebie jako „kogoś w rodzaju boga, stwórcy wszystkiego". Jego stary przyjaciel Byron Wien rzekł kiedyś, że Soros uważa, iż został namaszczony przez Boga do rozwiązywania na ziemi nierozwiązywalnych problemów.

Wielu machnie ręką, że osobników tak twierdzących pełne są na świecie oddziały w szpitalach psychiatrycznych. Rzecz jednak w tym, że ludzie przyznający sobie atrybuty niemal boskie nieraz w historii dochodzili do władzy, a skutki tego okazywały się opłakane. Gdy dostawali w ręce instrumenty polityczne, stawali się niebezpieczni. A Soros, jako jeden z najbogatszych ludzi na kuli ziemskiej, ma pieniądze i możliwości, by zabawić się w „kogoś w rodzaju boga, stwórcy wszystkiego".

WIELKI DESTRUKTOR

Każda utopia społeczna zaczyna się od tego samego: aby zbudować nowy porządek, należy najpierw zniszczyć stary świat. W wizji Sorosa zniknąć (a przynajmniej stracić znaczenie) powinno wszystko, na czym przez wieki opierał się tradycyjny ład cywilizacji zachodniej: religia chrześcijańska, państwo narodowe, normalna rodzina. Są one bowiem rozsadnikami nietolerancji, ksenofobii, dyskryminacji, wykluczenia itd. Dopiero po fazie burzenia może nastąpić etap kreacji. To w mitologiach prerogatywa bogów: niszczenie jednych i powoływanie do istnienia drugich światów.

Obalane są więc kamienne tablice Dekalogu. Miliony dolarów z kont Sorosa płyną na łamanie piątego przykazania „nie zabijaj", wspomagając w skali globalnej inicjatywy promujące aborcję i eutanazję. Jest on trzecim najhojniejszym donatorem największej fabryki śmierci na świecie – aborcyjnego giganta Planned Parenthood. Przy jego pomocy niszczony jest też towarzyszący cywilizacji chrześcijańskiej od jej zarania model rodziny. Soros sponsoruje bowiem organizacje i przedsięwzięcia feministyczne, gejowskie oraz genderowe, rozbijające ów model. Przedmiotem dekonstrukcji staje się zresztą nie tylko instytucja rodziny czy małżeństwa, lecz nawet samo pojęcie płci.

Soros wspiera też masowy napływ imigrantów muzułmańskich na nasz kontynent. Rzesze wyznawców islamu rozbijają bowiem narodową i religijną tożsamość Europy, a tym samym tworzą podwaliny pod budowę nowego multikulturalnego społeczeństwa przyszłości.

WRÓG IZRAELA

Innym filarem starego ładu, który trzeba zniszczyć, są państwa narodowe jako kierujące się egoistyczną polityką. Soros uważa, że należy ograniczyć ich kompetencje na rzecz instytucji ponadpaństwowych, np. na naszym kontynencie dając więcej władzy unij-

eprasa.pl c5acb31c1f

nym komisarzom i eurobiurokratom oraz uniezależniając ich od wpływu wyborców.

Z niebezpieczeństwa, jakie niesie tego typu polityka, zdają sobie sprawę rządy wielu krajów. Jednym z nich jest Izrael, którego władze uważają, że Soros chce zniszczyć żydowską tożsamość tego państwa. Niedawno premier Beniamin Netanjahu oskarżył miliardera, że wtrąca się w wewnętrzne sprawy Izraela, finansując kampanię przeciw deportacji nielegalnych imigrantów.

Kiedy rząd Viktora Orbána rozpoczął walkę z wpływami Sorosa na Węgrzech i posypały się na niego z różnych stron oskarżenia o antysemityzm, wówczas ze wsparciem przyszedł mu rząd Netanjahu. Izraelski MSZ oświadczył, że sprzeciw wobec antysemityzmu „w żadnym wypadku nie może unieważniać krytyki wobec George'a Sorosa, który nieustannie podkopuje demokratycznie wybrane rządy Izraela poprzez finansowanie organizacji zniesławiających państwo żydowskie i próbujących odmówić mu prawa do samoobrony".

Rys. Shutterstock

WŁADCA MARIONETEK

Za niebezpiecznego uważa Sorosa również obecna administracja USA. Donald Trump oskarżył miliardera m.in. o finansowanie karawany imigrantów zmierzającej z Hondurasu w kierunku granic USA czy sponsorowanie protestów przeciw Brettowi Kavanaughowi – republikańskiemu kandydatowi do Sądu Najwyższego, fałszywie oskarżonemu o molestowanie seksualne przez zwolenniczkę partii demokratycznej.

Soros realizuje swe plany, wspierając w wielu krajach polityków i partie, które uważa za bliskie swojej wizji świata. Zainwestował np. grube miliony dolarów w kampanie wyborcze Billa i Hillary Clintonów czy Baracka Obamy. Poparcie ma jednak swoją cenę. Nic dziwnego, że Strobe Talbott, były sekretarz stanu w administracji Clintona, przyznawał, jak wyglądała sytuacja w tamtych czasach: „Rząd USA uzgadnia swoją politykę zagraniczną z Wielką Brytanią, Niemcami, Francją, Japonią i... George'em Sorosem". WikiLeaks ujawnił korespondencję pomiędzy miliarderem a ówczesną sekretarz stanu USA Hillary Clinton w sprawie kryzysu w Albanii w 2011 r. Okazało się, że zachowała się ona dokładnie w taki sposób, jak jej napisał.

W zeszłym tygodniu rzecznik węgierskiego rządu Zoltán Kovács oświadczył, że jego kraj nie weźmie udziału w debacie w Parlamencie Europejskim na temat praworządności na Węgrzech, dopóki wiceprzewodniczącym Komisji Europejskiej będzie Frans Timmermans. „Jest jasne, że Timmermans to człowiek Sorosa" – powiedział Kovács. Jego zdaniem planowany przebieg debaty, nad którą czuwa wspomniany polityk, będzie zgodny z wytycznymi opracowanymi przez instytucje związane z miliarderem. Innymi słowy: mówi Timmermans, a słyszymy Sorosa.

eprasa.pl c5acb31c1f

BEZWZGLĘDNY SPEKULANT

George Soros umiejętnie posługuje się środkami soft power. Działa poprzez sieć finansowanych przez siebie organizacji pozarządowych, które są obecne w niemal 100 krajach. To instytucje społeczne, obywatelskie czy charytatywne, na pierwszy rzut oka niemające wiele wspólnego z polityką. Mają jednak wpływ opiniotwórczy, zasoby finansowe oraz zdolność mobilizowania zwolenników w kręgach liberalno-lewicowych. W chwilach kryzysów są w stanie kreować wydarzenia polityczne.

Węgierska historyczka Mária Schmidt opowiada, że Soros uaktywnia się zwłaszcza w krajach, w których dochodzi do przesileń, kryzysów czy zmian systemowych. Najpierw działalność jego organizacji sprzyja chaosowi i destabilizacji. Stosowana jest przy tym często metoda astroturfingu, czyli pozorowania spontanicznych działań obywatelskich, a w rzeczywistości realizowania zadań inicjowanych i finansowanych przez ukrytych zleceniodawców. Gdy pojawia się próżnia władzy, wtedy wkracza jako mediator. Oferuje swą pomoc, by ratować sytuację. Już wcześniej zdobywa poparcie dzięki akcjom filantropijnym oraz głoszeniu szlachetnych celów, takich jak obrona praw człowieka, walka z dyskryminacją czy stwarzanie równych szans dla wszystkich. Snuje wizję „społeczeństwa otwartego". Ma fundusze, ekspertów, stypendia, wpływy w mediach. Tworzy zręby nowego porządku.

Węgrzy mają duże doświadczenie w kontaktach z Sorosem, który notabene pochodzi z tego kraju. Już na początku lat 90. XX w. zgłosił się on do premiera Józsefa Antalla z ofertą poradzenia sobie z olbrzymim długiem zagranicznym zaciągniętym jeszcze za rządów Jánosa Kádára. Zaproponował, by państwo węgierskie odmówiło spłaty zadłużenia, nie przejmując zobowiązań z minionego ustroju. Wówczas wartość rynkowa długu spadłaby o połowę, a wtedy wykupiłaby je grupa finansowa z Sorosem na czele. Plan był poważnie rozważany, ale rząd uznał go za zbyt ryzykowny. Przeważyła obawa, że miliarder stałby się właścicielem całego długu Węgier i mógłby de facto dyktować warunki władzom w Budapeszcie.

A był to czas, gdy dał się on poznać jako bezwzględny spekulant finansowy. We wrześniu 1992 r. złamał kurs funta szterlinga, na czym zarobił 1 mld dol., natomiast skarb państwa Wielkiej Brytanii stracił 6 mld dol. Podobne próby podejmował wobec Włoch i Japonii. W 1997 r. przeprowadził atak spekulacyjny na waluty Malezji, Tajlandii, Indonezji, Singapuru i Korei Południowej, ograbiając te kraje z rezerw walutowych. Wywołał kryzys finansowy na Dalekim Wschodzie, który przyniósł bankructwo tysięcy przedsiębiorstw, bezrobocie setek tysięcy ludzi oraz masowe strajki i starcia uliczne, które pociągnęły za sobą śmierć wielu osób. Do dziś miliony Azjatów, którzy z dnia na dzień stracili oszczędności całego życia, w tym swe zabezpieczenie emerytalne, przeklinają jego nazwisko.

> Soros wspiera masowy napływ imigrantów muzułmańskich na nasz kontynent. Rzesze wyznawców islamu rozbijają bowiem narodową i religijną tożsamość Europy, a tym samym tworzą podwaliny pod budowę nowego multikulturalnego społeczeństwa przyszłości

MANIPULATOR WYOBRAŹNIĄ

Spekulantów zarabiających na ludzkiej krzywdzie jest wielu, jednak niewielu z nich kreuje się na moralistów i dobroczyńców pouczających ludzkość, jak zbudować sprawiedliwy świat. Soros z jednej strony głośno wzywa do opodatkowania najbogatszych, jednak z drugiej – zarządzane przez niego podmioty unikają płacenia podatków. Tylko jeden z jego funduszy, który przeniósł się z Wysp Bermudzkich do Irlandii, zarobił na czysto (według Bloomberga) 3 mld 851 mln dol., a zapłacił od tego podatek w wysokości 962 dol.

Gdyby zapytać przeciętnego człowieka: czy jesteś w stanie zaufać komuś, kto dla zysku z zimną krwią ograbił cię ze wszystkich twoich oszczędności, zapewne taka osoba odpowiedziałaby, że nigdy w życiu. A jednak wpływowi politycy i intelektualiści na całym świecie traktują Sorosa jak wielki autorytet moralny, mając świadomość, że swymi finansowymi machinacjami wpędził w nędzę miliony ludzi.

On sam wyjaśniał mechanizm swego działania następująco: „Spekuluję na rozbieżności między rzeczywistością a ludzkimi wyobrażeniami o tej rzeczywistości, aż pojawi się mechanizm korekcyjny, który je zbliża".

Kto nam da jednak gwarancję, że ten sam mechanizm dotyczy nie tylko jego działalności finansowej, lecz także kulturowo-społecznej? W tej sferze Soros również robi to, co potrafi najlepiej – dokonuje spekulacji na ludzkich wyobrażeniach. To wyobraźnia jest właściwym polem jego działalności.

To proste, zdaje się mówić Soros, ludzie dają się manipulować, gdy rośnie rozbieżność między rzeczywistością a ich wyobrażeniami. Rzecz jednak w tym, że można temu procesowi pomagać. Można działać tak, by owa przepaść rosła i by ludzie tego nie zauważali. W efekcie będą oni podejmować decyzje niezgodne z ich własnym interesem, święcie przekonani, że działają słusznie. To podstawa zasady wirusa w wojnie psychologicznej. Wspomagać ów proces mogą „władcy umysłów": ośrodki opiniotwórcze, liderzy opinii, środki masowego przekazu. Dlatego dla Sorosa tak ważny jest wpływ na kształcenie elit i na media. To one będą promować zmiany, które on wskazuje. Stawką jest rząd dusz.

eprasa.pl c5acb31c1f

Przecież jej nie było

PIOTR SKWIECIŃSKI

W modzie jest ostatnio labiedzenie na temat tego, jak to jako Polacy straciliśmy poczucie wspólnoty i w ogóle przestaliśmy być wspólnotą. Generalnie się z tym zgadzam i nad tym ubolewam, ale zarazem mam wrażenie, że nawet najbardziej i najgłośniej lamentujący w swoich analizach tego zjawiska nie idą wystarczająco głęboko. Nie przekraczają pewnych granic, więcej – bardzo się starają nawet nie tyle ich nie przekroczyć, ile wręcz nie dostrzec.

Bo ja muszę powiedzieć, że choć oczywiście paskudne jest to, co między Polakami ostatnio się dzieje i postępuje, wciąż przyspieszając, od początku lat 90., to ja osobiście w ciągu tych całych niemal 30 już lat niejednokrotnie miewałem poczucie, że dzieje się źle, ale akurat wrażenia, że rozpada się jakaś wspólnota, nie miewałem. Bo po prostu, żeby wspólnota się rozpadała, to najpierw musiałaby zaistnieć. A sęk w tym, że moim zdaniem jej nigdy nie było.

Ci, którzy uważają inaczej, to ludzie różni. Dobrej albo złej woli i w bardzo różnym wieku, ale łączy ich to, że niemal zawsze pochodzący z obozu III RP. Ta okoliczność wiele tłumaczy. Pamiętam, jak gdzieś na początku tzw. pierwszego PiS Jacek Żakowski elegijnie narzekał w radiu Tok FM na ówczesną sytuację w środowisku dziennikarskim. Brzmiało to mniej więcej tak: „Co to się porobiło... słuchajcie, a przecież długo było tak miło... tak fajnie... chodziliśmy przecież na te same bale, te same imprezy...".

Żakowski nawet może i był szczery, bo ludzie generalnie pamiętają różne rzeczy tak, jak im jest wygodniej. A przynależność do jakiejś grupy, zwłaszcza uprzywilejowanej, tę cechę ludzkiego umysłu wzmacnia. W danym przypadku ta prawidłowość objawiła się w sposób rozczulająco prosty: Żakowskiemu przedtem przez lata było dobrze, w naturalny sposób uznał więc, że w rzeczywistości lat 90. wszystkim było tak fajnie jak jemu. Prawicowi dziennikarze, co parę lat przepędzani wtedy z różnych mediów, mogli wspominać to diametralnie inaczej, ale dla Żakowskiego ta epoka była święta i czysta, jak kraj pierwszego kochania dla Mickiewicza.

A ja, mówiąc krótko, nie pamiętam, abym po – powiedzmy – 1990 r. czuł się częścią jakiejś wspólnoty, chociażby z owym Żakowskim. Więcej – nie wydaje mi się, aby w owym czasie i druga strona uważała, że z moją znajduje się w stanie wspólnoty. Potem, teraz, może i wspominała czy wspomina to inaczej, bo człowiek ma tendencję do idealizacji dawnych dni, tym bardziej gdy zarzut zburzenia wspólnoty tak wyśmienicie nadaje się do dowalenia stronie przeciwnej. Ale taka prawda – istniały rozmaite kontakty, których dziś w zasadzie nie ma, ale wspólnoty jako takiej nie było.

Ale kiedyś istniała naprawdę. Tylko że to było znacznie dawniej. I zakończyło się w innych okolicznościach, niemających nic wspólnego z żadnym tam PiS ani Smoleńskiem, ani nawet „wojną na górze".

Ona istniała, ją się czuło na początku lat 80. W okresie pierwszej „Solidarności" i na początku stanu wojennego. A zresztą powiem herezję: średnia PRL ze swoim relatywnym egalitaryzmem sprzyjała takiemu poczuciu, choć paradoksalnie przeciw niej było ono skierowane.

I wspólnota przestała istnieć bynajmniej nie na początku lat 90., tylko przedtem. Tak w połowie lat 80. mniej więcej. A rozwaliły ją procesy zapoczątkowane przez stan wojenny, przez zniszczenie wehikułu wspólnoty, jakim była „Solidarność". I poprzez generalne zepchnięcie ludzi w sferę konformizmu. Paradoksalnie nie tak odczuwanego w okresie przed Sierpniem '80, a w ogromnej skali wymuszonego terrorem po 13 grudnia. O ile przedtem społecznie bardzo liczyło się pojęcie „my", o tyle Jaruzelski z Kiszczakiem zmusili Polaków do przejścia na kategorię „ja".

Gospodarczy liberałowie powinni wystawić im za to pomnik. Bo właśnie przez to społeczeństwo końca lat 80. było już diametralnie inne niż to z pierwszych lat dekady. Mentalnie gotowe na Balcerowicza. Ludzie byli już w ogromnej większości nastawieni jedynie na indywidualny sukces – swój i swojej rodziny (a tak, były to jeszcze czasy silnej rodziny, tylko że silna rodzina nie zawsze musi owocować społecznym dobrem, ta ze świata zbiorowego odczuwania lat 1985–1990 była drapieżna i agresywna; dla stojącego na jej czele wirtualnego Prawdziwego Mężczyzny miało nie liczyć się nic poza jej materialnym powodzeniem), a nie na jakikolwiek rodzaj współdziałania.

I to właśnie wtedy między Odrą a Bugiem przestała istnieć wspólnota. Zastąpił ją gąszcz indywiduów. Tę destrukcję wspólnoty środowiska liberalne, które za chwilę utworzyły rdzeń elit III RP, przyjęły radośnie. Wspólnota to przecież odpowiedzialność za innych jej członków, a po co takie coś ludziom sukcesu?

Kiedy więc teraz słyszę narzekania na to, że przestaliśmy być wspólnotą, to z jednej strony się zgadzam, ale z drugiej wyczuwam w tych lamentach sporą dozę hipokryzji.

W narzekaniach na to, że przestaliśmy być wspólnotą, wyczuwam hipokryzję

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c5acb31c1f

Trump bierze Wenezuelę?

Ameryka Łacińska stoi dziś mocno razem z Donaldem Trumpem po stronie demokratycznej rewolty w Caracas. Rzeczy szybko uległyby zmianie, gdyby w Wenezueli wylądowali amerykańscy marines

JAN ROKITA

Zapalnikiem buntu okazała się ceremonia zaprzysiężenia Nicolása Maduro na drugą kadencję prezydencką, która odbyła się 10 stycznia 2019 r. Maduro, który sprawuje władzę w Wenezueli od 2013 r., został zwycięzcą ubiegłorocznych wyborów prezydenckich, do których nie dopuszczono głównych kandydatów opozycyjnych. Perspektywa następnych sześciu lat władzy polityka, który zdołał doprowadzić na skraj przepaści jeden z potencjalnie najbogatszych krajów Ameryki Łacińskiej, wyprowadziła na ulice Caracas rzesze ludzi domagających się odejścia Maduro.

Traf chciał, że pięć dni wcześniej wenezuelski parlament zaprzysiągł właśnie na swego nowego przewodniczącego 35-letniego inżyniera Juana Guaido, który dotąd był postacią drugiego szeregu, a swój wybór zawdzięczał aresztowaniom i ucieczkom z kraju kilku liderów partii opozycyjnych. Jednym z aresztowanych był lider partii Voluntad Popular, której działaczem jest także Guaido. Nowy szef parlamentu, zdominowanego przez antymadurowską opozycję, już w ciągu kilku dni okazał duży talent polityczny. Najpierw ogłosił dynamiczny, ośmiopunktowy plan zmian demokratycznych w Wenezueli, zmierzający do odsunięcia Maduro, powołania rządu przejściowego i rychłych powszechnych wyborów pod międzynarodowym nadzorem. A gdy urzędujący prezydent kazał się zaprzysiąc na nową kadencję, odmówił uznania jego wyboru, wzywając Wenezuelczyków do pokojowego buntu, którego termin wyznaczył nieprzypadkowo na 23 stycznia. Ta data to świętowana przez wenezuelskich demokratów rocznica zbrojnego buntu, który w 1958 r. obalił autokratyczny reżim gen. Marcosa Péreza.

ORĘDZIE I WIELKI WIEC

Wszystko to byłaby historia jednego z licznych kryzysów politycznych, jakie bezustannie nawiedzają kraje Ameryki Łacińskiej, ale dzień przed wyznaczonym przez Guaido terminem protestów stała się rzecz, która z konfliktu wenezuelskiego uczyniła zdarzenie polityczne o znaczeniu globalnym. 22 stycznia opublikowany został w sieci film z nagraniem skierowanego do Wenezuelczyków orędzia wiceprezydenta

eprasa.pl c5acb31c1f

Fot. Shutterstock

USA Michaela Pence'a. W krótkiej mowie, do której Pence wplótł słowa w języku hiszpańskim, a także we wpisie na Twitterze wiceprezydent wzywał mieszkańców Wenezueli do masowego postawienia oporu „dyktatorowi i uzurpatorowi" Maduro. Po czym patetycznie dodawał: „Dobrzy ludzie Wenezueli! Jesteśmy z wami. Wspieramy was i będziemy wspierać, dopóki demokracja nie będzie przestrzegana, a wy nie odzyskacie waszego prawa do wolności".

Wenezuelska opozycja od lat miała polityczne poparcie USA, a z zaangażowania w odsunięcie od władzy zarówno Maduro, jak i jego słynnego poprzednika Hugona Cháveza Amerykanie nigdy nie czynili tajemnicy. Jednak w skrajnie zaognionej sytuacji w Caracas orędzie Pence'a stało się czytelnym sygnałem, że ekipa Donalda Trumpa uważa, iż właśnie nadszedł właściwy moment do skutecznego dokonania rewolucji. I o ile ona nastąpi, Ameryka nie pozostanie w jej trakcie bezczynna.

Następnego dnia w Caracas tłumy przeciwników Maduro stawiły się na opozycyjny wiec. A w jego trakcie, ku trudnemu do opisania powszechnemu entuzjazmowi (tak potrafią się emocjonować tylko Latynosi), młody Juan Guaido ogłosił siebie samego nowym przejściowym prezydentem Wenezueli, wobec nieważności wyboru i zaprzysiężenia Maduro. Kilka godzin później Donald Trump oficjalnie uznał nowego prezydenta kraju, a wraz z nim tak samo postąpiła większość państw Ameryki Łacińskiej, z Kolumbią i Brazylią – dwoma kluczowymi sąsiadami kraju na czele. Dla każdego było jasne, że ta akcja była wcześniej skoordynowana.

WŚCIEKŁOŚĆ MADURO

Po stronie Maduro stanęły zatem mocno Rosja i Chiny, a Moskwa zablokowała nawet próbę zwołania Rady Bezpieczeństwa ONZ. Unia Europejska, jak zwykle w takich sytuacjach, nie była w stanie osiągnąć podobnej jednoznaczności, więc... odroczyła decyzję o uznaniu Guaido o osiem dni, postulując, aby dotychczasowy prezydent w tym czasie odszedł z urzędu. Trudno się dziwić, że sam zainteresowany zakpił sobie z tej uchwały Unii, nazywając ją „dziecinną". Co ciekawe, przy okazji unijnej narady doszło do ostrego spięcia w łonie włoskiej koalicji rządzącej, gdyż jeden z wicepremierów (Salvini z Ligi) udzielił wsparcia Waszyngtonowi i buntowi obywatelskiemu Wenezuelczyków, drugi zaś (Di Maio z Pięciu Gwiazd) wręcz przeciwnie, bronił legalizmu reżimu Maduro. W efekcie Italia nie była w stanie wyrazić jakiejkolwiek opinii na temat kryzysu.

Tymczasem Maduro, najwyraźniej rozjuszony determinacją Trumpa, ogłosił swoim zwolennikom z balkonu rezydencji, że „zrywa wszelkie stosunki polityczne i dyplomatyczne z imperialistami amerykańskimi", dając dyplomatom USA 72 godziny na opuszczenie kraju. W reakcji Amerykanie ze stoickim spokojem ogłosili, że skoro ich zdaniem to Guaido jest już prezydentem kraju, Maduro nie może zerwać stosunków, więc dyplomaci USA nie opuszczą Caracas. Po dwóch dniach reżim zmiękł i odroczył ekspulsję Amerykanów o cały miesiąc.

Donald Trump zapytany o możliwość zbrojnej interwencji w Wenezueli udzielił odpowiedzi celowo niejasnej, dając do zrozumienia, że to rozwiązanie nie jest wykluczone. Prezydencki doradca John Bolton sprecyzował co nieco: „Każdy akt przemocy wobec dyplomatów amerykańskich, prezydenta Guaido albo członków parlamentu spotka się ze znaczącą reakcją USA". W Ameryce toczy się w tych dniach żywa debata o tym, czy usunięcie Maduro warte jest militarnego zaangażowania USA. Przeważają w niej głosy zdecydowanie ostrzegające Trumpa przed taką decyzją, a nawet najbardziej czynni amerykańscy przeciwnicy reżimu Maduro, jak senator Marco Rubio z Florydy, zarzekają się, iż nikt naprawdę nie planuje wysłania US Army do Wenezueli. Kluczowym powodem powściągliwości jest odbudowana ostatnio przez USA polityczna komitywa z większością istotnych krajów latynoamerykańskich, z Brazylią na czele.

Można być niemal pewnym, że choć Ameryka Łacińska stoi dziś mocno razem z Trumpem po stronie demokratycznej rewolty w Caracas, rzeczy szybko uległyby zmianie, gdyby w Wenezueli wylądowali amerykańscy marines. Jeśli więc można by myśleć o realności wojskowej interwencji, to zapewne tylko wówczas, gdyby Maduro zdecydował się kazać armii strzelać do manifestantów albo rozpoczął aresztowania przywódców buntu. Na razie Maduro wydaje się niepewny własnej przyszłości i deklaruje nawet chęć rozmów z opozycją. Ta jednak, wraz z Ameryką, nie uznaje już jego władzy i mianowała nawet, natychmiast zresztą uznanego, własnego ambasadora w Waszyngtonie. O atmosferze panującej w obozie przeciwników Maduro świadczy dość wyjątkowa deklaracja „samomianowanego" prezydenta Guaido, iż wie o tym, że w każdej chwili może zginąć i jest na to gotowy.

GOSPODARCZA KATASTROFA

Swą polityczną siłę obóz demokratów czerpie z oczywistego i przybierającego

eprasa.pl c5acb31c1f

już dramatyczne kształty gospodarczego fiaska rządów Maduro. Od 1999 r., kiedy wybory wygrał Hugo Chávez, Wenezuela jest rządzona wedle swoistej latynoskiej wersji „caudillismo", czyli komunizującego autorytaryzmu. Chávez był ostro antyamerykańskim lewicowcem i wielbicielem Fidela Castro, ale jego reformy społeczne, przeprowadzone w pierwszej dekadzie obecnego wieku, dały Wenezuelczykom po raz pierwszy w historii powszechną oświatę, służbę zdrowia, wzrost długości życia i – co szczególnie znane w świecie – dostęp do kultury. Światową wizytówką Wenezueli stał się unikalny program masowego kształcenia muzycznego dzieci i młodzieży El-Sistema (co prawda powstały przed Chávezem, ale przez niego promowany), z którego wyrósł m.in. doskonały kapelmistrz Gustavo Dudamel, skądinąd dziś zdeklarowany przeciwnik reżimu. Sukces Cháveza polegał głównie na tym, że okres jego władzy przypadł na czas naftowej prosperity, a Wenezuela czerpie 96 proc. dochodów ze swego bogactwa naftowego. Kiedy Chávez zmarł w 2013 r., władzę z jego nadania przejął Maduro. Wkrótce potem światowa cena ropy runęła ze 100 do 30 dol. za baryłkę, a socjalizm Cháveza zawalił się w ciągu dwóch lat.

Skorumpowane i nieudolne rządy Maduro okazały się niezdolne do jakiejkolwiek reformy. A reakcją reżimu na gospodarczą katastrofę stały się rosnące polityczne represje, aresztowania, morderstwa, wsparte próbą delegalizacji parlamentu w 2017 r., po wyborach wygranych przez opozycję. Ceną takiej polityki stały się niewyobrażalna hiperinflacja (Fundusz Walutowy szacuje ją nawet na ponad milion procent!), spadek PKB o połowę, głód, choroby (do kraju powrócił nieznany już trąd), brak prądu i (trudno w to uwierzyć), brak benzyny w kraju, którego złoża ropy przekraczają ponoć nawet te w Arabii Saudyjskiej. A w konsekwencji ucieczka dwóch milionów Wenezuelczyków, przede wszystkim do sąsiedniej Kolumbii.

Taki stan rzeczy w kraju sprawia, że Maduro nie ma zbyt wielkich szans na utrzymanie się u władzy, chyba że zdecyduje się na przemoc na dużą skalę. Do tej pory z rąk policji i gwardzistów Maduro niemal każdego dnia padają ofiary śmiertelne, ale spora część polityków opozycyjnych wciąż przebywa na wolności, Guaido zaś jest w stanie nadal organizować masowe protesty w Caracas. Dwa dni przed historycznym wiecem z 23 stycznia doszło do licznych aresztowań w armii. Widać, że Maduro najbardziej obawia się buntu oficerów. Oficjalna propaganda upowszechnia film, na którym Maduro wygłasza emocjonalne antyimperialistyczne frazesy do zgromadzonych wojskowych, ci zaś wznoszą wraz z nim antyamerykańskie hasła i okrzyki.

Swą polityczną siłę obóz demokratów czerpie z przybierającego już dramatyczne kształty gospodarczego fiaska rządów Maduro, w tym hiperinflacji szacowanej nawet na milion procent!

Oczywiście bunt armii mógłby doprowadzić do upadku władcy Wenezueli w ciągu kilku godzin. Bardziej prawdopodobne jednak, że takiego buntu nie będzie, co najwyżej na stronę Guaido przechodzić będą niektórzy oficerowie, zwłaszcza ci, którzy akurat znajdują się poza granicami kraju i nie muszą się obawiać więzienia (jak ostatnio attaché wojskowy Wenezueli w Waszyngtonie). Jeśli więc Maduro ani nie zostanie usunięty szybko przez armię, ani nie użyje armii do masowej pacyfikacji przeciwników, to Wenezuela stanie w obliczu dwuwładzy i perspektywy wojny domowej.

WYSŁANNIK TRUMPA

To, co z perspektywy świata w tym konflikcie najważniejsze, to wyraźnie nowa polityka amerykańska. „The New York Times" pisze nawet, że Trump odszedł od izolacjonistycznej polityki „America First", tak mocno angażując USA w demokratyczny przewrót w Wenezueli. Ale nowojorska gazeta myli się, gdyż nie jest zdolna myślowo się wywikłać z obsesyjnej niechęci do obecnego gospodarza Białego Domu. Trump nigdy nie był izolacjonistą, a jego globalna strategia od początku zakładała zwiększającą się w porównaniu z czasami Obamy aktywność Ameryki w świecie, zwłaszcza silniejszą niż dotąd presję militarną.

Zarówno sam Trump, jak i tacy członkowie jego ekipy jak John Bolton to ludzie dążący do odzyskania globalnego wpływu przez Amerykę i przekonani, że to właśnie stanowi warunek uczynienia świata lepszym oraz bezpieczniejszym. Ameryka Łacińska to obszar, na którym Trumpowi z powodzeniem udaje się odbudowywać wpływy USA, więc w Białym Domu zapewne uznano, że nadarza się okazja dołączenia do grona przyjaciół także potencjalnie zamożnej Wenezueli.

Co szczególnie przy tym ciekawe, Trump sięgnął przy tej okazji do ponad 70-letniego Elliotta Abramsa – jednego z ostatnich wybitnych polityków z kręgu neokonserwatystów, tradycyjnie niechętnych Trumpowi, i to z wzajemnością. Abrams (co warto przypomnieć) odegrał swego czasu istotną rolę w odniesieniu do Polski, gdyż mianowany w listopadzie 1981 r. przez Reagana zastępcą sekretarza stanu ds. praw człowieka był w gruncie rzeczy konstruktorem polityki sankcji wobec reżimu Jaruzelskiego, po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Teraz Abrams ma się zająć z ramienia Trumpa rozwiązaniem kryzysu wenezuelskiego. Jedno jest pewne – ten czołowy niegdyś neokonserwatysta wierzy nie tylko w to, że misją Ameryki jest krzewienie wolności i demokracji na całym globie, lecz również nie krył nigdy przekonania, iż siła jest całkiem dobrym sposobem na osiąganie tego celu.

57/1118/F

eprasa.pl c5acb31c1f

KONGRES RUCHU „EUROPA CHRISTI” 2019

1150. ROCZNICA ŚMIERCI ŚW. CYRYLA – 14 LUTEGO 2019

SYMPOZJUM:
Święci Cyryl i Metody – patroni Europy
Wizja św. Jana Pawła II

13-14 lutego 2019
Częstochowa, Jasna Góra

PROGRAM SYMPOZJUM

13 lutego, Kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej
21.00 – Apel Jasnogórski z udziałem Biskupów Czech, Słowacji, Ukrainy i Polski oraz uczestników sympozjum

14 lutego, Kaplica Różańcowa
10.00 – Rozpoczęcie Sympozjum Ruchu „Europa Christi”: „Święci Cyryl i Metody – patroni Europy. Wizja św. Jana Pawła II. 1150. rocznica śmierci św. Cyryla”
Wprowadzenie – ks. inf. Ireneusz Skubiś – Moderator Ruchu „Europa Christi”
Przywitanie – o. Marian Waligóra, Przeor Jasnej Góry
Słowo wstępne – kard. Stanisław Dziwisz
Otwarcie sympozjum – abp Wacław Depo, Metropolita Częstochowski

Wykłady:
– „Życie i dzieło ewangelizacyjne świętych Cyryla i Metodego – patronów Europy” – bp Viliam Judák, Biskup Ordynariusz Nitrzański (Słowacja)

– „Encyklika «Slavorum Apostoli» św. Jana Pawła II jako bezcenny dar Papieża dla Kościoła powszechnego” – Ojciec Archimandryta Jan Sergiusz Gajek MIC, Zwierzchnik Kościoła Katolickiego Obrządku Bizantyjsko-Białoruskiego

– „Aktualność przesłania świętych Cyryla i Metodego dla współczesnej Europy” – dr Pavol Mačala (Słowacja), Stowarzyszenie Naukowe Personalizm (Lublin)

Udział w Sympozjum potwierdzili m.in:
abp Wacław Depo – Metropolita Częstochowski;
abp Ján Babjak SJ – Metropolita Kościoła Greckokatolickiego Słowacji; abp Jan Graubner – Metropolita Ołomuniecki (Czechy); abp Milan Šášik – Eparcha Mukaczewski Kościoła Katolickiego Obrządku Bizantyjsko-Rusińskiego (Ukraina)

Kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej
13.00 – Akatyst – abp Ján Babjak SJ, Metropolita Kościoła Greckokatolickiego Słowacji, i chór księży greckokatolickich św. Jakuba, Prešov (Słowacja)
13.30 – Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem kard. Stanisława Dziwisza; Homilia – abp Jan Graubner, Metropolita Ołomuniecki (Czechy)
15.00 – obiad

Organizatorzy:

Fundacja Myśląc Ojczyzna

Tygodnik Katolicki „Niedziela”

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

eprasa.pl c5acb31c1f

Europa dwóch płuc

13 i 14 lutego 2019 r., w 1150. rocznicę śmierci św. Cyryla, na Jasnej Górze w Częstochowie odbędzie się Kongres Ruchu „Europa Christi" 2019, połączony z sympozjum poświęconym świętym Cyrylowi i Metodemu – patronom Europy i wizji św. Jana Pawła II. O przebiegu Kongresu Artur Ceyrowski rozmawia z *ks. inf. dr. Ireneuszem Skubisiem*, moderatorem Ruchu „Europa Christi"

Jednym z celów, które stawia sobie Ruch „Europa Christi" jest przypomnienie misji ewangelizacyjnej świętych Cyryla i Metodego, czyli źródła chrztu narodów słowiańskich. Dlaczego pamięć o świętych, którzy w IX w. prowadzili chrystianizację na terenach zamieszkanych przez Słowian, jest ważna w wieku XXI?

Ireneusz Skubiś: Ona jest ważna dlatego, że ci święci nie tylko przynieśli chrześcijaństwo, lecz też byli twórcami kultury dla Słowian. Wspomnijmy choćby to, że św. Cyryl i jego uczniowie tworzyli gramatykę słowiańską, dlatego mówimy o cyrylicy. Widzimy tu działanie wielosegmentowe, mamy z jednej strony przekaz wiary, z drugiej budowę fundamentów kultury Słowian, gramatyki, języka i pisowni. Do tego dochodzi jeszcze jeden ciekawy i ważny dla nas aspekt, kwestia połączenia chrześcijańskiego Wschodu z Zachodem. Obaj święci pochodzili przecież z Grecji, ale byli także mocno związani z Rzymem, to tam umarł św. Cyryl. Warto tu wspomnieć o ciekawostce – tylko przy dwóch świętych ludzie wołali na pogrzebie „subito santo" [„natychmiast święty" – red.], było to na pogrzebie św. Cyryla i św. Jana Pawła II. Chrześcijaństwo, które przekazali święci Cyryl i Metody, stanowi „wschodnie płuco", do tego odnosił się św. Jan Paweł II 40 lat temu w Gnieźnie, kiedy podkreślił, że jest „papieżem Słowianinem", i mówił o „Europie dwóch płuc". Stąd hasło naszego kongresu: „Europa Christi – Europa dwóch płuc – Europa Ewangelii, Prawdy i Pokoju".

Fot. Bożena Sztajner

Gdy Jan Paweł II ogłaszał obu świętymi, mówił i pisał o nich jako o patronach ruchu ekumenicznego, którzy przynoszą szansę powrotu do utraconej jedności Kościoła. Nasz wielki rodak jako jeden z pierwszych współczesnych myślicieli rozumiał, że warunkiem renesansu Kościoła jest myśl ekumeniczna?

Musimy powiedzieć bardzo ważną rzecz. Kościół prawosławny ma ogromne znaczenie dla całej myśli chrześcijańskiej. Jeśli słuchamy naszych braci prawosławnych, to w ich słowach bardzo mocno wybrzmiewa Ewangelia. Zapraszamy ich na kongres, bo chrześcijaństwo będzie mocne tylko wówczas, jeśli będzie zjednoczone. Kościół prawosławny jest bardzo mocno osadzony w tradycji i bliski tej pierwotnej wspólnocie Kościoła, sprzed jego podziałów. Zasadniczy zrąb wiary i kultury chrześcijańskiej zasadza się na chrześcijaństwie pierwszych wieków. Wówczas nie było podziału, który wydarzył się przecież – symbolicznie – dopiero w 1054 r. za Michała Cerulariusza. Stąd tak bardzo trafny był głos św. Jana Pawła II, który mówił o „Europie dwóch płuc". Tak jak w Europie, tak i w Kościele płuca wschodnie i zachodnie stanowią jeden organizm. Dziś płuco wschodnie bardzo mocno wspomaga tę ideę jedności, co jest szczególnie cenne w okresie tak wielkiej sekularyzacji Zachodu. Dlatego też myśl o zjednoczeniu chrześcijan jest niezwykle ważna, o tę jedność modlił się też Jezus Chrystus, słowami „aby wszyscy stanowili jedno". I my się w tę myśl o jedności chrześcijan w Ruchu „Europa Christi" bardzo mocno wpisujemy.

eprasa.pl c5acb31c1f

Jak ważne dla Ruchu „Europa Christi" jest to, że ten sygnał odnowy wychodzi z Polski, kraju słowiańskiego, wzmocnionego pontyfikatem św. Jana Pawła II? Z ducha naszej religijności wyrasta szansa na odnowienie chrześcijańskiego ducha całej Europy?

Przede wszystkim musimy naprawić to, że święci Cyryl i Metody są tak słabo znani w Polsce. To oczywiście wynika w dużym stopniu z tego, że panslawistyczna koncepcja forsowana m.in. przez cara Mikołaja I nie została dobrze przyjęta w Polsce. Nic dziwnego, bo przecież stała się wówczas częścią oficjalnej rosyjskiej ideologii państwowej. Dziś tego zagrożenia już nie ma, warto więc wrócić do słów św. Jana Pawła, który w liście apostolskim „Egregiae virtutis" w trzecim roku swego pontyfikatu ogłosił Cyryla i Metodego współpatronami Europy. Pięć lat po tym wydarzeniu, z okazji 1100. rocznicy śmierci św. Metodego, wspomniał o tym, że trzeba „dać wyraz pamięci Kościoła o tej doniosłej rocznicy" i ogłosił encyklikę „Slavorum Apostoli". Ojciec Święty przypominał, iż czuł się w tym względzie szczególnie zobowiązany, jako pierwszy papież powołany na Stolicę Świętego Piotra z Polski, a zatem spośród narodów słowiańskich. Nasz wielki rodak podkreślał, aby w świetle II Soboru Watykańskiego w dojrzalszy i pogłębiony sposób spojrzeć na tych dwóch świętych, od których dzieli nas już jedenaście stuleci i odczytać w ich życiu i posłannictwie te treści, które Mądrość Bożej Opatrzności wpisała tam jakby z myślą o naszej epoce, aby w niej – jak pisał św. Jan Paweł II – „odsłoniły się w nowej pełni i przyniosły nowe owoce".

> Chcemy wyjednać paszport dla Jezusa Chrystusa we wszystkich europejskich państwach

Zbrojna inwazja na Czechosłowację i tragiczne wydarzenia 1968 r. sprawiły, że w lutym 1969 r. nie odbyły się w krajach słowiańskich środkowej Europy uroczystości z okazji 1100. rocznicy śmierci św. Cyryla. Teraz, 50 lat później, z inicjatywy Ruchu „Europa Christi" spotkają się biskupi i wierni z krajów Europy Środkowej, aby podziękować Bogu za świętych Cyryla, Metodego i Jana Pawła II. Jak będą przebiegać te uroczystości?

Na Jasną Górę przyjadą biskupi ze Słowacji, z Czech, z Ukrainy, będą biskupi łacińscy i greckokatoliccy. 14 lutego w kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze mszę św. pod przewodnictwem kard. Stanisława Dziwisza będzie koncelebrował abp Jan Graubner, metropolita ołomuniecki. Chcemy połączyć idee jedności postaci apostołów Słowian z tym, co zrobił dla tej jedności św. Jan Paweł II. Przypomnijmy, że Paweł VI uczynił św. Benedykta patronem Europy, patronami są też święci Cyryl i Metody, staramy się razem z Ruchem „Europa Christi", aby patronem Starego Kontynentu stał się również św. Jan Paweł II. Mamy 14 tys. podpisów z Hiszpanii, którzy proszą papieża Franciszka, aby uczynił św. Jana Pawła II patronem Europy. W ramach naszego skromnego działania w ramach Ruchu „Europa Christi" mam też ponad 12 tys. podpisów z Polski, które wciąż są zbierane. Mamy też głosy wsparcia naszych przyjaciół z Włoch, którzy również chcą podpisać taki apel. Wierzymy, że opowie się za tym cała Europa. Podczas sesji kongresowych Ruchu „Europa Christi" będziemy zbierali takie podpisy. Błogosławi nam w tej działalności papież Benedykt XVI, chcemy tę inicjatywę dobrze przygotować, aby przedstawić ją papieżowi Franciszkowi.

Na koniec chciałbym się odwołać do słów kardynała Basila Hume'a, innego wielkiego zwolennika i apologety ekumenizmu, który w jednej z homilii mówił, że „konieczne jest podjęcie nowej ewangelizacji Starego Kontynentu". Na czym musi polegać taka ewangelizacja według moderatora Ruchu „Europa Christi"?

Przypomnę hasło Ruchu „Europa Christi", które brzmi: „Chrześcijanie, policzmy się". Przecież nas, chrześcijan, są miliony, a pozwalamy, by rządziła nami garstka ateistów i uciekających od wiary liberałów. Właśnie dlatego w jedności chrześcijan jest szansa na ocalenie Europy. Może nas ocalić jedynie świadomość, że nasz kontynent jest zbudowany na fundamencie chrześcijańskim. W ramach Ruchu „Europa Christi" nie chcemy w żaden sposób formalizować naszych działań, pragniemy jedynie przypomnieć Dzieje Apostolskie i życie pierwszych chrześcijan. Przypomnieć, że Chrystus zmartwychwstał i jest z nami. Dlatego na każdym naszym spotkaniu mamy taki emblemat, puste krzesło z figurą Zmartwychwstałego. Jesteśmy przekonani, że ta wiara powinna być pogłębiona w Europie i dlatego powtarzamy: „Chrystus zmartwychwstał, jest z nami". Przypominał o tym Zbawiciel, który mówi: „Zmartwychwstałem i zawsze jestem z Tobą". Ta wiara w Jezusa Zmartwychwstałego powinna być ożywiona w Europie. Stary Kontynent dziś traci wiarę w zmartwychwstanie i ją pomija. Bardzo modne są w Europie krematoria, ludzi się pali, a przecież chrześcijaństwo bazuje na relikwiach, na obecności świętych. Proch jest znakiem zniszczenia i nicości. Chcemy odnowić i ożywić wiarę w wieczną perspektywę człowieka. Stąd hasło naszego Kongresu brzmi: „Europa Christi, Europa dwóch płuc, Europa Ewangelii, Prawdy i Pokoju". Musimy powrócić do prawdy. Dziś w Europie mówi się o przekazaniu treści, a nie przekazywaniu prawdy. My mówimy, że prawda jest rzeczą ważną i podstawową, a druga strona mówi, że żyjemy w czasach postprawdy, w której znaczenie mają tylko oderwane od prawdy „treści". A bez prawdy i Ewangelii nie ma pokoju, nie ma też przyszłości dla naszego kontynentu, który potrzebuje wiary w Zmartwychwstałego. Właśnie dlatego chcemy wyjednać paszport dla Jezusa Chrystusa we wszystkich państwach Europy. To jest cała nasza idea.

eprasa.pl c5acb31c1f

Unikatowe osiedle z Mieszkaniem+

Z Beatą Kuchcińską, głównym konsultantem projektów strategicznych w PFR Nieruchomości, Andrzejem M. Chołdzyńskim, architektem, prezesem biura AMC, i Michałem Tatjewskim, architektem i wspólnikiem w pracowni 22ARCHITEKCI – autorami projektu osiedla „Nowe Jeziorki" realizowanego w Warszawie w ramach programu Mieszkanie+, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Warszawskie „Nowe Jeziorki" to największa inwestycja mieszkaniowa, która powstaje w Polsce po 1989 r. PFR Nieruchomości planuje budowę prawie 3 tys. mieszkań. Na terenie osiedla ma zamieszkać prawie 10 tys. osób. Inwestycja zakłada budowę m.in. szkoły, przedszkoli, punktów opieki zdrowotnej, a także pełnej infrastruktury i wielu elementów tzw. smart city. Jak czytam w materiałach prasowych, celem inwestycji realizowanej w ramach programu Mieszkanie+ nie jest zapewnienie inwestorowi szybkiego zysku, ale wysokiej jakości zamieszkania w długiej perspektywie. Zapytam przewrotnie – czy nie za wysokiej? Program rządowy, podobnie jak kiedyś mieszkania socjalne, uruchamia taki mechanizm: miało być tanio, standardowo, a tu mamy „nowe miasteczko Wilanów"...

Beata Kuchcińska: Program Mieszkanie+, w części inwestycyjnej realizowany przez PFR Nieruchomości, ma na celu wyrównanie szans na rynku mieszkaniowym. Inwestycje kierujemy do tych rodzin, których nie stać na zakup mieszkania na rynku deweloperskim, a jednocześnie zarabiają zbyt dużo, by spełnić warunki przyznania mieszkania komunalnego czy socjalnego. To ok. 40 proc. Polaków. W tej grupie są zarówno rodziny z dziećmi, jak i młodzi single czy seniorzy.

„Nowe Jeziorki" to obecnie nasze największe przedsięwzięcie. Chcemy, by było to osiedle modelowe pod względem urbanistycznym i społecznym. Ta modelowość nie jest fanaberią – to konieczność!

Nie jesteśmy deweloperem, którego cel to jak najszybsza sprzedaż mieszkań i przeniesienie się na inną inwestycję. Nie budujemy osiedla widma. Zamiast sprzedawać mieszkania, będziemy je wynajmować lub wynajmować z opcją dojścia do własności. Aby zapewnić zwrot z inwestycji w długiej perspektywie, musimy odpowiedzieć na potrzeby mieszkańców, zadbać o zrównoważony charakter osiedla i wysoką jakość infrastruktury.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c5acb31c1f

Aby osiągnąć ten cel, ogłosiliśmy międzynarodowy konkurs architektoniczno-urbanistyczny. Spośród 48 zgłoszeń, w tym kilku międzynarodowych, sąd konkursowy wyłonił dwie pracownie, które wspólnie pracują nad finalnym projektem. Chcę podkreślić, że od początku tej inwestycji ściśle współpracujemy z m.st. Warszawa. Cieszę się, że nasz projekt jest spójny ze strategią rozwoju miasta i miejską polityką mieszkaniową. Miasto jest zatem zaangażowane w ten projekt zarówno koncepcyjnie, jak i w zakresie wsparcia realizacji inwestycji.

To jednak peryferia Warszawy. Nie za daleko od centrum?

Andrzej M. Chołdzyński: Osiedla autonomiczne, oddalone od centrum, to nic nowego – w większości wzorowane były na koncepcji jednostki społecznej czy miasta ogrodu Ebenezera Howarda. Takie osiedla powstawały już wokół Warszawy, ale też w Berlinie czy Paryżu. W tym przypadku planujemy osiedle z dużą ilością zieleni, w bezpośrednim sąsiedztwie podmiejskiej linii kolejowej i komunikacji miejskiej, co ogranicza potrzebę korzystania z samochodów. Zakładamy niski współczynnik miejsc parkingowych (pół miejsca na mieszkanie).

Tworzymy zatem w sposób ekologicznie odpowiedzialny. Domy pojawią się wśród nowych nasadzeń parku leśnego, w którym zintegrowany będzie m.in. układ stawów i retencji powierzchniowej wód opadowych, oraz z systemem gospodarowania wodą szarą. Najważniejsze wydaje się jednak nowatorskie potraktowanie pozyskiwania i wykorzystania energii – dążymy do zerowego lub ujemnego bilansu CO_2 dla całego osiedla. Lokalna gazowa elektrociepłownia kogeneracyjna dostarczać będzie ciepło i prąd, energia pozyskiwana też będzie z paneli fotowoltaicznych. Chcemy to wykorzystać m.in. do ładowania samochodów elektrycznych dostępnych w systemie car-sharing.

No tak, mamy tylko pół miejsca parkingowego na mieszkanie...

Beata Kuchcińska – ekspert z międzynarodowym doświadczeniem w dziedzinie budowlanej, deweloperskiej, inwestycji, konstrukcji budowlanych i infrastrukturalnych. Ukończyła studia inżynierskie na Uniwersytecie Zachodniej Australii. Zarządzała licznymi projektami budowlanymi na dużą skalę w Australii. Planowała i budowała nowoczesne, zrównoważone osiedla satelitarne na Pustyni Arabskiej w Dubaju oraz w Arabii Saudyjskiej. Do największych projektów, którymi zarządzała, zaliczane są Jumeirah Village oraz Arabian Canal 2 w Dubaju, a także Al Wasl w Rijadzie.

Andrzej M. Chołdzyński – jeden z najsłynniejszych, uznanych na świecie polskich architektów i urbanistów, współautor projektu m.in. Centrum Giełdowego w Warszawie, autor wielu stacji warszawskiego metra oraz kilkudziesięciu innych zrealizowanych projektów, nagradzanych w Polsce i za granicą. Prezes pracowni AMC, realizującej zwycięski projekt architektoniczny osiedla „Nowe Jeziorki".

Michał Tatjewski – architekt, wspólnik w pracowni 22ARCHITEKCI, która wygrała wspólnie z AMC konkurs na projekt osiedla „Nowe Jeziorki", współautor realizowanego także przez PFR Nieruchomości osiedla „Nowy Nikiszowiec" w Katowicach.

B.K.: Takie były propozycje miasta, którego celem jest przekonanie mieszkańców do rezygnacji z samochodu na rzecz komunikacji publicznej. Chcemy wpisać się w te założenia, ale też niczego nie narzucamy przyszłym najemcom. Planujemy np. elektryczny bus, którym ludzie będą mogli dojechać z całego osiedla do stacji kolejowej i autobusowej. Pojawi się też parking Park and Ride. Ruch samochodowy wyprowadzimy na obrzeża osiedla. Wewnątrz będą tereny zielone, skwery i szkoła.

A.M.C.: Moment, gdy ludzie zmieniają miejsce zamieszkania, jest doskonałą okazją do zmiany obyczajów, także komunikacyjnych. Dlatego projektowo dostarczamy mieszkańcom nową komunikacyjną ofertę – pociąg podmiejski, elektryczny samochód na wynajem, którym można dojechać do Warszawy i wrócić do domu, autobusy elektryczne do centrum. Zmiana naszych przyzwyczajeń nie może być opresją, ale możliwością skorzystania z pewnej zróżnicowanej oferty, dającej możliwość dokonania osobistego wyboru.

„Nowe Jeziorki" to niezwykle nowatorskie podejście do wykorzystania wody na osiedlu.

A.M.C.: Wykorzystamy wodę z opadów, która będzie gromadzona na terenie osiedla i użytkowana przez mieszkańców. Mamy też pomysły na zagospodarowanie tzw. wody szarej z pryszniców i umywalek. Po oczyszczeniu może służyć do kilku celów pejzażowych czy choćby spłukiwania w toaletach. Cały świat już zrozumiał, że woda jest naszym skarbem.

Oba projekty konkursowe miały podobny schemat kwartału składającego się z domu mieszkalnego na planie umiarowego prostokąta, z dziedzińcem, z niewielkim parkingiem przykrytym lekką konstrukcją zakładającą organizację na niej ogrodu – przestrzeni zielonej, by mieszkańcy mieli widok nie na parking, ale na ogród. Część ogrodów jest przeznaczona do użytku społecznego, gdzie sąsiedzi wspólnie nasadzą warzywa, owoce i kwiaty. Jest też miejsce na ogród rekreacyjny. Ten model przełożyliśmy na nasz wspólny projekt żyjący z przyrodą i dla przyrody.

Nowoczesne, ekologiczne osiedle mieszkań na wynajem? Projekt „Nowe Jeziorki" otrzymał wyróżnienie w konkursie Polskie Inwestycje Przyszłości w kategorii Dostępne osiedle podczas szczytu klimatycznego COP24 w Katowicach.

A.M.C.: Tę nagrodę odczytujemy jako zaproszenie dla wszystkich, którzy z nami współpracują, do wysiłku przełamywania wielu nawyków. Choćby właśnie sposobów na wykorzystanie wody opadowej, budowy lokalnej kogeneracyjnej elektrowni, uzyskania zerowego bilansu emisji CO_2.

Program mieszkań na wynajem z opcją dojścia do własności daje nowe możliwości. Przez ponad 30 lat

eprasa.pl c5acb31c1f

to PFR Nieruchomości ma być właścicielem takiego osiedla – będzie miał wpływ także na to, co będzie się działo w przestrzeni pejzażowej i lokalnej społeczności. Zakładamy zatem, że na tym osiedlu uda się zachować pewną równowagę wiekową – będą ludzie młodzi, rodziny z dziećmi i seniorzy. Powstanie wspólnota wielopokoleniowa. Nie wszyscy zatem będą rano wyjeżdżać do centrum Warszawy, do pracy – część mieszkańców zostanie na miejscu.

Stąd w projekcie usługi, szkoła, przedszkole, mały handel...

A.M.C.: Wszystkie partery są przeznaczone na usługi – handlowe i społeczne. Planujemy też tzw. przestrzenie socjalne, miejsca spotkań dla wspólnoty, bibliotekę. To okazja także do tego, by serce osiedla stało się miejscem rekreacyjnym z dostępnymi dla mieszkańców boiskami.

B.K.: Stąd też elementy smart city. Użyte zostaną technologie pozwalające na obniżenie kosztów użytkowania, ale również w celu monitoringu – wykorzystania energii, wody i zapewnienia mieszkańcom bezpieczeństwa, sprawnej administracji. Szukamy najnowocześniejszych rozwiązań technologicznych, włącznie z aplikacjami pozwalającymi mieszkańcom komunikować się i organizować.

Michał Tatjewski: Projekt jest tak pomyślany, by można było go łatwo adaptować do zmieniających się potrzeb i warunków. Jeśli za kilka lat okaże się, że przestrzeń parkingowa nie jest niezbędna, w łatwy sposób powstaną przestrzeń usługowa czy miejsca spotkań.

Takie autonomiczne osiedla niosą też pewne niebezpieczeństwo zamknięcia tej społeczności, stworzenia sypialni dla pracowników z miasta.

B.K.: „Nowe Jeziorki" na pewno nie będą sypialnią. To modelowe osiedle, ale też pilotażowe – chcemy, by stało się wzorem dla kolejnych inwestycji satelitarnych. To osiedle, na którym mieszkańcy będą mogli dojść pieszo do wszystkich podstawowych usług, bez konieczności używania samochodu.

M.T.: Warto zwrócić uwagę na element dostępności, rozumianej na wielu poziomach. Od dostępności finansowej aż po dostępność komunikacyjną i usługową – mieszkańcy osiedla będą mieli zapewniony szeroki wachlarz usług, handlu czy gastronomii – ale też szkołę, przedszkola lub żłobki na miejscu. Ponadto, dzięki sąsiedztwu stacji szybkiej kolei miejskiej, szybki i bezpieczny dostęp do centrum stolicy czy jej dzielnic biurowych.

A.M.C.: To będzie osiedle otwarte także dla mieszkańców okolicznych miejscowości, którzy tu będą robić zakupy, tu będą się przesiadać na komunikację miejską czy do pociągu. Prawie 10 tys. mkw. powierzchni użytkowej, handlowej i usługowej w parterach budynków – to oznacza, że wielu mieszkańców osiedla i okolicy znajdzie tu pracę. To element budujący wspólnotę oraz synergię z sąsiadami. Wracam do Ebenezera Howarda, który wskazywał, że jednostka sąsiedzka nie powinna przekraczać 8–10 tys. mieszkańców. Tak jest w przypadku projektu „Nowe Jeziorki". Chodzi też o to, by miasto rozwijało się poprzez takie struktury gniazdowe, budujące lokalne społeczności.

Chorobą polskiego pejzażu jest brak strukturalnych granic między miastem, przedmieściem a wsią. Powstają rozlane miasta. A nam zależy na budowaniu niewielkich, otwartych społeczności, jeśli to tylko możliwe – ulokowanych w naturalnym biotopie i pejzażu, współpracujących z sobą, acz morfologicznie odrębnych.

Wydaje się, że państwo wreszcie zabiera głos w urbanistyce, w tworzeniu miejsc zamieszkania i warunków życia obywateli. To ważny temat społeczny i kulturowy, w innych krajach Europy rozwijany od dziesięcioleci.

Mieliśmy rozmawiać o projekcie osiedla, a rozmawiamy o ludziach.

A.M.C.: Bo to jest o ludziach. To jest o tym, że ludzie w naturalnym, lokalnym pejzażu ogrodu leśnego z naturalnymi jeziorkami – bo to przecież „Nowe Jeziorki" – mieszkają, aspirują do dobrego życia. Mogą połączyć wszystkie elementy rozwoju cywilizacyjnego z tradycyjnymi wartościami przyrody, wyciszenia i kontaktu z samym sobą oraz między sobą.

M.T.: I nie będą spędzać kilku godzin w korkach – wierzę, że w ten sposób zyskają czas dla siebie i najbliższych właśnie w miejscu zamieszkania.

Osiedle „Nowe Jeziorki" – modelowa inwestycja przygotowywana jest w ramach programu Mieszkanie+ przy ul. Karczunkowskiej w Warszawie. Obecnie trwa opracowywanie dokumentacji projektowej, przewidywany termin rozpoczęcia robót budowlanych to trzeci kwartał 2019 r.

eprasa.pl c5acb31c1f

Hit tygodnia

Doogee S80

Doogee S80 to model dla miłośników surwiwalu oraz osób uprawiających sporty ekstremalne. Doskonale sprawdzi się również jako smartfon dla profesjonalistów pracujących na co dzień w trudnych warunkach zewnętrznych. Obudowę smartfona wykonano z wysokiej jakości plastiku, zaś ramkę zrobiono ze stopu aluminium. Obraz wyświetlany jest na ekranie 5.99 cala o proporcjach 18:9 i rozdzielczości Full HD+. Pokryto go wytrzymałym szkłem Corning Gorilla Glass 4. Ekran może być obsługiwany także w rękawiczkach. Smartfon spełnia normy wytrzymałości IP68, IP69K oraz militarnego standardu certyfikacji MIL-STD-810G. Urządzenie jest odporne na kurz i wodę (może leżeć zanurzone na głębokości 1,5 m przez dwa tygodnie), a także pracować w szerokim zakresie temperatur od -30 do +60 stopni Celsjusza. Doogee S80 wyposażony jest w procesor Mediatek Helio P23 o taktowaniu 2,5 GHz. Za obsługę grafiki odpowiada chip GPU Mali G71-MP2. Smartfon działa pod kontrolą systemu Android 8.1, dysponuje 6 GB pamięci RAM i 64 GB pamięci wewnętrznej, można też wykorzystać kartę pamięci typu micro SD o maksymalnej pojemności 128 GB. Doogee S80 wyposażony jest w wydajną baterię o pojemności 10 080 mAh, która zapewnia 1 380 godzin czuwania i 136 godzin rozmów. Przednia kamera telefonu ma 16-megapikselową matrycę. Z tyłu znajduje się podwójny aparat Sony 12 + 5 MP. Doogee S80 wyposażony jest w funkcję cyfrowej krótkofalówki.

Premiera

Plusy i minusy

+ solidna konstrukcja z solidnymi parametrami podzespołów
– telefon bez „wodotrysków", raczej nie zadowoli zwolenników technicznych nowinek

Razer Blade 15

– limitowana edycja Mercury White

Nowa limitowana edycja Mercury White laptopa Razer Blade 15 oferuje estetykę zupełnie inną od reszty laptopów gamingowych. Laptop będzie charakteryzował się białym, matowym wykończeniem z czarnymi portami USB i niepodświetlanym, kontrastującym logo Razera (oryginalnie seria Blade kojarzona była z czarnym matowym wykończeniem, zielonymi portami USB oraz podświetlanym logo Razera na obudowie). Razer Blade 15 wyróżnia się na tle innych laptopów innowacyjnym systemem chłodzenia opartym na komorze parowej, indywidualnie podświetlanymi klawiszami w palecie kolorów RGB oraz kompaktową obudową z aluminium CNC. Dzięki procesorowi Intel Core i7 ósmej generacji oraz karcie graficznej NVIDIA GeForce GTX 1060 albo 1070 Max-Q daje on pewność wyrównanej rywalizacji na turniejach e-sportowych z największą możliwą gamingową wydajnością. Limitowana liczba egzemplarzy jest dostępna od w czwartego kwartału 2018 r.

Cena: ok. 10 tys. zł

Vordon 7" Truck

Nawigacja Vordon 7" Truck została stworzona z myślą o kierowcach ciężarówek. Sprawdzi się także w autokarach i dużych busach. Wielki ekran LCD o przekątnej 7 cali zapewnia doskonałą czytelność map. W pamięci nawigacji Vordon 7" Truck zainstalowany został zestaw szczegółowych map całej Europy z darmową, dożywotnią ich aktualizacją. Nie zabrakło także bazy stałych fotoradarów. Vordon 7" Truck wzbogacony został o funkcje niezbędne w największych nawet pojazdach: system kontroli dopuszczalnego nacisku na oś oraz kontrolę wysokości pojazdu. Dzięki temu, że Vordon 7" Truck jest w pełni odblokowany, bardziej zaawansowani użytkownicy mogą doinstalować inne systemy nawigacyjne, takie jak AutoMapa, iGO czy TomTom. Urządzenie ma też złącze Bluetooth, które pozwala na wykorzystanie nawigacji jako zestawu głośnomówiącego.

Cena: 429 zł

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl c5acb31c1f

Płace w Polsce muszą rosnąć

Fot. Shutterstock

Nie warto mieć węża w kieszeni, jeśli poważnie myślimy o zrealizowaniu niezbędnych inwestycji prorozwojowych, utrzymaniu tempa wzrostu PKB na poziomie 4–5 proc. oraz wysokiej konsumpcji napędzającej w naszym kraju wzrost gospodarczy

JANUSZ SZEWCZAK

Przy wysokim wzroście PKB (5 proc.), niskim i spadającym jeszcze bezrobociu (według Eurostatu liczącym – 3,8 proc., według GUS – 5,9 proc.) płace w Polsce muszą dalej rosnąć, czy to się komuś podoba, czy nie. Robotyzacja, cyfryzacja, a nawet innowacje technologiczne procesu tego na razie nie zablokują. Napływ nowych rąk do pracy, zwłaszcza zza wschodniej granicy, już nie przyspieszy, a jesteśmy w przededniu nie tylko dokończenia projektów infrastrukturalnych w oparciu o środki pomocowe Unii Europejskiej jeszcze ze starego budżetu. Przed nami bowiem wielkie inwestycje publiczne, takie jak CPK, przekop Mierzei Wiślanej, rozbudowa portów.

Tymczasem obecnie mamy w Polsce ponad 200 tys. nieobsadzonych miejsc pracy, blisko 20 proc. zawodów jest skrajnie deficytowych pod względem pracowników (m.in. budownictwo, produkcja, transport, usługi, a nawet kadra urzędnicza). Ci najbardziej poszukiwani pracownicy

eprasa.pl c5acb31c1f

to budowlańcy, kierowcy, handlowcy, pielęgniarki, lekarze, ale i kucharze, księgowi, opiekunowie osób starszych, w nadmiarze są o dziwo tylko ekonomiści.

Zależność pomiędzy poziomem płac i bezrobociem znana jest jako krzywa Phillipsa, inna zależność ekonomiczna mówi, że jeśli wynagrodzenia rosną, to ludzie znacznie chętniej i więcej wydają, a wydatki konsumpcyjne napędzają koniunkturę gospodarczą, sprzedaż detaliczną, dochody podatkowe, zwłaszcza te z VAT. Jeśli nas stać, to chętniej kupujemy, konsumujemy i napędzamy wzrost PKB, przy czym inflacja w kraju rośnie nieznacznie – w grudniu 2018 r. niewiele ponad 1 proc., na 2019 r. planowany wzrost to 2,3 proc. Ponieważ wyniki finansowe, gospodarcze i budżetowe w Polsce za 2018 r. okazały się wręcz sensacyjnie pozytywne: nadwyżka pierwotna w budżecie przy niewielkim (ok. 10 mld zł) deficycie, kilkudziesięciu miliardach więcej dochodów podatkowych i 5-procentowym wzroście PKB, to nic dziwnego, że rosną apetyty społeczne na wzrost wynagrodzeń. I, jak to trafnie zauważa publicysta „GPC" Krzysztof Wołodźko: „Ludzie mówią: sprawdzam. Gdy idzie o wynagrodzenia, ludzie protestują i żądają podwyżek nie tylko wtedy i nie głównie wtedy, gdy się pogarsza, lecz właśnie gdy się wyraźnie poprawia sytuacja gospodarcza państwa".

Tanie państwo z reguły okazuje się albo państwem dziadowskim, albo państwem teoretycznym, słabym i bezradnym wobec silnych i wpływowych lobby, wielkich koncernów i banków. Dziś jakość i nowoczesność, ale i produktywność kosztuje wszędzie, zwłaszcza wówczas, gdy coraz wyraźniej mamy do czynienia z tzw. rynkiem pracownika. Dobry pracownik coraz bardziej jest poszukiwany, a to oznacza, że powinien być także dobrze wynagradzany, a z tym mamy jeszcze w kraju poważny problem.

Rząd Prawa i Sprawiedliwości przez ostatnie trzy lata systematycznie podnosi wynagrodzenia – m.in. podwyższył tzw. płacę minimalną do poziomu 2250 zł i 14,70 zł za godzinę, która za rządów PO-PSL (w 2007 r.) wynosiła niewiele ponad 1,1 tys. zł. Nadal jednak blisko 1,5 mln polskich pracowników zarabia w granicach płacy minimalnej, czyli netto ok. 1,5 tys. zł. Choć przeciętne wynagrodzenie brutto wynosi dziś w kraju ok. 5 tys. zł, to już w handlu detalicznym sięga 3,5 tys. zł, z kolei w sektorze bankowym mediana średnich zarobków to 6–6,5 tys. zł brutto. To prawdziwe, realne, średnie wynagrodzenie w Polsce wynosi zaledwie 2,5 do 3,5 tys. zł brutto, a więc jesteśmy prawie na końcu unijnej stawki, wyprzedzając Litwę, Łotwę, Estonię, Bułgarię i Rumunię.

Mimo wzrostu płac w 2018 r. – według GUS średnio na poziomie 6,1 proc., a w grudniu 2018 r. ze względu na premie i trzynastki nawet 7,7 proc. – podwyżki te nie zaspokajają aspiracji polskich pracowników. Tym bardziej że kto nie myśli poważnie i perspektywicznie o wzroście płac również w administracji i tzw. budżetówce, ten naraża nas na funkcjonowanie państwa byle jakiego. Wbrew pozorom nie tylko od przedsiębiorców i podatników, lecz w dużej mierze od satysfakcji płacowej pracowników sektora administracji publicznej zależy jakość naszego państwa i standard życia obywateli. Dzisiejsze zaś płace na poziomie 2,5–3,5 tys. zł brutto i rosnąca liczba odejść oraz wakatów tego niestety nie gwarantują. Stąd też coraz ostrzejszy ton i pretensje NSZZ „S", zapowiadane protesty oraz rosnące żądania płacowe w różnych branżach.

W budżecie na 2019 r. rząd zaproponował wzrost funduszu wynagrodzeń na poziomie 6 proc., a wzrost spożycia prywatnego o 5,9 proc., dochody zaś z PIT mają wynieść 64 mld zł, a wraz z samorządami 120 mld zł. Na sam wzrost płac pracowników w sferze budżetowej przeznaczono dodatkowo 2,3 mld zł, tzw. minimalny wzrost przeciętnego wynagrodzenia zaplanowano na poziomie 4,7 proc. brutto, a w sektorze przedsiębiorstw – 5,3 proc brutto. Pytanie, czy będzie to wystarczające i satysfakcjonujące, zwłaszcza że jesteśmy w roku wyborczym.

Blisko 70–80 proc. pracodawców w Polsce chce zwiększyć zatrudnienie, a blisko 60 proc. planuje podwyżki wynagrodzeń, nadal jednak mają poważne problemy ze znalezieniem odpowiednich pracowników. Efekty rosnących wynagrodzeń widać nie tylko we wzroście dochodów podatkowych z PIT (aż o 15 proc. w 2018 r.), lecz również w fakcie, że do ZUS w ubiegłym roku wpłynęło aż o 20 mld zł więcej składek, a w 2019 r. wpływy te mają osiągnąć poziom 185 mld zł.

> Rząd PiS przez ostatnie trzy lata systematycznie podnosi wynagrodzenia. Nadal jednak blisko 1,5 mln polskich pracowników zarabia w granicach płacy minimalnej, czyli netto ok. 1,5 tys. zł

Mimo znaczących prób podwyżek wynagrodzeń w Polsce w ostatnich trzech latach nadal jednak nasze płace są 3–4-krotnie niższe niż w większości krajów starej Unii. Przy obecnym tempie i poziomie wzrostu płac (5–7 proc. rocznie) musielibyśmy gonić poziom wynagrodzeń w Niemczech, Holandii czy Francji przez 60–70 lat, a tyle cierpliwości polscy pracownicy nie mają.

Do 2030 r. Polska ma wydać na infrastrukturę setki miliardów złotych, w tym na energetykę konwencjonalną ok. 70 mld zł, na ewentualną budowę elektrowni atomowej ok. 100 mld zł, na drogi i koleje ponad 100 mld zł, tylko na nowe przetargi drogowe w 2019 r. ok. 20 mld zł. Ktoś musi to przecież zrealizować. Nie warto więc mieć węża w kieszeni, jeśli poważnie myślimy o zrealizowaniu niezbędnych inwestycji prorozwojowych, utrzymaniu tempa wzrostu PKB na poziomie 4–5 proc. oraz wysokiej konsumpcji napędzającej w naszym kraju wzrost gospodarczy.

Obok coraz ostrzejszych i bardziej brutalnych emocji politycznych i wyborczych to właśnie kwestia wynagrodzeń będzie główną osią sporu społecznego z władzą i trzeba będzie niezwykle umiejętnie działać w tej sferze – w sposób wyprzedzający i w ramach dialogu społecznego – by nie doprowadzić do zaostrzania konfrontacji, ale i zastoju gospodarczego.

eprasa.pl c5acb31c1f

PWPW podbija świat

Czas na podsumowanie roku 2018. To był naprawdę dobry rok dla działalności eksportowej Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Wartość eksportu spółki wzrosła w tym czasie aż dwukrotnie. Wytwórnia wzmocniła swoją pozycję na rynku Ameryki Południowej i Środkowej: w 2018 r. wartość kontraktów realizowanych w tamtym regionie była wyższa niż wartość kontraktów z państwami europejskimi

13/1118/F

Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych – nadzorowana przez ministra spraw wewnętrznych i administracji – pełni kluczową funkcję w systemie bezpieczeństwa naszego kraju. Jest narodowym producentem druków zabezpieczonych, takich jak banknoty, paszporty, wizy, znaczki, banderole akcyzowe, a także tachografy cyfrowe, karty ID oraz systemy IT służące do obsługi dokumentów identyfikacyjnych.

Oferta Wytwórni jest atrakcyjna dla państw z całego świata. Wiele z nich nie ma własnych producentów druków zabezpieczonych ani systemów IT związanych z bezpieczeństwem funkcjonowania systemów państwa. Technologie i procedury PWPW dotyczące jakości są na najwyższym światowym poziomie, co pozwala Wytwórni konkurować pod tym względem praktycznie z każdą firmą na świecie. Dlatego najwyższej klasy rozwiązania stworzone przez PWPW są kupowane przez rządy i banki centralne innych państw.

– Większość kontraktów PWPW jest tajna. Mogę jednak powiedzieć, że w 2018 r. PWPW podwoiła wartość swojego eksportu w porównaniu z rokiem 2017. Największe nowe kontrakty PWPW pozyskała w drugiej połowie 2018 r. w Ameryce Południowej i Środkowej, która jest strategicznym kierunkiem ekspansji międzynarodowej PWPW – mówi Janusz Kowalski, odpowiedzialny za eksport członek zarządu PWPW.

Rok 2018 okazał się dla Wytwórni wielkim przełomem na polu eksportu. Jednym z sukcesów jest realizacja kontraktów banknotowych dla Hondurasu, Paragwaju i Dominikany. W sierpniu zeszłego roku PWPW

eprasa.pl c5acb31c1f

podpisała z Banco de Guatemala największą od sześciu lat umowę na produkcję banknotów o nominałach 5 i 10 quetzali. Wyprodukowała również 170 mln sztuk banknotów dla Hondurasu oraz 55 mln sztuk banknotów dla Dominikany. Południowoamerykańscy klienci Wytwórni otrzymali kompleksową usługę: od podłoża wyprodukowanego we własnej papierni, przez druk i konfekcjonowanie, po dostawę.

– Eksport jest dla PWPW strategicznym kierunkiem działania. Dlatego uważnie śledzimy światowe trendy technologiczne oraz nieustannie inwestujemy w rozwój parku maszynowego. To sprawia, że pod względem jakości oraz innowacyjności rozwiązań możemy konkurować z wiodącymi firmami z obszaru security printing. Od kilku lat działania PWPW w tym zakresie są skoncentrowane na krajach Ameryki Środkowej i Południowej. Możemy już śmiało powiedzieć, że PWPW zbudowała na tamtejszych rynkach silną markę – mówi Maciej Biernat, prezes zarządu PWPW.

Na swoją obecną markę PWPW pracowała od momentu nawiązania pierwszych kontaktów na rynku amerykańskim prawie 10 lat temu. Zaowocowało to podpisaniem pierwszego kontraktu w 2011 r. z Paragwajem. Pomyślna realizacja pierwszego kontraktu pozwoliła na uzyskanie referencji z regionu oraz ubieganie się o kolejne zamówienia. Przez tę dekadę Wytwórnia dała się poznać jako stabilny, wiarygodny i rzetelny producent oraz dostawca produktów kluczowych dla funkcjonowania i bezpieczeństwa każdego państwa. Głównym towarem eksportowym w Ameryce Łacińskiej są przede wszystkim banknoty, ale także dokumenty identyfikacyjne, takie jak paszporty.

– Po osiągnięciu tak znaczącej pozycji w regionie możemy sobie pozwolić na tworzenie produktów dedykowanych dla niego, takich jak opracowane przez nasze R&D podłoże syntetyczne preferowane przez klientów z Ameryki Południowej i Środkowej ze względu na wilgotny klimat. Każda dostawa nowego produktu na te rynki, z nowymi cechami czy zabezpieczeniami, pozwala nam na zdobycie doświadczenia i oferowanie nowych, już sprawdzonych rozwiązań, również na rynku polskim – wyjaśnia Janusz Kowalski.

Egzotyczne rynki w 2018 r. przyniosły Wytwórni większą wartość kontraktów niż te z regionu europejskiego. Jednak i w Europie PWPW cieszy się niesłabnącą renomą. Głównymi odbiorcami na naszym kontynencie są Litwa, Turcja, Francja, Portugalia oraz Islandia.

– Powodem do szczególnej satysfakcji było dla nas podpisanie wieloletniej umowy na dostawy elektronicznych paszportów i e-dowodów dla Islandii. Cieszy nas, że zostaliśmy docenieni przez państwo wysoko rozwinięte w dziedzinie technologii cyfrowych. Rozszerzamy także sprzedaż tachografów cyfrowych: w 2018 r. pozyskaliśmy nowe zamówienia dla Gruzji i Cypru, a kontynuowaliśmy współpracę w tym zakresie z Armenią i Azerbejdżanem – mówi Janusz Kowalski.

Wytwórnia od lat produkuje wklejki paszportowe i wizowe dla Turcji, w ubiegłym roku dostarczyła legitymacje dla policji. Jest również dostawcą systemów informatycznych służących do obsługi dokumentów identyfikacyjnych. Na zamówienie Armenii PWPW zaprojektowała bardzo zaawansowany system biometryczny – w całości powstał on w Polsce.

Perspektywicznymi dla PWPW rynkami są również Afryka i Azja. Pod koniec ubiegłego roku przedstawiciele PWPW brali udział w konferencji w Zimbabwe. Spotkali się tam z przedstawicielami prawie 20 banków centralnych i kilku lokalnych przedsiębiorstw o profilu zbliżonym do PWPW. Z tego regionu docierają liczne zapytania, a nawet pojawiają się już pierwsze kontrakty, np. na produkcję banknotu kolekcjonerskiego dla Dżibuti w Afryce.

Sprzedaż zagraniczna jest dla PWPW jednym z najistotniejszych kierunków rozwoju. Dlatego wiele działań badawczo-rozwojowych oraz inwestycji w rozbudowę parku maszynowego jest realizowana z myślą o eksporcie. Wytwórnia ma również silny zespół eksportowy – kluczowym aspektem biznesu są przecież relacje. Dedykowany zespół handlowy nie tylko płynnie mówi w miejscowyhc językach, lecz również dobrze zna kulturę i tradycje regionu, co jest niezbędne do osiągnięcia właściwego poziomu relacji z klientami.

eprasa.pl c5acb31c1f

Kolej patriotyczna służy rozwojowi państwa

Fot. PKP | 112/0119/F

Wspieranie polskich producentów, współpraca z NCBR przy opracowywaniu i wprowadzaniu nowoczesnych rozwiązań, wyciąganie wniosków z przeszłości i służba pasażerom – na to przede wszystkim zwracali uwagę uczestnicy debaty pod tytułem „Kolej patriotyczna" podczas styczniowego I Kongresu Rozwoju Kolei, który się odbył w Warszawie

Jak mówił podczas kongresu Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury, kolej przede wszystkim powinna spełniać swoją podstawową funkcję – służyć pasażerom i świadczyć usługi transportowe.

– Patriotyczna kolej realizuje m.in. przywracanie pamięci twórcom narodowym, mam tu na myśli chociażby Stanisława Moniuszkę, a także ma za zadanie w sposób szczególny wpływać na rozwój gospodarki państwa. To patriotyzm nowocześnie postrzegany, to patriotyzm gospodarczy – powiedział.

Jak dodał obecny podczas debaty Michał Woś, wicemarszałek województwa śląskiego: – Na kolej trzeba patrzeć z perspektywy realizacji zadań publicznych.

– Biznesowo również, ale trzeba patrzeć na to, jak na usługę publiczną. Trzeba myśleć w ten sposób, że zadaniem kolei jest służba społeczeństwu np. w ogólnopolskim wymiarze, gdzie kolej zaangażowała się w obchody 100-lecia odzyskania niepodległości.

Szef resortu infrastruktury wspomniał przy tej okazji o tym, że „w latach 90. poważnie mówiono o sprzedaży, o komercjalizacji PKP Intercity, a okazuje się, że państwową firmą także można skutecznie zarządzać".

– Mam nadzieję, że ówczesny sposób myślenia, że trzeba oszczędzać, że może pojawi się w końcu ktoś, kto tym biznesem się zajmie, odszedł do przeszłości. Powinniśmy wyciągać wnioski z prze-

eprasa.pl c5acb31c1f

szłości, moderując przyszłość – powiedział minister Adamczyk.

Jarosław Oniszczuk, członek zarządu PKP Intercity, podkreślił, że „patriotyzm to dbanie o strategię prowadzoną przez państwo".

– Cieszymy się, że jako PKP Intercity w zeszłym roku zakontraktowaliśmy umowy na dostawy nowego i modernizację już przez nas posiadanego taboru głównie z polskimi producentami, m.in. firmami PESA Bydgoszcz, Newag czy H. Cegielski – Fabryka Pojazdów Szynowych. Duże zamówienia ze strony przewoźnika to pewność stabilnego rozwoju polskich producentów i możliwość planowania pracy na rzecz naszej spółki w długiej perspektywie czasowej. Tym samym zwiększają się i rozwijają kompetencje polskich producentów, co stwarza również szanse na wychodzenie z gotowymi rozwiązaniami na rynki europejskie – zaznaczył Oniszczuk.

Jak mówił Hubert Stępniewicz, prezes H. Cegielski – FPS: –Dla nas patriotyzm ma wymiar gospodarczy, a co za tym idzie, rozwijanie know-how, rozwój przewoźników i firm, które świadczą tym przewoźnikom usługi.

Minister infrastruktury wskazał różnice między tym, co było w przeszłości, a tym, jak wygląda sytuacja teraz. Mówił, że „jest zdecydowanie lepiej, niż było trzy lata temu, bo została dana szansa polskim producentom na ich własny rozwój. I to jest właśnie ta patriotyczna kolej. Nawet rozwój, którego efektem ma być np. kolej dużych prędkości, także ma wymiar patriotyczny. Np. planujemy, aby w 4 do 5 godzin można było przejechać pociągiem z Warszawy do Budapesztu, i to także ma ten wymiar, bo pociąga za sobą rozwój polskiej kolei". Wymieniał polskich producentów pracujących na potrzeby kolejnictwa.

Uzasadniając potrzebę dokonywania zakupów właśnie u krajowych przedsiębiorców, mówił: – Korzystamy z produktów krajowych, np. firma Newag produkuje nowoczesne lokomotywy Dragon, które mają w sobie zainstalowane elementy, będące dziełem naszych naukowców, młodych inżynierów. I dlatego, że jest to polska, nowoczesna lokomotywa, to powinniśmy właśnie plany zakupowe oprzeć na takich produktach. Mam tu na myśli PKP Intercity czy PKP Cargo.

Stawiając retoryczne pytania, wymienił zakłady Cegielskiego, pytając, „czy mamy szukać kooperantów w modernizacji wagonów, czy skoncentrować uwagę tam, gdzie stosuje się nowoczesne technologie nieodbiegające od standardów europejskich? Kolejną jest Pesa Bydgoszcz, czy dajemy szanse naszym producentom, żeby rozwijali skrzydła, żeby mogli wychodzić poza granice?".

Dodał, że polscy inżynierowie są w stanie wprowadzać nowoczesne rozwiązania, rozwijając ten potencjał m.in. poprzez zamówienia. Jak zaznaczył szef zakładów Cegielskiego, produkty poznańskiej firmy w pełni spełniają kryteria, jeśli chodzi o nowoczesność wagonów.

– Producentom krajowym potrzebne są możliwości, które stwarzają zamówienia. Silny rozwój polskich producentów to tak naprawdę ostatnie 10 lat. Jak dodał, rozwój nowego produktu to koszt rzędu od kilkudziesięciu do 100 mln zł, a przedsiębiorca musi te środki na rozwój posiadać – mówił Stępniewicz.

Jak dodał członek zarządu PKP Intercity Jarosław Oniszczuk, już teraz podpisane są kontrakty na ponad 20 lokomotyw i „mamy nadzieję, że pierwsze pojazdy trafią do nas już w tym roku. Dbamy o nowe, innowacyjne produkty, które będą służyć pasażerom. W lutym ubiegłego roku podpisaliśmy umowę o współpracy z NCBR na projektowanie nowoczesnego taboru. Obecnie prowadzimy w tej sprawie dialog techniczny z producentami".

Maciej Martyniuk, dyrektor działu rozwoju innowacyjnych metod zarządzania w NCBR, podkreślił, że intencją współpracy z PKP jest sprawdzenie tego, jakie pojawiają się nowoczesne rozwiązania i „w jaki sposób można to zrobić. Np. poszukiwanie możliwości dokonywania odpraw bagażu dla pasażerów, którzy z pociągu mieliby się przesiąść do samolotu".

Nawiązał tym samym do pomysłu powstania Centralnego Portu Komunikacyjnego, którego kolej ma być nieodłącznym elementem. Podkreślając nowoczesność krajowych producentów, Stępniewicz dodał, że „jesteśmy w stanie stanąć w szranki z największymi konkurentami. Możemy zaoferować produkt cenowo konkurencyjny".

Według Oniszczuka poza głównymi producentami pracującymi na potrzeby transportu kolejowego trzeba pamiętać o tym, że za inwestycjami PKP stoi także rozwój mniejszych firm. Jak dodał, „trzeba wspomnieć o podwykonawcach, a w 80 proc. są to polskie firmy, które są głównymi dostawcami komponentów".

Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego, zwracając uwagę na status transportu kolejowego, zaznaczył, że tworzenie infrastruktury jest konieczne do prowadzenia biznesu i bogacenia się.

– Bez infrastruktury rozwój nie jest możliwy. Kolej jest elementem łączenia regionów. Oprócz tego kolej jest ekologicznym narzędziem transportu – mówił Roszkowski.

Wicemarszałek województwa śląskiego dodał, że kolej „musi wpisywać się w całą infrastrukturę, także tę regionalną".

Uczestnicy debaty odnieśli się także do pomysłu powołania holdingu, którego powstanie ma zwiększyć efektywność Grupy PKP. Jak mówił Adamczyk, „powstanie holdingu PKP to nie jest powrót do czasu sprzed lat 90. To holding spółek kolejowych, które mają przede wszystkim prowadzić ścisłą, ekonomiczną współpracę. Konsolidacja to także pojęcie patriotycznej kolei". Według Oniszczuka „holding to przede wszystkim szansa na szybszy i nowocześniejszy rozwój. To możliwość obniżenia kosztów. Dzisiaj zdarza się, że w wielu spółkach prowadzone są te same działania, które w przypadku holdingu nie będą musiały się dublować". Także prezes zakładów H. Cegielskiego zadeklarował wsparcie dla pomysłu powołania holdingu, pod warunkiem jednak, że przełoży się to na wzrost ekonomiczny.

Jak mówił Stępniewicz, „jeżeli powstanie holdingu będzie się przekładać na zwiększenie zamówień i rozwój biznesowy, to jak najbardziej będziemy ten proces wspierać". Podsumowując debatę, jej uczestnicy uznali, że kolej patriotyczna to kolej innowacyjna, silna technologicznie i myśląca o pasażerach, która przyczynia się do rozwoju gospodarczego państwa.

(rob)

eprasa.pl c5acb31c1f

Zielone i czyste miasta.

NFOŚiGW finansuje poprawę jakości życia w ośrodkach miejskich

Prawie 900 mln zł z Funduszu Spójności przeznaczył Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na 155 przedsięwzięć poprawiających jakość środowiska miejskiego. Zadania te są realizowane w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko (POIiŚ 2014–2020)

Głównym celem działania 2.5 „Poprawa jakości życia w miastach" POIiŚ 2014–2020 jest zahamowanie spadku powierzchni terenów zieleni w miastach. Zostanie to osiągnięte dzięki zwiększeniu powierzchni terenów zielonych w miastach, powstałych poprzez rekultywację terenów zdegradowanych działalnością człowieka i remediację terenów zanieczyszczonych. Koncentracja ludności na obszarach miejskich sprawia, że kwestie ochrony środowiska są w ich przypadku szczególnie ważne. Tym bardziej że mają kluczowe znaczenie także dla zdrowia ludzkiego. Do zagrożeń, z jakimi borykają się mieszkańcy obszarów zurbanizowanych, zalicza się występowanie obszarów zdegradowanych oraz niewystarczający udział obszarów zieleni w ogólnej powierzchni miast.

Beneficjentami wsparcia mogą być jednostki samorządu terytorialnego lub ich związki, podmioty świadczące usługi publiczne w ramach realizacji obowiązków własnych gmin, regionalne dyrekcje ochrony środowiska oraz regionalne zarządy gospodarki wodnej.

W ramach działania wyszczególnione zostały trzy typy projektów:

- wsparcie dla zanieczyszczonych lub zdegradowanych terenów,
- rozwój terenów zielonych w miastach i ich obszarach funkcjonalnych,
- inwentaryzacja terenów zdegradowanych i terenów zanieczyszczonych.

Wsparcie dla pierwszego typu projektów skierowane jest przede wszystkim na rekultywację na cele środowiskowe obszarów zdegradowanych oraz remediację terenów zanieczyszczonych skutkującą usunięciem zagrożenia z ich strony dla zdrowia ludzi i środowiska. Dofinansowanie objąć może również działania prowadzące do poprawy bądź przywrócenia biologicznej aktywności zdegradowanych i zanieczyszczonych akwenów w miastach. Finansowanie działań związanych z rekultywacją i remediacją dotyczy również docelowego zagospodarowania terenu, w szczególności nasadzeń i utworzenia całorocznych akwenów.

Przedsięwzięcia dofinansowane w ramach drugiego typu projektów realizowane są w miastach i ich strefach funkcjonalnych na gruntach niezdegradowanych, niezagospodarowanych lub których sposób zagospodarowania ulega zmianie na tereny zieleni. Projekty dotyczą m.in. tworzenia i odnowienia parków i skwerów, klinów zieleni ciągnących się z obrzeży do centrum miast i stref przewietrzania miast. Ponadto mogą być tworzone lub odnawiane tzw. zielone ściany, połączenia między istniejącymi terenami zieleni oraz zieleń przyuliczna – szczególnie w obszarach śródmiejskich.

W trakcie realizacji projektów dopuszczalne jest również sfinansowanie elementów dodatkowych. Takich jak infrastruktura do udostępniania zieleni oraz – jeżeli zachodzi taka potrzeba – niewielkich działań rekultywacyjnych bądź remediacyjnych.

Unijne działanie 2.5 zapewnia także możliwość dofinansowania prac związanych z inwentaryzacją terenów zdegradowanych i terenów zanieczyszczonych. Projekty dotyczyć mogą analiz degradacji i zanieczyszczenia terenu, badań zanieczyszczenia gleby, ziemi i wód gruntowych oraz analiz dotyczących możliwych sposobów i kosztów przeprowadzenia remediacji lub rekultywacji.

Wnioskodawcy aplikujący o środki mogą uzyskać na ww. projekty dofinansowanie w formie dotacji do 85 proc. kosztów kwalifikowanych. Beneficjenci działania 2.5 mogą również uzy-

Typ projektu nr 1: Wsparcie dla zanieczyszczonych lub zdegradowanych terenów

Nazwa projektu: „Rekultywacja i remediacja zdegradowanego terenu po cukrowni w Pelplinie"
Beneficjent: miasto Pelplin
Koszt projektu: 11,2 mln zł
Zakończenie projektu: grudzień 2019 r.

Celem projektu jest zwiększenie powierzchni biologicznie czynnych na terenie Pelplina. Teren objęty przedsięwzięciem to obszar poprzemysłowy – zdegradowany, zdewastowany i zanieczyszczony poprzez prowadzoną tam w przeszłości działalność związaną z produkcją cukru oraz kwasu cytrynowego. Zostanie przeprowadzona remediacja i rekultywacja obszaru oraz jego zagospodarowanie rekreacyjne. Sumaryczna powierzchnia terenu objętego projektem wynosi 12 ha, w tym 11 ha to powierzchnia nowych obszarów zieleni miejskiej.

eprasa.pl c5acb31c1f

skać pożyczkę ze środków krajowych NFOŚiGW na współfinansowanie wkładu własnego i dzięki temu uzyskać zapewnienie źródeł finansowania dla całego kwalifikowanego zakresu projektu.

Działanie 2.5 POIiŚ 2014–2020 zostało wskazane jako jedno z narzędzi realizacji – przygotowanego przez Ministerstwo Rozwoju oraz zawartego w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju – „Pakietu dla średnich miast". W ramach ogłaszanych naborów w sposób preferencyjny traktowane są projekty zgłaszane przez miasta średnie. Szczególnie te, które tracą funkcje społeczno-gospodarcze.

Realizacja działania wpisuje się w założenia „Programu dla Śląska" będącego również elementem Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Szczególne znaczenie ma tutaj finansowanie projektów dotyczących rekultywacji terenów silnie zdegradowanych i zanieczyszczonych działalnością przemysłową na Śląsku, np. projekty: „Rewitalizacja terenów poprzemysłowych dzielnic Szombierki i Łagiewniki w dolinie rzeki Bytomki" realizowana przez miasto Bytom, „Rewaloryzacja Doliny Czarnej Przemszy w Mysłowicach Park Zamkowy i Promenada" realizowana przez miasto Mysłowice, „Rekultywacja śródmiejskiego zbiornika Blachownia" wraz z zagospodarowaniem otoczenia realizowane przez gminę Blachownia w powiecie częstochowskim.

Zdecydowaną większość wspartych projektów stanowią te dotyczące rozwoju terenów zieleni w miastach i ich obszarach funkcjonalnych. Priorytetowo traktowane są projekty realizowane w obszarach o przekroczonych normach jakości powietrza – dla których istnieją obowiązujące Programy Ochrony Powietrza. Finansowane zadania przyczyniają się do promowania miejskich systemów regeneracji i wymiany powietrza, powstrzymania fragmentacji przestrzeni miast i będą pozytywnie wpływać na jakość życia mieszkańców.

Inwestycje te ze względu na swój charakter mają zarówno środowiskowy, jak i społeczny wymiar. Zakładanie nowych terenów zieleni w miastach oraz rewitalizacja istniejących często zaniedbanych parków lub zieleni przyulicznej stwarzają lepsze warunki życia mieszkańców. Poprawiany jest wizerunek miast, lokalny mikroklimat, warunki środowiskowe oraz tworzy się naturalne bariery umożliwiające ograniczenie powstawania i rozprzestrzeniania się smogu. Mieszkańcy uzyskują również nowe tereny rekreacji oraz aktywnego spędzania wolnego czasu.

Realizacja projektów w ramach zawartych 155 umów na łącznej powierzchni 1 800 ha objętych działaniem to: 176 ha zrekultywowanych gruntów oraz prawie 710 ha dodatkowego obszaru czynnego biologicznie.

Prace NFOŚiGW jako Instytucji Wdrażającej (IW) działanie 2.5 POIiŚ 2014–2020 „Poprawa jakości życia w miastach":

5 zakończonych naborów	**341** złożonych wniosków na łączną kwotę **1,6 mld zł**	**155** podpisanych umów o dofinansowanie	**900 mln zł** udzielonego dofinansowania	**1,2 mld zł** łączny koszt całkowity projektów z zawartych umów

Realizacja projektów działania 2.5 „Poprawa jakości życia w miastach" objęła cały kraj

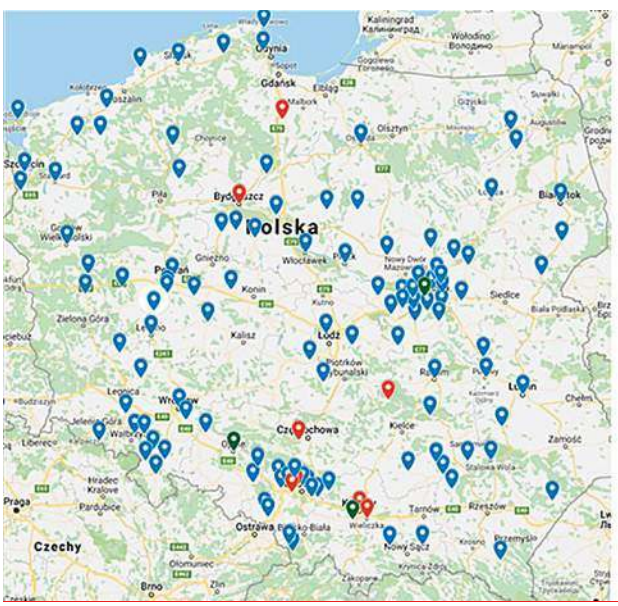

Typ projektu nr 2: Rozwój terenów zieleni w miastach i ich obszarach funkcjonalnych

Nazwa projektu: „Poprawa jakości terenów zielonych na obszarze miasta Zabrze – etap I i II"
Beneficjent: miasto Zabrze
Koszt projektu: 8,4 mln zł
Zakończenie projektu: grudzień 2020 r.

Celem projektu jest kompleksowe uporządkowanie i zagospodarowanie terenów zieleni miejskiej w Zabrzu na obszarze obejmującym 21 lokalizacji. Realizacja projektu podniesie walory użytkowe i przestrzenne oraz stworzy sprzyjające warunki do realizowania aktywności rekreacyjnej mieszkańców Zabrza, przywróci właściwe funkcjonowanie wszystkich terenów zieleni miejskiej tak, aby stały się one pełnowartościową przestrzenią publiczną miasta, miejscem chętnie odwiedzanym zarówno przez mieszkańców, jak i turystów oraz stanowiącym wizytówkę miasta. Sumaryczna powierzchnia terenu objęta projektem wyniesie 34 ha.

36/0119/F

eprasa.pl c5acb31c1f

Technologie cyfrowe głęboko wchodzą w tkankę państwa

Fot. Andrzej Wiktor x2

Żadna instytucja, żadne państwo nie obronią się same – mówi ***Bolesław Piasecki*** *z Departamentu Bezpieczeństwa PKO Banku Polskiego*

W połowie stycznia międzynarodowi eksperci i najlepsi specjaliści z Polski oraz z USA spotkali się w Warszawie na konferencji organizowanej przez Atlantic Council i PKO Bank Polski, dotyczącej cyberbezpieczeństwa. Jaki był cel tej konferencji?

Bolesław Piasecki: Zasadniczym celem były wymiana opinii i doświadczeń, nawiązanie bliskich relacji z amerykańskimi ekspertami, niezbędnych w takiej dziedzinie jak cyberbezpieczeństwo. W tym obszarze bardzo ważne jest wzajemne informowanie się o zagrożeniach i sposobach ich zwalczania. Dzięki temu buduje się wspólną odporność w cyberprzestrzeni. Styczniowa konferencja umożliwiła wymianę stanowisk, wyjaśnienie, jak my rozumiemy cyberbezpieczeństwo, jak je rozumie sektor prywatny i eksperci w Stanach Zjednoczonych. Z pewnością to spotkanie przyczyniło się do nawiązania jeszcze bliższych relacji pomiędzy stroną polską a amerykańską. To element szerszej współpracy banku i Atlantic Council, której zadaniem jest umacnianie partnerstwa

eprasa.pl c5acb31c1f

transatlantyckiego, także w obszarze cyberbezpieczeństwa.

Amerykanie mają obszerną wiedzę na temat cyberbezpieczeństwa, dysponują doświadczeniem i olbrzymimi możliwościami działania. Jakie korzyści Polska może wynieść ze współpracy z USA?

Stany Zjednoczone to absolutny lider pod tym względem. Amerykanie są chętni do dzielenia się swoimi doświadczeniami. Polska może odnieść tzw. korzyść spóźnionego przybysza. Amerykanie przetestowali już wiele rozwiązań w zakresie cyberbezpieczeństwa, uczyli się na własnych błędach. My możemy czerpać z ich praktyki i wdrażać te pomysły, które są dla nas najbardziej optymalne. Musimy też mieć świadomość, że to, co jest dobre dla imperium, jakim są Stany Zjednoczone, nie zawsze będzie pasowało do naszych realiów.

Jakie wyzwania stwarza nam cyberprzestrzeń? Przed jakimi zagrożeniami stoimy? Konferencja pewnie pokazała te najbardziej newralgiczne obszary.

Spotkanie wskazało wyzwania stojące przed sektorem rządowym i prywatnym. I to nie tylko w aspekcie cyfrowym, lecz również szerszym, wynikającym z bardzo szybkiego rozwoju nowych technologii. Możemy stać z boku, przyglądać się, być biernym uczestnikiem tych procesów albo aktywnie w nich uczestniczyć, kształtując trendy rozwoju technologicznego. W dłuższej perspektywie ta druga postawa z pewnością przyniesie nam więcej korzyści.

Wyzwania są zapewne różne dla różnych obszarów działalności, ale czy istnieją jakieś wspólne elementy? Na przykład takie same dla podmiotów działających w Polsce i w Stanach Zjednoczonych?

Takim wspólnym elementem jest bezpieczeństwo danych, pewność, że nikt niepowołany nie będzie miał do nich dostępu, nie zmienieni ich. Wspólne są też wyzwania związane z dezinformacją. Wyzwania są wieloaspektowe i sięgają głęboko w różne obszary

funkcjonowania państwa, społeczeństwa czy kultury. Nie chodzi tylko o to, że mamy, jako obywatele, coraz szerszy dostęp do internetu, łatwiej nam gromadzić informacje, lecz także o to, że technologie cyfrowe, a więc również kwestie ich bezpieczeństwa, głęboko wchodzą w tkankę państwa. Od tego w przyszłości mogą zależeć bezpieczeństwo narodowe, finansowe, jakość kapitału społecznego, czyli wzajemne zaufanie między obywatelami a instytucjami publicznymi. Wchodzą one znacznie głębiej w nasze życie, niż nam się wydaje.

...i przekraczają granice państw oraz kontynentów. Dlaczego potrzebujemy międzynarodowej współpracy w zakresie cyberbezpieczeństwa? Potrzebujemy wymiany wiedzy, edukacji?

Współpraca międzynarodowa w kwestiach związanych z cyberbezpieczeństwem jest kluczowa. Żadna instytucja, żadne państwo nie obronią się same. Konieczne są poszerzanie i wymiana wiedzy. Nie można pozostać na tym polu walki samotnym. Domena cyfrowa jest w ramach NATO uznana za taką samą domenę potencjalnej konfrontacji jak powietrze, morze czy ląd. W przypadku cyberprzestrzeni bardzo często trudno dojść do tego, kto był autorem ataku. Współpraca między podmiotami zarówno krajowymi, jak i instytucjami prywatnymi jest pod tym względem kluczowa, ponieważ wyzwań będzie coraz więcej.

I trzeba na nie znaleźć jakąś odpowiedź. Czy państwa są na to przygotowane? Podczas konferencji padło takie stwierdzenie, że w najbliższych latach sektor cyberbezpiczeństwa będzie potrzebował dodatkowo kilku milionów specjalistów w skali światowej. Czy to możliwe? Czy jednak będziemy krok za stroną atakującą? Czy mamy wystarczające siły, by uczestniczyć w tej walce?

Nawet najlepsi specjaliści nie wiedzą, co może być wykorzystane przeciwko nam. Istnieje taki pogląd, że już zostały odkryte pewne słabości systemów informatycznych, które w przyszłości mogą być wykorzystane przez cyberprzestępców. Wielu ekspertów podkreśla, że to strona ofensywna narzuca warunki gry, a defensywa musi się do niej w pewien sposób dostosować. Wyścig jest coraz szybszy. Jak powiedział jeden z głównych gości konferencji, były szef National Security Agency (NSA), gen. Keith B. Alexander, w momencie kiedy studenci są na trzecim roku studiów informatycznych, często nieaktualne staje się to, czego uczyli się na pierwszym roku.

Jak Polska prezentuje się w tej dziedzinie? Polscy eksperci są jednymi z najbardziej docenianych na świecie. Mamy więc specjalistów, potencjał, a także know-how, by odgrywać znaczącą rolę w walce z cyberzagrożeniami.

Nasz kraj ma znakomitych specjalistów w tej dziedzinie, wysoko cenionych na światowych rynkach. Musimy pamiętać, że to potencjał ludzki, którym – jako Polska – dzielimy się z innymi podmiotami zagranicznymi. Pytanie, jak zachęcić naszych ekspertów, by pozostali w kraju. Nasz ludzki potencjał, działający także poza sektorem rządowym, w ramach dynamicznie rozwijających się polskich przedsiębiorstw, jest w stanie tworzyć niebywałe rzeczy związane z domeną cyfrową, np. krajową chmurę obliczeniową, dostarczającą cyfrowe usługi przechowywania i przetwarzania danych dedykowane polskim przedsiębiorcom oraz administracji publicznej. Ważne jest to, by w cyfryzacji widzieć przede wszystkim korzyści, które z niej wynikają, a nie tylko zagrożenia.

Rozmawiał Stanisław Koczot
(„Gazeta Bankowa")

eprasa.pl c5acb31c1f

Wszystkie kamery na Kubicę

Nie ma wątpliwości, że powrót Roberta Kubicy do Formuły 1 należy rozpatrywać w kategorii cudu. Oto po dziewięciu latach do jednego z najbardziej elitarnych i najtrudniejszych sportów wraca zawodnik, który po koszmarnym wypadku tak naprawdę powinien mieć amputowaną rękę. Polak, który w zbliżającym się sezonie wystartuje w bolidzie Williamsa, wieńczy w ten sposób swoją heroiczną walkę o „ponowny debiut"

CEZARY KOWALSKI

Ileż było w tym wiary, bólu, cierpienia, cierpliwości i przede wszystkim pracy, podczas której nie było żadnej pewności, że kiedykolwiek przyniesie ona zamierzony efekt. „Cały czas miałem przekonanie, że ta furtka była dla mnie lekko uchylona. Gdybym go nie miał, wziąłbym się za coś innego i nie zawracał głowy" – tłumaczył Robert.

Przed laty Michael Jordan po śmierci ojca przerzucił się na baseball, a później wrócił do koszykówki i zdobył trzy tytuły mistrza NBA. Magic Johnson po wykryciu w jego organizmie wirusa HIV odszedł na emeryturę, a później pojechał na igrzyska olimpijskie w Barcelonie. Herman Maier po bardzo poważnym wypadku motocyklowym znów królował na stoku. Niki Lauda wrócił na tor po koszmarnym poparzeniu, po którym zapadł w śpiączkę, a ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Historii podobnych do tej Roberta Kubicy było w świecie sportu najwyżej jeszcze kilka.

BYŁO TAK BLISKO

W ubiegłym roku Robert już praktycznie witał się z gąską. Okazało się, że Williams postawił jednak na dwóch młodych, niedoświadczonych kierowców – Siergieja Sirotkina i Lance'a Strolla, dzięki czemu team miał więcej pieniędzy do dyspozycji (inwestycja rosyjskiego banku, którego właściciele są blisko związani z prezydentem Rosji), ale to się nie przełożyło na wyniki i wyjście z kryzysu tej samochodowej stajni. Stroll i Sirotkin zdobyli w sumie ledwie 7 pkt w sezonie. Katastrofalnie mało. A trzeba pamiętać, że Brytyjczycy trzy lata wcześniej byli ekipą, która walczyła o trofea w Formule 1, by nagle właściwie z dnia na dzień stać się najsłabszymi w całej stawce. W ogóle jeśli spojrzymy na historię Formuły 1, Williams jest jednym z najbardziej utytułowanych zespołów. Dziewięciokrotnie wygrywał w kategorii konstruktorów, siedmiokrotnie mistrzostwa zdobywali jego kierowcy.

Dziś z dawnej chwały pozostała tylko nazwa. Zwłaszcza pod względem finansowym Brytyjczycy nie mogą się równać z takimi krezusami jak Ferrari, Mercedes czy Red Bull, które mają do dyspozycji po 0,5 mld dol. albo nawet więcej.

Polak cały ubiegły sezon spędził w ekipie jako kierowca testowy. Właściciele Williamsa przekonali się w ten sposób, ile Robert może wnieść do zespołu, poznali go lepiej, poza tym mogą się cieszyć z pieniędzy, jakie przyszły razem z Kubicą od Orlenu. Dzięki temu w jakiś sposób załatali dziurę od dwóch sponsorów, którzy się wycofali wraz ze sportowym fiaskiem z ubiegłego sezonu. Nie są to takie kwoty, jakimi dysponowali wcześniej, ale zyskują kierowcę, którego wartością jest także umiejętność współpracy z inżynierami, konstruktorami samochodu, kogoś, kto wie, co można z tym bolidem zrobić.

To paradoks, ale Robert przez to, że nie został potraktowany sprawiedliwie

eprasa.pl c5acb31c1f

Fot. Andrzej Wiktor

w ubiegłym sezonie, mógł na takim pociągnięciu Williamsa skorzystać. Zyskał jeszcze jeden rok na przygotowanie do powrotu, a jako kierowca testowy mógł dobrze poznać cały zespół, jego potencjał, ludzi w nim pracujących. Tym bardziej że Kubica słynie ze swojej ogromnej etyki pracy. To facet, który do pracy przychodzi pierwszy i ostatni z niej wychodzi. I sam przyznaje, że właściwie nie ma życia poza tym, czym się zajmuje zawodowo. To oczywiste, że ma obecnie niewiarygodną wręcz znajomość samochodu, w którym będzie się ścigać.

DOBRY INTERES

Ogólnonarodowa dyskusja, która rozpoczęła się zaraz po ogłoszeniu, że Orlen podpisuje umowę z Williamsem i ma ona opiewać przez dwa lata na 100 mln zł, straciła już swoją dynamikę. Wśród ekspertów panuje przekonanie, że to bardzo dobry interes dla obu stron. Po raz pierwszy w historii w jednej z najbardziej globalnych i spektakularnych dyscyplin sportowych będzie stale obecny polski brand. Obok polskiej flagi zresztą. I nie tylko na bolidzie Kubicy, lecz także na samochodzie drugiego kierowcy teamu, młodego George'a Russella z Wielkiej Brytanii. Nie ma wątpliwości, że w trakcie sezonu kamery będą skierowane na kierowców o najbardziej ugruntowanej renomie i na Roberta Kubicę właśnie, bo jego powrót jest po prostu wydarzeniem.

Kubica w nielicznych wywiadach czy podczas konferencji prasowych podkreśla rolę Orlenu, chwali szefa koncernu Daniela Obajtka, którego – jak twierdzi – cechuje to, co jego, czyli umiejętność podejmowania decyzji, determinacja i patriotyzm. Kto zna Kubicę, wie, że tego typu komplementy w jego ustach są wyjątkową rzadkością. Wcześniej raczej wyrażał żal, że polskie firmy w początkach jego kariery nie kwapiły się z pomocą. „Teraz będę występował z logotypem polskiej firmy i z polską flagą. Reprezentowanie kraju w ten sposób ma podwójną siłę" – powiedział. I potrafił zgrabnie wybrnąć po uszczypliwych w zamiarze pytaniach o to, czy następnym krokiem nie będzie zaangażowanie w działania polityczne lub czy w związku z nowym otwarciem jego wizerunek nie będzie wyskakiwał teraz z każdej lodówki. „Słabo się chyba znamy, panie redaktorze" – odpowiedział reporterowi Radia RMF.

Eksperci podkreślają, że to nie jest tak, iż o powrocie Kubicy zdecydowały wyłącznie pieniądze Orlenu. Odegrały one istotną rolę, ale nie decydującą. Williams chce po prostu odbić się od dna, a wśród jego właścicieli panuje przekonanie, że doświadczony Polak może w tym planie odegrać kapitalną rolę.

KROK PO KROKU

Jeśli ktoś jednak myśli, że Robert wsiądzie do bolidu i od razu będzie bił się o zwycięstwo w każdym wyścigu, to może się mocno rozczarować. Tak raczej nie będzie. Dla Roberta najważniejsze jest to, aby udowodnił, że wciąż może się ścigać, bo dla wielu ludzi w padoku to nadal nie jest oczywiste. Widząc, jak wygląda zniekształcona ręka zawodnika, mocno w to wątpią. A poza tym: jeśli chcesz mieć w Formule 1 przyjaciela, to kup sobie psa – powiedział kiedyś Robert, odnosząc się do relacji, jakie panują w świecie tego sportu. „Kiedy startowałem ostatni raz, to byłem bardzo dobrym zawodnikiem, ale tamta Formuła 1 była inna niż obecnie. Trochę oczywiście już pojeździłem, ale testy to nie to samo, co wyścigi. Na razie pocieszmy się trochę tym, że wracam, nie oczekujcie ode mnie od razu wygrywania. Fakt, że wsiądę do bolidu i wyjadę na start w Australii, to prezent dla mnie, ale także dla kibiców, którzy we mnie wierzyli. Jest ich cała masa, choć Polska przecież nie ma wielkich tradycji w tym sporcie" – powiedział Kubica.

Polski kierowca Formuły 1 przed rozpoczynającym się w połowie marca sezonem (21 wyścigów) twardo stąpa po ziemi, ma świadomość ograniczeń swojego teamu, ale... w dłuższym dystansie z pewnością nie zadowoli się samą obecnością w elicie.

„Dostać się do tej grupy 20 kierowców to już jest ogromny sukces, a mnie udaje się to już po raz drugi. Pamiętam jednak, jak jeździłem w 2008, 2009 czy 2010 r. Moim celem jest dojście do tego poziomu. Za moje dążenie do bycia najlepszym zapłaciłem ogromną cenę, ale nie rezygnuję. Na pewno nie będę bardziej ostrożny. Kiedy wsiadam do bolidu, to jestem sfokusowany na to, co robię. Nigdy nie pogodziłem się z opiniami, że już nigdy nie wystartuję, a jeszcze bardziej uwierzyłem w siebie po tym, gdy się okazało, że moje ograniczenia związane z wypadkiem nie są aż tak duże, jak myślałem. Musiałem od nowa poznać swoje ciało jako sportowca i zrozumiałem, że większość blokad jest jednak w głowie. Jeśli uda mi się utrzymać w Formule 1, zrobimy kolejny krok. Ja zawsze idę krok po kroku" – tłumaczył.

W powszechnej opinii w Formule 1 nie ma niespodzianek. Jeśli ktoś nie dysponuje sprzętem odpowiedniej jakości, nie ma wystarczająco wysokiego budżetu na jego ulepszanie, to raczej nie ma szans na sportowy triumf. Ale Kubica nie po to wraca na tor, aby tylko sobie pojeździć. Chyba możemy więc oczekiwać kolejnego cudu z udziałem tego niesamowitego sportowca.

eprasa.pl c5acb31c1f

ALDONA JANKOWSKA AKTORKA

Ciastka, obwarzanki, bajadery

Jestem „pyra" rodowita, z dziada pradziada, urodziłam się w Poznaniu, ale mocno słodkie wspomnienia budzi we mnie inne miejsce.

Kiedy pojawiłam się w Krakowie w 1983 r., było to zupełnie inne miasto. Z tamtego czasu pamiętam cukierenki. Nadal są, oczywiście, cukierenki cudowne w Krakowie, i jest ich może dziesięć razy więcej, ale dla mnie tamte były niesamowite.

Przez pierwsze pół roku przytyłam chyba pięć kilo, bo codziennie w innym lokaliku, takim wtulonym w stare mury Krakowa, jadłam ciastko. Te wyroby cukiernicze były tak inne od tego, co znałam z Poznania, że nie mogłam sobie ich odmówić. Te kremówki, przedziwne bajadery, ciasta francuskie... te szarlotki na 50 różnych sposobów... Byłam olśniona.

Dla młodej aktorki to była jednak tragedia. Dowiedziałam się, co znaczy zbijać wagę. Zresztą do dzisiaj nie jestem w tym mistrzem, ale wciąż kocham te cukiernie. I gdy mi jest źle na świecie, siadam w Krakowie przy kawie i co najmniej dwóch ciastkach. Wtedy świat robi się ciut lepszy.

Teraz to się troszeczkę zunifikowało, ale wtedy było to dla mnie odkrycie. Smak młodości – tego mojego młodego Krakowa, tej wolności, którą miałam po opuszczeniu domu – łączy się właśnie z zapachem i smakiem różnych ciast oraz ciastek w krakowskich cukierniach zeszłego, co by nie było, stulecia. Ale i dziś można, spacerując wzdłuż kamienic przy Rynku, wyłowić słodkie zapachy i zajść na coś pysznego.

Pyta mnie pani o bajgle. Hm, przede wszystkim w Krakowie są obwarzanki. To niezwykle ważne, bo nazwa wzięła się od warzonego ciasta. Bajgle to zupełnie inna historia, a obwarzanek to obwarzanek. Gdy przyjeżdżam na spektakl do Warszawy, to koleżanki proszą mnie, żebym im przywiozła właśnie obwarzanki. I widzą różnicę, więc targam czasami pełną siatę, pachnie na cały przedział, ale wożę te obwarzanki z dumą. Mam też piękne studenckie historie z nimi związane.

Byłyśmy często bez grosza. Co tu dużo mówić, stypendium rozpływało się w pierwsze trzy dni, bo człowiek jeszcze nie umiał gospodarować, więc „szło się w miasto", wydawało, a potem było krucho, ale cóż, młodość. Ratowały nas wtedy nieraz panie sprzedające na Rynku obwarzanki. Jak już zwijały interes, a coś im zostało (obwarzanek następnego dnia jest twardy), to studentkom bez grosza te obwarzanki dawały. Niejedna utytułowana dziś i zamożna aktorka miałaby w tej kwestii co wspominać. Dożywiały nas te panie. Czy to nie piękne?

Dziś nie tylko Kraków cudnie mi smakuje. Jestem wielką entuzjastką wędrówek po kraju, który odkrywam wciąż na nowo. Bo też pięknieje. Ostatnio stanęłam zachwycona na starówce w Lublinie, ale i Rzeszów, i Trójmiasto... gdziekolwiek byśmy pojechali, mamy piękny kraj.

Wędruję i smakuję. Niedawno w Augustowie poczęstowano mnie pierogami z mięsem... szczupaka. Okazały się wyborne. A wschodnie baby ziemniaczane o przeróżnych smakach – znakomite.

Oczywiście gotuję. Lubię bigosy, żury. Robię dobre ryby, bo parę lat mieszkałam w Norwegii i nauczyłam się podejścia do nich od trochę innej strony. Teraz często bywam na Wybrzeżu i tam też smakuję różne, nie tylko rybne, dania. Robię także różne sałaty, ale jest jedna rzecz, która w kuchni mi nie wychodzi. Ironia losu – ciasta. Najprostsze przepisy z mąką to w moim wykonaniu porażka. Na szczęście są krakowskie cukierenki.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Gałązka/AKPA, Shutterstock

Burak w śniegu

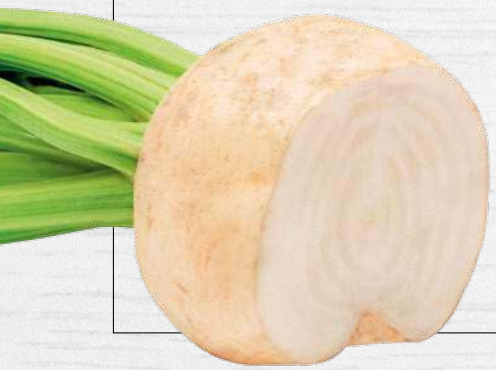

Całkiem niedawno przekonałam się, że słodycz i niesamowity aromat można też znaleźć w zwykłym buraku. Naszym polskim, cukrowym. Byle upieczonym. Po wyjęciu z piekarnika można go kroić lub trzeć. Ja trę (tylko trzeba sprawdzić, czy nie jest gorzki, bo jeden może zepsuć całą potrawę) i mam genialny dodatek albo samodzielne danie.

Buraki piekę w „śniegu", czyli zwykłej kuchennej soli, którą wysypuję dno garnka. Na to wykładam wyszorowane buraki i wstawiam do pieca na ok. półtorej godziny (180–200°C). Sól wyciąga wodę oraz różne zanieczyszczenia i zostaje sam smak, soczystość, aromat. Jak to obłędnie pachnie! I jak smakuje! Smak i zapach domu. Dla ludzi, którzy jak ja są ciągle w drodze – bezcenne.

eprasa.pl c5acb31c1f

SŁODKO-SŁONY

Dobra włoszczyzna

ANNA MONICKA

Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, ile razy ugotowaliście włoszczyznę na zupę? Kilkaset, kilka tysięcy razy? A ile razy zrobiliście to dobrze?

Nie wystarczy wrzucić po prostu marchewkę czy pietruszkę do wody. Trzeba wiedzieć, w jakiej kolejności je dodawać – czy przed mięsem, czy po nim, jak długo gotować, przykrywać garnek czy nie? Po co te wszystkie ceregiele? Żeby nie tracić witamin ani minerałów, a więc wartości, z powodu których w ogóle wkładamy włoszczyznę do zupy.

Po pierwsze, woda. Obrane i umyte warzywa wrzucamy do wrzątku. Dzięki temu unikniemy utraty witamin. W przypadku wszelkich wywarów mięsnych – najpierw gotujemy i odszumowujemy mięso, dopiero potem do rosołu dokładamy włoszczyznę. W przeciwnym razie warzywa się przegotują. Wyjątkiem jest wywar rybny. Gotuje się go krócej, a warzywa i mięso wkładamy do wody w tym samym czasie.

Cudowny zapach, który uwalnia się w czasie gotowania, świadczy o tym, że popełniamy błąd i gotujemy cebulę, marchewkę, seler, por i pietruszkę bez przykrycia. Aromat, czyli olejki eteryczne, to substancje lotne. Uciekają więc do powietrza, jeśli ich nie zatrzymamy. Trzeba więc zawsze przykrywać garnek, inaczej pachnieć będzie cały dom, a nie zupa.

Sól w czasie gotowania – jeśli chcesz, żeby warzywa oddały z siebie wszystko, dosyp ją pod koniec. Inaczej zamkną w sobie smak, a zupa nic nie zyska.

Zielenina oddaje wywarowi wszystko, co najlepsze, w pół godziny, 40 minut, dłużej nie ma sensu jej trzymać w garze, bo warzywa będą się nadawać tylko do wyrzucenia. A można je przecież jeszcze wykorzystać i posiekać do sałatki. Marchewka, seler i pietruszka, do nich ziemniak plus ogórek kiszony i łyżka majonezu.

Inny patent to purée. Zmiksowane warzywa (koniecznie z wyrazistą włoską kapustą) albo mrozimy i dodajemy do zup kremów, albo miksujemy z gotowanymi ziemniakami i mamy pożywny dodatek do mięsa. Warzywną masę – doprawioną masłem, pieprzem oraz papryką – możemy też zapiec w kokilkach i podawać na ciepłą kolację. Taka pasta zwykle bardzo smakuje dzieciom.

WILCZYM OKIEM

Zaledwie na progu lasu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Gosari namul, w transkrypcji koreańskiej 고사리 나물, to koreańska potrawa z młodych liści paproci orlicy pospolitej Pteridium aquilinum. „Gosari" oznacza paproć orlicę, natomiast „namul" można by w przybliżeniu przetłumaczyć jako zielenina lub warzywo – nie tylko zresztą z paproci orlicy.

Paproć orlica jest gatunkiem kosmopolitycznym, spotykanym na całym świecie w strefie klimatu umiarkowanego i ciepłego. Jeżeli kojarzą państwo łany sięgającej dużo powyżej pasa paproci, porastającej rozległe przestrzenie w polskich borach sosnowych, o liściach rozłożystych, w kształcie przypominających wielki pierzasty trójkąt, zielonych wiosną i latem, a żółknących jesienią, to właśnie jest orlica. Widok orlicy jest tak samo naturalny w naszej sośninie, jak i w koreańskim lesie czy wenezuelskiej selwie.

Orlica jest rośliną trującą, zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt. Koreańczycy poddają jednak wieloetapowej obróbce młode, wiosenne, zwinięte jeszcze jak pastorał liście i spożywają jako przystawkę lub dodatek do potraw. To rodzaj ich dania narodowego.

Żeby pastorały paproci orlicy były jadalne, trzeba je na moment wrzucić do wrzątku, wysuszyć na słońcu, zamrozić, namoczyć, wypłukać, a następnie gotować w osolonej wodzie. Wieloetapowe przygotowanie pozornie wydaje się skomplikowane; bardzo przypomina jednak nasze przygotowanie do jedzenia grzybów, które tak samo suszy się, mrozi, odmacza, odlewając wywar, gotuje, przyprawia, gotuje jeszcze raz, smaży itp. W dodatku gosari namul jest jedzeniem wysokobiałkowym, bogatym w składniki odżywcze i chwalonym jako przysmak.

Zróżnicowanie kuchni świata korzystających z naturalnych, dziko rosnących roślin czy grzybów, gdzie paproć orlica i gosari namul są zaledwie jednym z bardzo wielu intrygujących przykładów, wskazuje na dwie rzeczy: jak nieprzebrane bogactwo przydatnych człowiekowi dóbr stanowi las, a także jak niewielki ułamek z nich znamy i wykorzystujemy. Ten niewielki ułamek zaś jest częścią niewyobrażalnie wielkiej całości, której jeszcze nie znamy. To nie tylko wyzwanie kulinarne, lecz i misja dla nauki, szukającej w ekosystemach leśnych substancji leczniczych, technologii, surowców itp.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl c5acb31c1f

Trzy maczugi, czyli reforma Unii Europejskiej

Wzięliśmy ślub z atrakcyjną dziewczyną, wiedząc, że ma jakieś problemy. Zaakceptowaliśmy to, wierząc, że wspólnie je pokonamy i pójdziemy razem przez życie. Były dobre chwile, ale po latach okazało się, że żona jest alkoholiczką, handluje narkotykami, a po nocach znika, prowadząc drugie życie. Zabić babę? Nie. Rozwieść się? Nie. Uratować zbłądzoną kobietę i swoje z nią, dobre życie.

Idea demokratycznej, solidarnej unii wolnych narodów i państw, które z sobą ściśle współdziałają, jest piękna i wobec światowych wyzwań – pragmatyczna. Ojcowie założyciele Unii Europejskiej szlachetnie i sprawiedliwie to wymyślili, opierając zasady na uniwersalnym systemie wartości, który zapewniłby przedsięwzięciu sukces oraz trwałość. Kiedy do Unii wchodziliśmy, widać już było potężne pęknięcia i niedobre zmiany w pierwotnej idei, ale Polacy w większości uznali, że w Unii chcą być i zająć w niej miejsce czekające na szósty największy kraj i piąty największy naród.

Od tego czasu Unia uległa dalszej, potężnej degeneracji. Stała się instrumentem gospodarczej i politycznej dominacji Niemiec, narzędziem nasilającego się eksperymentu zmierzającej ku totalitaryzmowi lewicy obyczajowej oraz polem brutalnej realizacji chciwości globalnych koncernów, kosztem praw stanowionych przez narody, kosztem zdrowia i życia obywateli europejskich państw. Te trzy maczugi walą Europejczyków po głowach, wbijając ich coraz głębiej w bezradność i rozpacz.

Monstrualny „europejski parlament" jest pozbawioną wpływu na cokolwiek gargantuiczną karykaturą demokracji, tuczą się w nim cynicy, a szlachetni ludzie męczą się, bijąc głową w mur. Unią i Europą rządzi pozbawiona demokratycznego mandatu, nie wiadomo przez kogo, na jakich zasadach i w zamian za co wyłoniona oraz rozliczana kasta urzędników traktujących europejskie narody jak stado baranów, które mają milczeć i słuchać samozwańczych nadzorców. Wkrótce niepokornych karać będą odbieraniem należnych im środków ze wspólnego budżetu. Unia jest dziś karykaturą sprawiedliwości, solidarności i przestrzegania prawa. Unia gnije coraz szybciej i wkrótce się rozpadnie.

A europejska Unia jest Polsce potrzebna. Dlatego – zamiast gaworzenia totalnej opozycji o polexicie – konieczne jest działanie dokładnie odwrotne. Polska powinna stanąć na czele wzmocnienia, czyli radykalnej odnowy, Unii Europejskiej. „A nade wszystko słowom naszym, zmienionym chytrze przez krętaczy, jedyność przywróć i prawdziwość. Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość". Unijni krętacze daleko odeszli od unijnej idei. By Unię ocalić, tę ideę trzeba przywrócić.

Punkty reformy:

1. Likwidujemy antydemokratyczną i bezkarną Komisję Europejską, radykalnie ograniczamy, a z czasem likwidujemy Parlament Europejski i monstrualną biurokrację z nim związaną.

2. Unią rządzą rządy państw członkowskich – przez demokratycznie wybraną w wyborach narodowych Komisję Koordynacyjną. Zaledwie „koordynacyjną", bo nie decydującą o niczym, ale realizującą wolę narodów.

3. Dwa razy w roku odbywają się wielopunktowe referenda, w których narody podejmują liczne ważne decyzje, czyli bez ustalania krzywizny banana. Jeśli jedne narody wypowiedzą się za rozwiązaniem A, a inne za rozwiązaniem B – oba alternatywne rozwiązania są adekwatnie realizowane w tychże państwach. Zgodnie z decyzjami narodów.

4. Decyzje realizuje Komisja Koordynacyjna. Jeśli realizuje źle, każdy rząd może postawić votum nieufności i odwołać KK lub poszczególnych jej członków głosami wyborców narodowych przy okazji kolejnego referendum. Itd., itp.

Lista koniecznych zmian w funkcjonowaniu chorego, chwiejącego się molocha jest długa, ale główna idea jasna: Unią Europejską musi przestać rządzić szemrana sitwa, nie wiadomo komu podlegająca i czyim wpływom ulegająca. Zamiast trzech maczug: niemieckiej, lewackiej i koncernowej, żeby istnieć, Unia potrzebuje zupełnie innych narzędzi. Zamiast – już nie lobbystów, ale coraz bardziej dyktatorów – niemieckich, lewackich i koncernowych rządy w swojej własnej Unii odzyskać muszą Europejczycy i wziąć w swe ręce chirurgiczne narzędzia, którymi można naprawić ogromną część europejskich problemów. Ten cel trzeba sformułować, zacząć budować koalicję i wspólnie planować drogę do niego. Samo się nie zrobi.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl c5acb31c1f

Wieczór w Domu Sztuki

Jerzy Jachowicz

Szanowny Panie Redaktorze,
jak nie wiem co zależy mi na wspólnym wystąpieniu z panem podczas jutrzejszego spotkania w Domu Sztuki w związku z pana najnowszą książką „Sekty a szkodliwość prawicy". Jestem pewien, że większość uczestników spotkania stanowić będą pana wierni od lat wyznawcy i czytelnicy, dla których jest pan politycznym guru. Busolą wskazującą kierunki rozwoju i postępu naszej ukochanej ojczyzny, kołysanej niby łódź rybacka na wodach oceanu dramatycznymi wydarzeniami.

Chciałbym pójść pana śladem, łącząc działalność polityczną z twórczością w ogóle, w tym literacką i dziennikarską, bo i o tej pańskiej aktywności zapomnieć wszak nie można. Kiedy piszę te słowa, a jestem świeżo po lekturze pana książki, wyznam szczerze, sam czuję, jak wzrasta mój talent literacki oraz jak zaostrza się moje widzenie politycznych spraw, biegnących w Polsce pod obecnymi rządami w niebezpiecznym kierunku.

Moja śmiałość może pana dziwić, zważywszy na moją przeszłość. Sam pan niejednokrotnie powoływał się na maksymę mówiącą, że tylko koń, o przepraszam, tylko krowa nie zmienia poglądów. Święta racja. Ja też zrozumiałem swój błąd ideologiczny. Pamiętam czasy, kiedy staliśmy po przeciwnych stronach barykady. Droga moja duchowego rozwoju i politycznych inspiracji została ukształtowana przez prawicowe, nacjonalistyczne i aksjologicznie religijne poglądy, wtłaczane mi do mojej pojemnej głowy. A ja je wszystkie bez należytej refleksji i ostrożności przyjmowałem. Na szczęście w czas się obudziłem. Zacząłem się zastanawiać. Często i coraz głębiej. Aż za którymś razem zrozumiałem, że popełniam wiele błędów. Najwyższa pora je naprawić i skierować oczy ku jaśniejszej stronie. Ewolucja wywołała konflikt z dotychczasowymi sojusznikami. Dziś czuję się nowym człowiekiem. Przykro mi z powodu mowy nienawiści kierowanej w złą stronę. Wstyd mi, że snułem plany polityczne z taką kreaturą jak docent Jacek Dobiło.

Precz z podłością! Niech żyje demokracja!
Życzliwy Jerzy Jachowicz

CO MNIE SMUCI

Smutek i żal

Katarzyna Łaniewska

Właśnie te uczucia nurtowały mnie po galowej premierze kontynuacji kultowego, jak mówiono, filmu „Kogel-mogel" i „Galimatias...", która nosi tytuł „Miszmasz...".

Smutno mi, że nie mogę pisać entuzjastycznie. Piszę prawdę. Żal mi, że szanse nie zostały wykorzystane, a były ku temu możliwości. Ta sama, naprawdę znakomita, scenarzystka, dobry scenariusz, który czytałam. Coś zostało zaprzepaszczone.

Podobno się zaczęło od tego, że film trzeba było skrócić. Nie rozumiem, skoro producent, scenarzystka i reżyser za to odpowiadają, to dlaczego się na to godzą. Może to zbyt skomplikowane dla mnie. Niestety te skróty nie dotyczyły miejsc, które, wydawało mi się, mogły im podlegać i bardzo wpływały na bieg trzeciej części filmu. Pozostały kikuty ze scen rozmów, z tego, co stanowiło więź rodzinną z córką i wnukiem.

Film stawia na młodzież i ta młodzież wywiązała się z ról, które im napisano. To odarcie scen, także moich, które starałam się realizować najlepiej, jak mogę. Myślę, że sceny innych aktorów też zostały obcięte, na czym stracił film. Sceny pobojowiska krasnali czy wojny na pomidory można było skrócić, nie mówiąc już o puencie = disco-tancbudzie. Zabrakło mi ślicznego śpiewu „Szukaj mnie" Edyty Geppert. Zostało nam to w uszach dzięki dwóm poprzednim wersjom. Tu „szukaj mnie" stało się „sukaj mnie". Czy to suka miała być, czy coś innego? Pewnie jestem złośliwa. Wydaje mi się, że to hołdowanie decydentom i pokazanie im filmu w tej wersji, że niby młodzież tego „suka". Nie. Chciałam powiedzieć, że przed salą, przed wejściem na galę stała wielka grupa młodych ludzi, z albumami zdjęć moich i innych aktorów. Pytałam, skąd je mają. Z internetu. Przyjechali z Poznania, Wrocławia, z małych miejscowości. Chmara miłych i wspaniałych ludzi, którym chciało się przyjechać, prosić o autograf i wystawać w oczekiwaniu. Nie mogli wejść „na pokoje". To oni zrobili z poprzednich filmów kultowe produkcje. Wyjęli z nich porzekadła. W tej części chyba nie będzie czego wyjmować i powtarzać. Szkoda. Jest mi bardzo przykro, że to mówię. Ja jestem z epoki: „Oczy czarne" lub „Czy te oczy mogą kłamać", a „Oczy zielone" – niekoniecznie.

A może to się innym spodoba. Czego im życzę. Przepraszam wszystkich, którzy poczuli się dotknięci. Młodzi się poznali. Dziwię się, że decydenci się na to zdecydowali.

PS Bardzo mi się podobał sposób zagrania roli, która mogła być przegrana, a została bardzo dobrze zrealizowana przez panią Katarzynę Skrzynecką.

eprasa.pl c5acb31c1f

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Powrót zemsty

Nie minął rok, a sędzia Kamińska znowu błysnęła. „Będę szczera, pragnę zemsty" – wyznała

Sędziowie bardzo lubią, gdy w czasie rozprawy pozwany zachowuje się skromnie, potulnie, a nawet z uniżonością. Lubią, gdy w ten sposób okazuje im się szacunek. Taką radę słyszałem od moich adwokatów i radców prawnych, kiedy stawałem przed sądem. Niekiedy widziałem tę uniżoność także z ich strony. Jednym słowem – sędzia to bardzo wrażliwa figura. Z żartów lepiej zrezygnować.

Kiedy więc usłyszałem z ust sędzi NSA Ireny Kamińskiej, a było to w styczniu 2018 r. na Kongresie Sędziów Polskich, że sędziowie są „nadzwyczajną kastą", wcale się nie zdziwiłem, choć zaskoczyła mnie szczerość tego wyznania. Co prawda sędzia tłumaczyła później, że sformułowanie to zostało wyrwane z kontekstu, że jest trochę niezręczne, ale w końcu podtrzymała je, mówiąc: „Nadal się pod nim podpisuję". Bo – jak tłumaczyła – do kasty nie można się dostać przez urodzenie, tylko przez ciężką pracę. „W jakimś sensie jesteśmy niezwykli" – wyjaśniała, gdyż „od kilkudziesięciu lat wbrew politykom, którzy robią wszystkie reformy, wbrew obywatelom i obok tego, co jest naprawdę potrzebne, staramy się opanować ten chaos, który powodują właśnie politycy, władza ustawodawcza i wykonawcza". Zastanawiać mogą słowa „wbrew obywatelom", ale to pewnie też niezręczność.

Od tego pamiętnego wystąpienia często używam określenia „nadzwyczajna kasta", będąc w pełni upoważniony, gdyż samodzielnie nigdy bym się nie odważył zaliczyć sędziów do jakiejś kasty. Kasta nadal kojarzy mi się z indyjskim podziałem społeczeństwa.

Nie minął rok, a sędzia Kamińska znowu błysnęła, na spotkaniu w Fundacji Batorego, która – jak wiadomo – jest finansowana przez giełdowego spekulanta George'a Sorosa. „Będę szczera, pragnę zemsty, dlatego że mnie arogancja tej władzy, ta bezczelność, to lekceważenie po prostu irytuje, że pragnę zemsty" – wyznała sędzia. Natychmiast jednak uspokajająco dodała: „Ale jestem prawnikiem i jestem sędzią. Wobec czego to wszystko nie może w żaden sposób przypominać działania obecnej władzy". Słowa te znowu odbiły się szerokim echem w społeczeństwie, ale trafiły też do innych sędziów. Rzecznik dyscyplinarny NSA podjął czynności wyjaśniające, czy wypowiedź sędzi NSA w stanie spoczynku stanowi podstawę do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego. Krajowa Rada Sądownictwa także ma się wypowiedzieć w tej sprawie. Będziemy cierpliwie czekali na wyrok.

Publicysta jest w lepszej sytuacji, może sam ocenić i podsumować słowa sędzi Kamińskiej, a nawet dołączyć własne subiektywne uzasadnienie. W tym celu zajrzałem do publicznych danych o pani sędzi. Ukończyła prawo w 1975 r. na Uniwersytecie w Łodzi. Nie wiadomo, czy były to studia stacjonarne, czy zaoczne, gdyż rozpoczęła je w wieku 23 lat. Tyle miałem, gdy kończyłem prawo na UMK w Toruniu. Czym się zajmowała przez cztery lata poprzedzające studia, nie wiadomo. Wiadomo zaś, że w 1979 r., czyli tuż po ukończeniu studiów, orzekała w sądownictwie powszechnym, a nawet została sędzią sądu okręgowego. A więc bezpośrednio po studiach mogła już orzekać, bez sędziowskiej aplikacji? Może nie jestem precyzyjny, na wszelki wypadek przepraszam, ale cytuję informacje (w każdej chwili możliwe do zweryfikowania i poprawienia przez zainteresowanego), które podaje Wikipedia. W latach 1998–2002 sędzia Kamińska była członkinią Krajowej Rady Sądownictwa, a nawet zasiadała w jej prezydium, będąc równocześnie rzecznikiem prasowym KRS. W 2002 r. została wiceprezesem NSA. Co ważne, sędzia Kamińska przez kilkanaście lat działała w Stowarzyszeniu Sędziów „Iustitia", a nawet była prezesem tej organizacji. W 2010 r. zakładała Stowarzyszenie Sędziów „Themis" i także została jego prezesem. Dziś te stowarzyszenia sędziowskie jawnie krytykują władzę wykonawczą i ustawodawczą, a sędzia Irena Kamińska jest sztandarową postacią obu organizacji. I pewnie wychowała nowe pokolenia prawników? I pewnie w duchu „nadzwyczajnej kasty".

Co jest najbardziej smutne w tej historii? Mówiąc o zemście, sędzia Kamińska cofnęła naszą cywilizację do czasów pogańskich, no, może do początków XI w. Wtedy bowiem, pod wpływem chrześcijaństwa, aby wyeliminować zemstę, która przejawiała się w nieustannych wojnach, mnisi burgundzcy zaproponowali, aby zaprzestać zemsty od środy wieczorem do poranku w poniedziałek, także w każde święto, w Wigilię i w oktawę. Od 1041 r. powoływanie się na zemstę zostało zarzucone w prawie całej Europie. Wkrótce Kościół katolicki wymusił zakaz msty, czyli zemsty, na władzy świeckiej, a w jej miejsce wkroczył wymiar sprawiedliwości, czyli prawo.

Za sprawą sędzi Kamińskiej odżyła stara idea zemsty, dawnej msty. Pojawiło się słowo zapomniane w naszym życiu publicznym. Ale dzięki temu mogłem odświeżyć stare książki i przypomnieć, jak za sprawą chrześcijaństwa potępiono w Europie zemstę.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl c5acb31c1f

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Drugie płuco Polski

Kiedy rozmawiam z Polonusami w Stanach Zjednoczonych czy w Europie, odnoszę wrażenie, że czują się pozostawieni samym sobie. Tak na dobrą sprawę nikt o nich nie zabiega, nie stara się przyciągnąć ich pomysłów ani energii do budowania polskiej niepodległości. Polska mało dba o swoje dzieci żyjące poza ojczyzną. Tymczasem niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby nie Polonia amerykańska, nigdy nie powstałaby Błękitna Armia gen. Józefa Hallera. Właśnie ofiarność i poświęcenie prostych emigrantów z USA przesądziły o wyniku zmagań o polską niepodległość w 1918 r.

Witold Gadowski

W polskim parlamencie obowiązkowo zasiadają przedstawiciele mniejszości niemieckiej, a ciągle nie ma w nim miejsca dla Polaków żyjących poza granicami naszego kraju. Przykład twardej walki Polonii o pomnik Katyński w Jersey City znakomicie pokazuje, jaki ciągle tkwi w tym środowisku potencjał. Polonia nie doczekała się żadnej poważnej propozycji realnego udziału w życiu naszego kraju. Polscy politycy mają wobec niej cały zestaw słodko brzmiących banałów i od kilkudziesięciu lat nic z tego nie wynika.

Teraz, gdy jest coraz głośniej o planach wejścia na polski rynek medialny międzynarodowego spekulanta George'a Sorosa, nikt nie pomyślał o tym, aby zachęcić Polonusów do zaangażowania się w budowanie polskich mediów i w przekazywanie prawdy o Polsce w krajach, w których ci ludzie żyją. Naturalna sieć polskiej diaspory pozostaje niewykorzystana. I to nie tylko w mediach, lecz także w działalności naszych służb specjalnych oraz dyplomacji. Wielki sentyment do ojczystego kraju, możliwość wpływania na postawę rządów w miejscach, gdzie Polonusi mieszkają – pozostają kapitałem, z którego nie potrafi skorzystać żadna z rządzących ekip. Polonia ciągle jawi się polskim politykom bardziej jako niezręczny kłopot niż jako szansa na wzmocnienie naszej siły. Niczego nie uczy nas przykład diaspory żydowskiej ani nawet ukraińskiej. Polonia może co najwyżej głosować na warszawskich kandydatów w wyborach parlamentarnych. Do dziś również nasza dyplomacja nie przezwyciężyła podziałów, jakie w środowiskach polonijnych zasiali agenci Czesława Kiszczaka. W naszym parlamencie istnieją – co prawda – komisje nominalnie zajmujące się sprawami emigracji, ale niestety są to jedynie działania pozorowane, mające na celu uwolnienie się od podejrzenia, że nasz świat polityczny nie bardzo ma ochotę na to, aby przedstawiciele emigracji spoglądali mu na ręce w polskim parlamencie.

Polonia jest drugim płucem polskiej niepodległości. Czas to wreszcie zrozumieć.

Pokolenie śnieżynek

Siła i mądrość – bez dobra – prowadzą wprost do krwawej tyranii (vide faszyzm i komunizm). Sama naiwna miłość do otaczającego nas świata jest być może uczuciem szlachetnym, ale samobójczym; infantylny pacyfizm już na starcie ustawia zdeklarowanych słabeuszy w roli ofiar. Tylko jednoczesne połączenie dobra, mądrości i siły jest w stanie uchronić nas (jako naród) przed obcą dominacją; niejeden raz gościła w tej rubryce dewiza: kościół–szkoła–strzelnica... Niestety, w pogoni za totalną wolnością Europa Zachodnia odcina się od sprawdzonych reguł przetrwania. Tak więc moralność formatuje nam dziś ideologia gender, odcinane są korzenie europejskich wartości, nie bronimy już swych granic (wręcz przeciwnie!). Gdy do Europy wdzierają się otrzaskani z wojną i śmiercią, obcy nam kulturowo roszczeniowi „nachodźcy" – kwiatami wita ich „generation snowflakes" („pokolenie śnieżynek"), osobnicy naiwni i nierozumiejący otaczającego ich świata! Jedyna praca, do której nadają się ci imigranci, to policja lub wojsko. I zapewne tam się zatrudnią.

Lech Makowiecki

Szok... Gdy Rosja regularnie szkoli na poligonach 300 tys. nastolatków – ochotników z tzw. Junarmii (docelowo ma być ich 0,5 mln) – w unijnych szkołach ideolodzy LGBT walczą z „mową nienawiści", wprowadzają trzecią płeć, przebierają chłopców za dziewczęta i odwrotnie. Tymczasem Donald Trump w trosce o skuteczność amerykańskiej armii ruguje z niej transwestytów.

Choć nad Europą gromadzą się czarne chmury, w Polsce strzelectwo i sporty walki uprawiane są śladowo. Jedyni ludzi umiejący jako tako zareagować na przemoc na ulicy to tzw. kibole, naparzający się regularnie w „ustawkach". Wolałbym, żeby nasze bezpieczeństwo na ulicach nie zależało wyłącznie od stadionowych chuliganów. Kobiety i dzieci czułyby się bezpieczniej, gdyby każdy chłopak czy mężczyzna potrafił stanąć w ich obronie. Ale do tego potrzebne są umiejętności i odwaga. I odrobina polskiej rycerskości...

eprasa.pl c5acb31c1f

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Zmęczenie

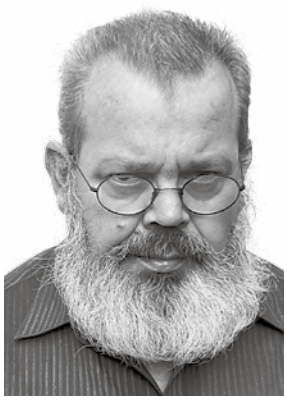

Aleksander Nalaskowski

Działalność opozycyjna bywa męcząca. I to coraz bardziej widać po tzw. totalnej opozycji. Opozycja jest zmęczona, że bije głową w mur, wymyśla najrozmaitsze sztuczki i nic nie może wskórać. Słupki sondaży najwyraźniej zamarły i nieznacznie tylko drgają. Za to u dołu wszelkich sondaży, tam, gdzie walka idzie o przekroczenie progu wyborczego, jest znacznie ciekawiej. Wydmuszka o nazwie PSL (dlaczego prawdziwi ludowcy nie oprotestują kradzieży tej nazwy?), a właściwie peerelowskie ZSL, raz jest w Sejmie, a raz jej nie ma. Kukiz ma zwykle brązowy medal, postkomuniści spod znaku SLD mają się podobnie jak Kosiniak-Kamysz, a reszta oscyluje w granicach żenady. Życzliwie traktowany Zandberg czy wciąż obecny w mediach Petru to autentyczne kurioza polityczne. Dla mnie porównywalni tylko z biedaczyną Kononowiczem z Białegostoku. Prawdą jest jednak, że bardzo chce się im władzy. Oj, bardzo! A przynajmniej kamer. A zresztą to w zasadzie jedno i to samo.

Gdy to piszę, przez telewizje mainstreamu przelewa się hejt w stronę Kaczyńskiego. Gość zachował się racjonalnie, tak się zdaje, a okazuje się, że jest łasym na kasę hipokrytą, ma drugą twarz, a tak w ogóle to pada mit oddanego patrioty. Po raz kolejny Lubnauer i Kierwiński pokazują, że powiedzą każdą brednię, i w dodatku nieodpłatnie. Jestem przekonany, że sprawa jest przez mainstream rozdęta i im bardziej bombka im nie wypaliła, tym bardziej będą krzyczeć, że to wręcz kataklizm. A tak naprawdę to chcą powiedzieć, że Kaczyński to taki sam aferzysta jak oni, tylko się nie ujawnia z majątkiem. Czuję się z tym wszystkim tak, jakby ktoś mnie przekonywał, że jeden z braci Kaczyńskich był Żydem. W logice Kierwińskich i bodaj całej reszty zmęczonych totalniaków to się zapewne mieści, ale w mojej zupełnie nie. Długoletnia stymulacja porażką może zapewne takie zaburzenia powodować i w zasadzie to powinniśmy tym wszystkim osobnikom współczuć. W zasadzie, bo byłoby to bardziej naturalne, gdyby byli zwykłymi obywatelami, a nie frustratami żądnymi władzy, dla której nie wyrzekną się nawet paktu z samym Belzebubem.

Od lat totalni nie zaprezentowali żadnego pomysłu na Polskę. Sami głoszą, że są antypisem. To znaczy – ni mniej, ni więcej – że gdyby nie było PiS, ich też by nie było. Bo żyją, trawią, wydalają tylko swoje „anty" i nic poza tym. Do teraz nie są w stanie pojąć, jak za jednym zamachem stracili i prezydenta, i większość. Oni dotkliwie stracili, Polska niepomiernie zyskała.

Od lat totalni nie zaprezentowali żadnego pomysłu na Polskę. Sami głoszą, że są antypisem. To znaczy, że gdyby nie było PiS, ich by też nie było

Zmęczenie własnym zgorzknieniem, brak pomysłów i całkowity chaos pojęciowy widać u tzw. ekspertów opozycji. Tych, których można oglądać w TVN czy u Olejnik. Już kiedyś pisałem, że co wieczór zalatuje stamtąd polityczną kostnicą. Miewa to jednak zabawne skutki. Doprawdy ile razy występuje Marcinkiewicz czy Komorowski, tyle razy rżę ze śmiechu, że piastowali kiedyś najważniejsze funkcje w państwie. Nie do uwierzenia! Jak mawiała śp. moja teściowa Stefania: „Teraz to już każdy może być prezydentem RP". Była to jej reakcja na „bul" i „nadzieji". No comments.

Zmęczenie widać także w mediach, wśród dziennikarzy. Jeśli tylko nie pojawi się jakaś mniej lub bardziej autentyczna sensacja, sięgają do wypłowiałych tematów, które próbują podgrzać chociażby do letniości. A to aborcja, a to nierówność płci albo prześladowanie kobiet w Polsce. To ostatnie to evergreen. Bo przecież każdy prawdziwy Polak leje swą babę zawsze przed śniadaniem i jeszcze po kolacji. O czym najlepiej wiedzą niestrudzone M. Środa, M. Płatek i J. Scheuring-Wielgus. Oraz ich fankluby. Ale i one są zmęczone. Wystarczy na nie spojrzeć. Emanują aurą wściekłości i bezradności. Bo im też w głowach się nie mieści, że tak naprawdę nikt ich nie słucha ani z nimi się nie liczy. W moim kajeciku są wpisane w rubryce „pokrzywy".

Aby odpocząć, trzeba nade wszystko zaprzestać robienia tego, co najbardziej męczy. I tutaj pojawia się problem. Co doradzić totalnym? Mają przestać nienawidzić? Niedoczekanie. Mają przestać uprawiać politykę? Nie da rady, tkwią w przekonaniu, że są do niej stworzeni. Mają przestać przegrywać? Ups, tego to akurat ja sobie nie życzę. Najlepsza jest gimnastyka relaksująca. Powinni więc nade wszystko przestać zginać kręgosłup w kierunku Zachodu, wstać z płaszczenia się przed Niemcami, wyprostować się i rozejrzeć dookoła. Może wtedy zobaczą, że jest świat piękniejszy niż ten, który chcą urządzić. Wtedy na pewno zmęczenie minie. W jakimś stopniu.

Autopromocja

eprasa.pl c5acb31c1f

PRZEZ ŚWIETLIK

Ja, turbo-Słowianka

Rzeczywistość jest nieprzewidywalna. W czasie kiedy „Gazeta Wyborcza" odkryła aferę stulecia, a szef rządu Mateusz Morawiecki z logiką tłumaczył mniej wyrobionej części elektoratu, że domaganie się wystawienia rachunku za usługę nie jest przestępstwem, ale rzeczą normalną i raczej uczciwą, Ewa Kopacz ustanowiła absolutny rekord, detronizując Ryszarda Petru we wszelkich jego znanych do dziś działalnościach.

Kiedy piszę te słowa, sprawa jest bardzo świeża; kiedy felieton trafi do państwa, pewnie była pani premier zostanie już mocno obśmiana. Tak dla porządku, była pani premier ujawniła w programie „Fakt Opinie", że dawni ludzie walczyli z dinozaurami. Nie mieli strzelb, więc rzucali w nie kamieniami. Jeden kamień niewiele dinozaurowi szkodził, ale gdy tak rzucali przez wiele dni, to w końcu bydlaka zabili. Sprawa zrobiła spore wrażenie na moich córkach, w końcu skoro była premier tak może, to tata nie może robić awantur o pomylenie Racławic z Maciejowicami. To są sprawy wtórne i nieistotne. Przecież miliony lat ewolucji i kataklizmów, tworzenia się złóż węgla, ruchów kontynentów, zlodowaceń i potopów można zmienić. Można je kształtować dowolnie, jak twórcy książek fantasy mieszają postaci historyczne ze stworami z baśni. Dorobiliśmy się takiego polskiego Tolkiena w spódnicy. Mistrzyni absolutnie przebijającej Sapkowskiego i wariactwa wygadywane przez scjentystów.

Wiktor Świetlik

Historia zaczęła się od przodków Ewy Kopacz, którzy za pomocą kamieni wyeliminowali złowrogie bestie

Jakiś czas temu zainteresował mnie tytuł książki mówiącej o dziejach Słowian, więc ją sobie zamówiłem, myślałem, że to jakaś archeologia. Dzięki temu odkryłem nurt określany jako „turbosłowiański". W środku przybysze z innych galaktyk, starożytni Egipcjanie, wielkie bitwy toczone tysiące lat temu przez naszych dzielnych przodków za pomocą nowoczesnych broni na wszystkich końcach świata. Odkrycia Denikena i jemu podobnych wszystko potwierdzają. Ale dinozaurów tam nie było. Jak widać, były nieznanym elementem, ogniwem historii. Teraz wszystko się składa, historia zaczęła się od przodków Ewy Kopacz, którzy za pomocą kamieni wyeliminowali złowrogie bestie. Historia kończy się w momencie, kiedy Istota Najwyższa Donald Tusk mianowała Ewę Kopacz premierem Polski, by uwolniła Unię Europejską od pisowskiej zarazy.

Teraz tylko dojść do władzy, odpowiednio zmienić podręczniki. W rządzie premiera Schetyny Ewa Kopacz jako zastępca premiera i minister edukacji, a może nawet szkolnictwa wyższego. Zamiast uczenia się o ewolucji pierwotniaków i wędrówkach ludów, wojny ludzi z dinozaurami. Dzięki takiej edukacji Platforma zapisze nową kartę w turbohistorii, wygrywając wybory po wsze czasy.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

SIECI W CZOŁÓWCE NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZYCH TYGODNIKÓW

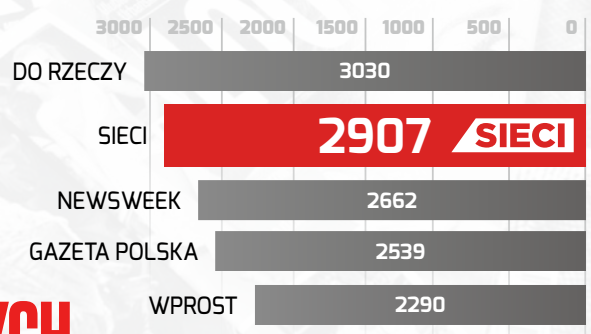

ŹRÓDŁO: IMM, STYCZEŃ-GRUDZIEŃ 2018

eprasa.pl c5acb31c1f

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Rusza rzecznik

Furorę robi rzecznik prezydenta Trzaskowskiego. Nie żeby błyszczał mądrością

Ryszard Makowski

Pomysł, by powierzyć funkcję rzecznika prasowego Kamilowi Dąbrowie, był genialny w swojej prostocie. Potrzebowano kogoś, kto odwróci uwagę od katastrofy wizerunkowej następcy HGW. Rafał Trzaskowski wycofuje się hurtem z obietnic wyborczych. Jednak w przypadku Warszawy wszystkie obiecanki okazały się mrzonkami. Jaki remont stadionu „Skry"? Jakie kolejne linie metra? Jakie bezpłatne żłobki? Jakaś śródmiejska obwodnica Pragi miała być? A to feler, nie będzie. I tak dalej, i tak co dzień.

I nagle te sprawy bledną, przesuwają się w cień medialny. Wychodzi rzecznik cały na biało. To jest ten sam pan, który będąc dyrektorem radiowej Jedynki, gdy już miał być zwolniony, kazał grać hymn narodowy na antenie co godzinę. Ma gość dorobek. I klasę. Internetowego trolla. Byłego rzecznika Ministerstwa Sportu zapytał na TT po koleżeńsku: „Bartek, a ty jeszcze nawilżasz czy już nie?". Ostatnio popisał się radosną twórczością: „Ruszamy z @trzaskowski_ z Warszawy Wileńskiej na Wschód! Przejazd testowy budowanym odcinkiem 2 linii metra. Kończymy na ulicy Trockiej na Brudnie! Niech żyją budowniczowie metra!!! Niech żyją!!!". Po pierwsze, to ulica Trocka jest na Targówku. A po drugie, Bródno, a nie Brudno. Na tle rzecznika to nawet taki prezydent jak Rafał Trzaskowski wychodzi na rozgarniętego i poważnego.

Podobno konkurs na rzecznika ustawiono. Rozmowa i test były 20 grudnia, a ogłoszenie wyników 24. Ale ponoć już 18 grudnia wszystko rozstrzygnięto! Nie ma co grymasić. Taka machlojka to zwykła ratuszowa rutyna, a ubaw po pachy z panem Dąbrową gwarantowany.

eprasa.pl c5acb31c1f

Zawistowski prezentuje: Garsoniera

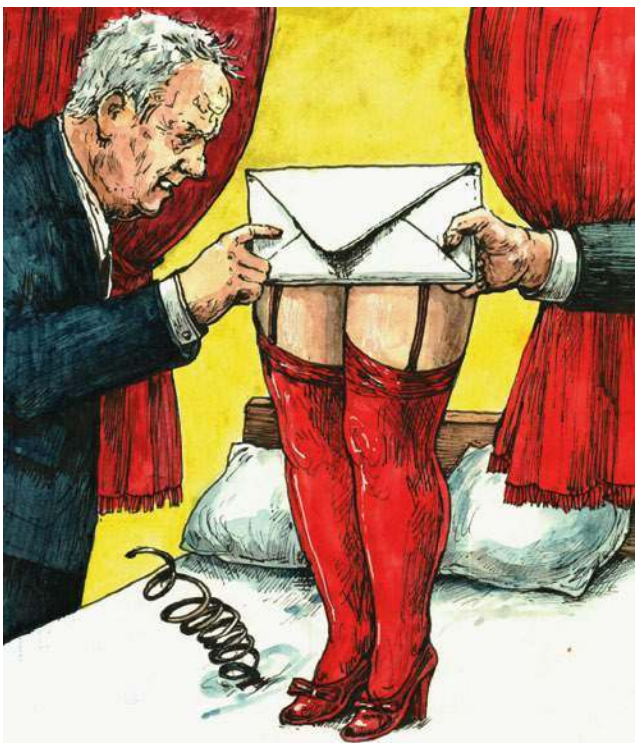

Wycinki z przeszłości

To piękne przedstawienie powstańców styczniowych z 1863 r. pochodzi z wydanej pod koniec XIX w. w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego historii polskich zrywów narodowych autorstwa Augusta Sokołowskiego. Autorem ilustracji jest Walery Eljasz (Walery Jan Kanty Eljasz-Radzikowski). Ten malarz ilustrator urodził się w Krakowie w 1841 r., tam zmarł w 1905 r. Jego dziad był konfederatem barskim, on sam współpracował z Rządem Narodowym w czasie powstania styczniowego.

Jak podaje Encyklopedia Krakowa: „Malował obrazy nawiązujące do dzieł literatury narodowej. Wykonał freski w wielu kościołach, opracował poczet królów polskich, publikował artykuły m.in. w »Kłosach«, »Bluszczu«, »Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego« i w »Tygodniku Ilustrowanym«. Opublikował wiele opracowań poświęconych górom, etnografii i zabytkom. Projektował kostiumy do przedstawień teatralnych, a także dekoracje dla Teatru Miejskiego w Krakowie. Był wielkim miłośnikiem Tatr, współzałożycielem i działaczem Towarzystwa Tatrzańskiego, m.in. kierował budową schronisk, opracował przewodnik po Tatrach, organizował straż ochrony przyrody. Należał do pionierów krajobrazowej fotografii artystycznej".

Pochowany został na cmentarzu Rakowickim. Jego szkice pokazujące powstańców styczniowych zachwycają znajomością realiów, a zarazem pełnym miłości przedstawieniem naszych dzielnych przodków.

(mk)

Kilka strofek, co nienowe...

W tym dyskursie co i nam wszak dzisiaj kwitnie
Rewiduje dawne racje
– Dumne spiże w gips obraca
Lubo w marmur wyszlachetnia
Pogardzane dotąd gipsy
Parę strofek k` przypomnieniu
Już z pradziadów to wypisów...

Leszek Długosz

Adam Asnyk (1838–1897), „Historyczna nowa szkoła"

Historyczna nowa szkoła
Swą metodę badań ścisłą
Sprowadzoną hurtem z Niemiec
Rozpowszechnia ponad Wisłą
I nabywszy pogląd świeży
Nowym łokciem dzieje mierzy

Nie chcąc popaść w dawne błędy
Mesjanicznych mglistych mrzonek
Koło polskich sztywnych karków
Okręciła swój postronek
By zgiąć bytu żądzę dziką
Przed dziejowych praw logiką

Czcząc spełnionych faktów kolej
I zwycięzców chytre godła
Nie spostrzegła że cześć siły
Za daleko ją zawiodła
I że z rąk jej rozbiór Polski
Wziął chrzest misji apostolskiej

W pełnym świetle jej dochodzeń
Jasną gwiazdą lśni despotyzm
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patriotyzm...
Gdyż Kościuszko to był wariat
Co buntował proletariat!

I tak dalej... I tak dalej
Coraz śmielsze wnioski przędzie
I nicując dawne sądy
Nie powstrzyma się w zapędzie
Aż dowiedzie że król Herod
Dobroczyńcą był dla sierot

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl c5acb31c1f

OD A DO ZYBERTOWICZA

Profesor UAM rozpoznaje wroga

Polacy żyją dziś w zupełnie różnych rzeczywistościach. Rzeczywistości te są „ufortyfikowane" przez rozliczne stereotypy poznawcze. W takiej sytuacji socjologowie – środowisko zawodowo wyposażone w narzędzia służące analizie cudzych oraz własnych wyobrażeń – winni wystąpić w roli swoistych tłumaczy, pomostów między schematami „myślenia" skłóconych z sobą środowisk. Kolejne przykłady pokazują jednak, że to nadzieja płonna.

W „KROPCE"

24 stycznia 2019 r. w programie „Kropka nad i" red. Monika Olejnik zapytała mnie: „Co zmieni w naszym życiu śmierć Pawła Adamowicza?". Odrzekłem, że realistyczna interpretacja wskazuje na to, że może – paradoksalnie – nastąpić pogorszenie nastrojów. Wskazałem, że środowiska dzisiejszej opozycji politycznej wykorzystują tę tragiczną śmierć do wywoływania emocji budowanych na niepotwierdzonych faktach, promując na swoiste świeckie anioły osoby, których postępowanie budzi sporo wątpliwości. Wskazałem trzy postacie: Lecha Wałęsy, Jerzego Owsiaka oraz śp. Pawła Adamowicza, i przywołałem na ich temat powszechnie dostępne (co nie znaczy: uświadamiane), sprawdzalne informacje, niezgodne z wizją kryształowych charakterów tych osób.

CZARNE OWCE

„Gliński i Zybertowicz. Czarne owce w naszym socjologicznym gronie. Wstyd i hańba" – takie słowa, wielkimi literami, tego samego wieczoru na Facebooku umieścił socjolog, prof. UAM w Poznaniu Krzysztof Podemski. Pod wpisem wśród komentarzy słowa prof. Edyty Głowackiej-Sobiech (też z UAM): „Zybertowicz dał popis dziś u Moniki Olejnik. Kanalia to mało powiedziane".

Podemskiego nie znam bardzo blisko, ale jako socjologowie spotykaliśmy się przy różnych okazjach. Wpisałem zatem na FB: „Krzysztofie, a potrafiłbyś to jakoś w trybie intersubiektywnym uzasadnić?". Oto odpowiedź: „Andrzeju [...] wobec Wałęsy i Adamowicza wysunąłeś bardzo poważne moralne lub nawet kryminalne oskarżenia, które dopóty, dopóki nie staną się obiektem wyroków sądowych, mają charakter pomówienia. Mówiąc bardzo oględnie, nie wykazałeś się też nadmierną empatią, zwłaszcza wobec rodziny zamordowanego prezydenta i milionów ludzi tą zbrodnią wstrząśniętych. W dodatku wciągnąłeś w ten dyskurs Kościół, przeciwstawiając »prawdziwych świętych« jakimś »fałszywym« i niegodnym".

EMPATIA – Z KIM?

W przypadku Wałęsy Podemski, profesor socjologii, zachowuje się tak, jakby nie znał różnicy między tzw. prawdą formalną, którą ustala sąd, a „prawdą materialną", czyli stanem faktycznym, który można ustalić np. drogą badań naukowych. Tak jakby nie słyszał o książkach prof. Sławomira Cenckiewicza ani o wypowiedziach innych historyków, dla których – w świetle dostępnych licznych danych – jest jednoznacznie ustalone, że Wałęsa za pieniądze donosił na swoich kolegów. Jakby Podemski nie dopuszczał do świadomości, że od czasu korzystnego dla Wałęsy orzeczenia sądu lustracyjnego z roku 2000 dostępne stały się liczne materiały pośrednio oraz bezpośrednio dokumentujące jego związki z SB.

Odnośnie do prezydenta Adamowicza przypomniałem jedynie widzom TVN24, że – w wyniku działań podjętych przez prokuraturę jeszcze za rządów PO, prezydentowi Gdańska postawiono poważne zarzuty karnoskarbowe.

Co zaś do empatii, to nie widziałbym potrzeby publicznego wypowiadania się, gdyby nie kampania żenującego, chóralnego zachwycania się, jakim to wspaniałym wzorcem samorządowca był tragicznie zmarły.

Krytykowałem nie śp. Adamowicza, ale inżynierów dusz próbujących – nie bez sukcesów, jak wskazuje przykład przywołanych wyżej profesorów UAM – robić Polakom wodę z mózgu.

Każdy wybiera, z kim chce być empatyczny. Zamiast empatii z zakłamanymi elitami III RP i ich quasi-świętymi okazałem empatię wobec milionów Polaków, którymi próbuje się cynicznie manipulować.

Szkoda, że u kolegi socjologa potrzeba potępienia, stygmatyzacji i szukania – a w razie braku: skonstruowania – wroga jest najwyraźniej silniejsza od potrzeby rozmowy.

PS Zainicjowaną przez prof. Podemskiego nagonkę mającą skończyć się wykluczaniem czarnych owiec ze środowiska socjologicznego pozostawiam do analizy badaczom klimatów Marca '68.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 98/0119/F

eprasa.pl c5acb31c1f

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik SIECI i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Słynne ucieczki Polaków”
otrzymasz gratis!

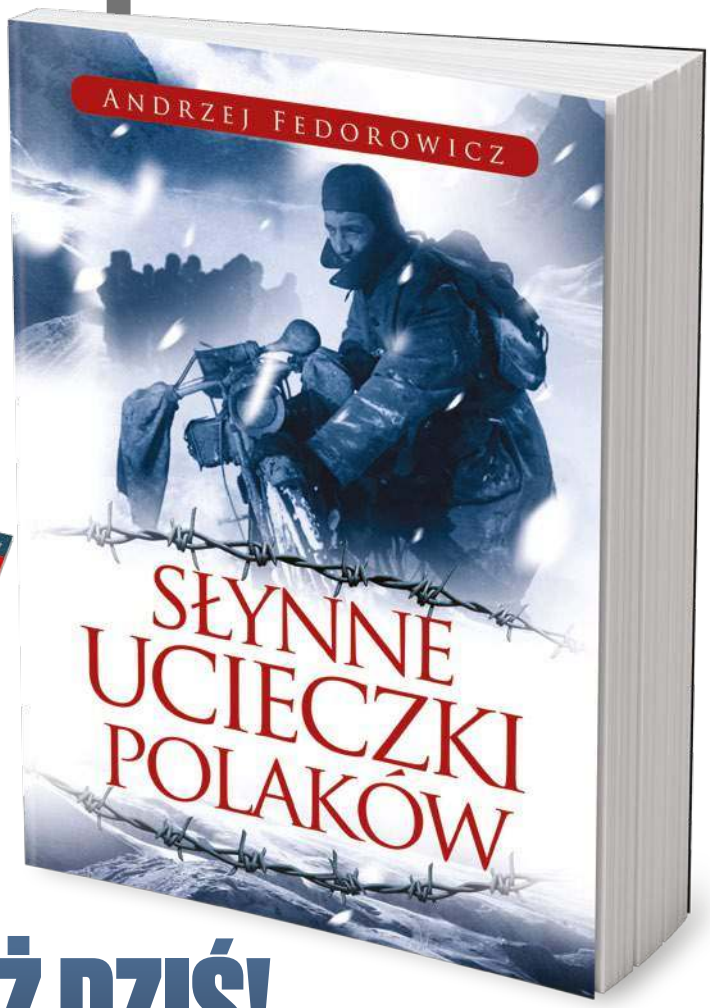

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl c5acb31c1f

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz

LOTTO JEST WSZĘDZIE

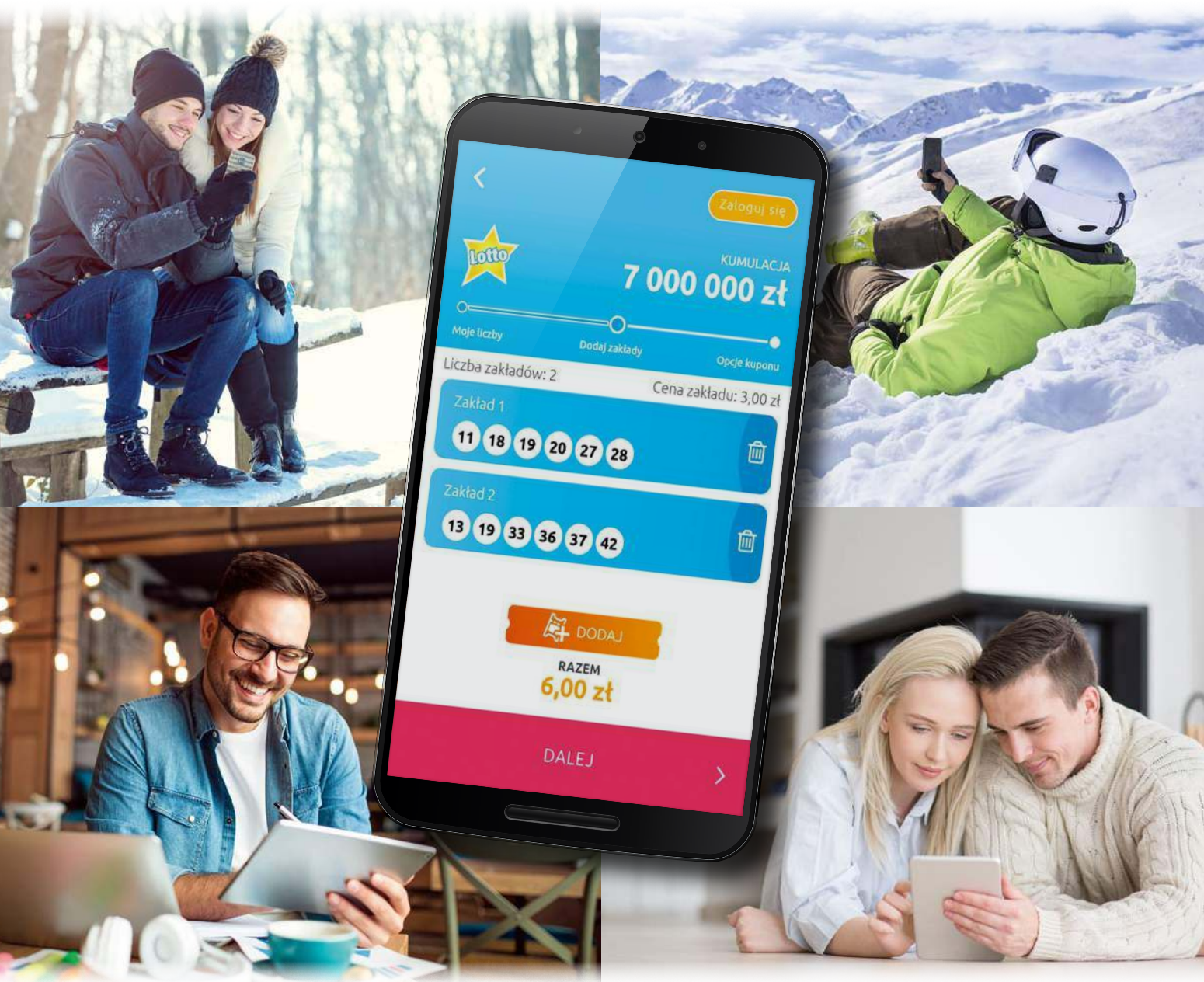

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl c5acb31c1f